

**BALDACCI David**

## **Zdążyć na Boże narodzenie**

Z angielskiego przełożył PIOTR JANKOWSKI  
WARSZAWA 2002



*Dedykuję tę powieść wszystkim miłośnikom świąt i podróży koleją.*

### **Rozdział 1**

Tom Langdon był dziennikarzem, a także globtroterem, ponieważ włóczenie się po świecie miał we krwi. W sytuacjach, które dla innych oznaczały brak stabilizacji, zszargane nerwy i kolejny zakręt życiowy, on czuł się jak w przyjaznych objęciach niezależności. Większość swej dziennikarskiej kariery spędził za granicą, pisząc o wojnach, powstaniach, głodzie, wszelkich plagach i najróżniejszych odmianach ludzkiej rozpacz. Cel wyznaczył sobie stosunkowo prosty. Chciał zmieniać świat, zwracając ludziom uwagę na jego niedoskonałości. Poza tym kochał przygodę.

Jednakże, gdy skatalogował już wszystkie ziemskie tragedie i w dalszym ciągu obserwował, jak stan ludzkości stale się pogarsza, powrócił do Ameryki głęboko rozczarowany. Jako antidotum przeciw przygnębieniu zaczął pisywać okropnie lekkie kawałki dla magazynów kobiecych, czasopism wnętrzarskich, przeglądów ogrodniczych i tym podobne. Utrwaliwszy już zalety kompostu i cuda samodzielnego montowania paneli podłogowych, odczuł jednakowoż, że nie przyniosło mu to satysfakcji. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma już za sobą szczytu kariery dziennikarskiej.

Zbliżała się Gwiazdka i nękał go dylemat związany z wyjazdem na święta ze Wschodniego Wybrzeża do Los Angeles. Motywację do tej podróży miał starą jak świat: w Los Angeles mieszkała Lelia Gibson, ktoś w rodzaju jego dziewczyny. Lelia zaczynała od filmu, lecz po latach grania wyłącznie w trzeciorzędnych horrorach przerzuciła się na podkładanie głosu do kreskówek. Skończyła z zarabianiem na chleb jako ofiara kinematograficznej rzeźni i zamiast tego używała swego głosu najróżniejszym postaciom z

popularnych niedzielnych bajeczek rysunkowych. W telewizji dziecięcej przyjęto w końcu za pewnik, że nikt nie wydobywa z siebie głosów głupawych leśnych stworzonek z większym zacięciem i talentem od obdarzonej złotą krtanią Lelii Gibson. Na dowód tego miała pełną półkę nagród i wyróżnień, horrendalnie wysokie gaże i przyzwoity pakiet udziałów w prawach do rozpowszechniania.

Tom i Lelia przypadli sobie do gustu podczas nocnego lotu z Azji Południowo-Wschodniej do Stanów. Początkowo sądził, że sprawił to alkohol. Lecz kilka godzin przed lądowaniem rausz minął, a ona wciąż była piękna i interesująca - choć nieco szalona i ekscentryczna - a on nie przestał być dla niej pociągający. Został na trochę w Kalifornii, żeby się lepiej poznali. Potem ona odwiedziła go na Wschodnim Wybrzeżu i od tej pory trwał ich wygodny, acz nieformalny związek na odległość.

Mogło się wydawać dziwne, że pani, odnoszącej sukcesy w Hollywood, odpowiadał pan będący z natury koczownikiem, któremu ciągle kończyły się kartki w paszporcie i który znał zabawne, choć sprośne powiedzonka w trzydziestu językach i nie miał szans na finansową stabilizację. Lelia miała już jednak dość mężczyzn ze swego środowiska. Jak wyłożyła to pewnego razu z właściwą sobie dyplomacją, okazało się zbieraniną kłamliwych szumowin, którym kompletnie nie można było ufać. Tom natomiast, jako dziennikarz, czasem przynajmniej ocierał się o prawdę, chociaż wyłożoną może w dwuznaczny lub pokrętny sposób. Poza tym Lelii podobała się jego interesująca, aczkolwiek nieco grubo ciosana fizjonomia. Zawdzięczał ją głębokim bruzdom, wyrytym przez pracę w pustynnym, wietrznym klimacie, gdzie często fruwały mu nad głową kule i w myśl miejscowych zasad bezpieczeństwa zmuszony był chować twarz w piasek.

Lelia z głęboką uwagą słuchała opowieści Toma o jego reportażach z najważniejszych wydarzeń na świecie. On z kolei obserwował z podziwem jej profesjonalne podejście do pracy w kreskówkach. W dodatku nie musieli mieszkać razem, co dawało im zdecydowaną przewagę nad innymi parami, zmuszonymi do ciągłego pokonywania przeszkód we wspólnym życiu, dobrze znanych Tomowi z doświadczenia.

Żonaty był krótko, a dzieci nie miał. Jego była żona nie przyjęłaby teraz od niego telefonu na erkę, nawet gdyby wykrwawiał się na śmierć na ulicy i przed obróceniem się w proch chciał jej wyznać ze łzami miłość na wieki. Miał czterdzieści jeden lat; dopiero co zmarła na zawał jego matka, a ojca stracił kilka lat wcześniej. Jako jedynak został teraz naprawdę sam, a to skłaniało go do introspekcji. Połowa czasu danego mu na ziemi już minęła, a mógł się pochwalić tylko nieudanym małżeństwem, brakiem potomka, nieformalnym związkiem z kalifornijską królową głosu, górą wycinków prasowych oraz

kilkoma nagrodami. Według rozsądnych kryteriów stanowiło to dość kiepskie uzasadnienie egzystencji.

Trafiła mu się kiedyś sposobność cudownego życia z inną kobietą, ale z niewyjaśnionych powodów wszystko się rozpadło. Z wiekiem jego żal się pogłębiał; być może wyczerpywały się po prostu możliwości naprawienia błędów. Rozumiał teraz w pełni, że najpoważniejszym z nich pozostanie już na zawsze rezygnacja z małżeństwa z Eleanor Carter. Był jednak wciąż człowiekiem czynu i odezwało się w nim znowu zamiłowanie do włóczęgi. Dlatego na tegoroczne święta postanowił pojechać do Los Angeles pociągiem.

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego Tom wybrał kolej, zamiast skorzystać z doskonałych połączeń lotniczych i być na miejscu o wiele szybciej. No cóż, u mężczyzny to tylko kwestia czasu, żeby po którymś z kolei przeszukaniu przez ochronę lotniska - połączonym z zagłębianiem się sondującej pałki w jego święte miejsca, poleceniami opuszczenia spodni na oczach innych i z wywracaniem zawartości toreb do góry nogami - wreszcie nie wytrzymał. Tom w rzeczy samej nie wytrzymał na lotnisku La Guardia w Nowym Jorku. Eksplozja, która wówczas nastąpiła, nie miała może skali wybuchu jądrowego, lecz można ją było śmiało porównać do zniszczenia Pompei.

Wrócił właśnie z Włoch, gdzie poszukiwał kolejnego atrakcyjnego tematu, tym razem związanego z produkcją wina. Wlał tego wina w siebie chyba więcej, niż potrzebował do przebrnięcia przez nudne szczegóły klasyfikacji gleb pod winorośl i metod fermentacji. W efekcie był zmęczony, rozdrażniony i skacowany. Przed przesiadką na lot do Teksasu przespał się ledwie trzy godziny u przyjaciela w Nowym Jorku. Zlecono mu właśnie kolejny reportaż, o konkursach na Miss Nastolatek. Zgodził się na to, bo lubił krwawe sporty.

Przy bramce bezpieczeństwa na La Guardii pałka sondująca trafiła Toma w czułe miejsce, z którym nie powinna w żadnym razie nawiązywać kontaktu towarzyskiego ani żadnego innego. Obrażliwy uśmiezek na twarzy ochroniarza spotęgował jeszcze poczucie dyskomfortu i wzbierającej wściekłości. Jednocześnie drugi z tych wieśniaków wywalił całą zawartość torby Toma na pas transmisyjny. Dziennikarz przyglądał się bezradnie, jak jego najbardziej osobiste rzeczy przesuwają się przed oczami innych podróżnych, wzbudzając ogólne zainteresowanie.

Ukoronowaniem tej wyjątkowej sytuacji było poinformowanie go, że pojawiły się bardzo poważne zastrzeżenia co do jego paszportu, koloru włosów, doboru odzienia albo wręcz rozmiarów nosa. Nie było to do końca jasne. W efekcie zamiast lecieć do Dallas, miał przez nieokreślony czas cieszyć się towarzystwem hordy funkcjonariuszy: FBI, DEA, CIA

oraz NYPD. Padło nawet sformułowanie „pięć do dziesięciu”. To wszystko, w połączeniu z wyeksploatowanym ciałem, przepełniło miarę. Lawa się wylała.

Tom Langdon miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i dźwigał na sobie ze sto dziesięć kilo raczej twardych mięśni, a czaszka parowała mu już całkiem porządnie. Wybuch, który nastąpił, poza rzuceniem się na ochroniarzy i złamaniem dokładnie na pół ich pałki sondującej, obejmował także użycie języka, którym normalnie nie posłużyłby się w promieniu dziesięciu kilometrów od kościoła. Ze swych gwałtownych działań tego dnia nie był szczególnie dumny, chociaż okrzyki aplauzu ze strony innych pasażerów, którzy widzieli i słyszeli, co mu uczyniono, odrobinę podniosły go na duchu.

Na szczęście sędzina, przed którą stanął Tom, sama przeszła nie tak dawno niezwykle uciążliwą kontrolę na lotnisku i kiedy usłyszała jego zeznanie, wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Również wysunięte przez ochroniarzy zastrzeżenia co do jego tożsamości okazały się, co go zaszokowało, pomyłką. W rezultacie sąd ukarał Toma jedynie poważnym ostrzeżeniem wraz z zaleceniem zapisania się na kurs panowania nad gniewem, co zamierzał uczynić natychmiast, gdy tylko minie mu nieopanowana ochota na uszkodzenie kolesia od pałki sondującej. W konsekwencji wybuchu otrzymał jednak także dwuletni zakaz przemieszczania swej niegodnej osoby na pokładzie samolotów linii krajowych. Nie wierzył, że posuną się aż do tego. Mina mu jednak zrzędła, gdy pokazano mu odpowiedni przepis, wydrukowany drobną czcionką w regulaminie korzystania z transportu lotniczego i umieszczony zresztą zaraz pod innym, równie mikroskopijnym przepisem, stwierdzającym, że linie lotnicze wypłacają odszkodowanie za zagubiony bagaż najwyżej do wartości... pięciu dolarów.

Całą tę historię potraktował jak objawienie. Utratę możliwości latania, a podróżował tak najczęściej, uznał za omen, znak z nieba, coś niezwykle ważnego. Dlatego do Los Angeles zamierzał pojechać koleją. Poza tym chciał napisać duży reportaż o podróży pociągiem przez całe Stany w porze Bożego Narodzenia. Oprócz spotkania z Lelią miał jeszcze poważniejszy motyw. Pochodził z Langdonów z Elmiry w stanie Nowy Jork. Każdy, kto zna w miarę dobrze historię literatury, kojarzy tę miejscowość z Olivią Langdon. Olivia, mimo że była sama w sobie osobą piękną i pogodną, choć na koniec także tragiczną, zyskała trwałą sławę dzięki małżeństwu z krewkim z usposobienia, płodnym pisarzem i elokwentnym gadułą, znanym najbliższym jako Samuel Clemens, natomiast światu i literaturze pod nazwiskiem Marka Twaina.

Tom znał dzieje tych rodzinnych związków, odkąd nauczył się pisać drukowanymi literami swoje imię. Inspirowały go one do tego, żeby samemu zacząć zarabiać na życie pisarstwem. Twain także zaczynał jako dziennikarz

„Territorial Enterprise” w Virginia City w stanie Nevada. Dopiero potem doszedł do sławy, pieniędzy, bankructwa, a następnie znów sławy i pieniędzy jako pisarz i wykładowca. Tom jednakże nie przeobraził się wcale z opisywacza surowych faktów w twórcę mistrzowskiej prozy. Przeciwnie, pędził wciąż traktem dziennikarstwa informacyjnego, nabijając sobie sińce na jego wybojach.

Dwukrotnie stał się więźniem ugrupowań terrorystycznych i kilka razy omal nie zginął, opisując wszelkiego rodzaju wojny, potyczki, zamachy stanu i inne wynalazki cywilizowanych społeczeństw, służące rozwiązywaniu konfliktów. Widział, jak nadzieja ustępuje miejsca terrorowi, terror zostawia po sobie gniew, a gniew z kolei... właściwie nie zostawiał po sobie niczego, gdyż zawsze był obecny, stanowiąc źródło wszelkich problemów.

Zdobywał prestiżowe nagrody i był ceniony przez kolegów po fachu, nigdy jednak nie uważał się za pisarza, który potrafiłby stworzyć wybitną prozę o nieprzemijającej wartości. W przeciwieństwie do Marka Twaina. Jednakże marginalny choćby związek z twórcą „Przygód Tomka Sawyera”, „Przygód Hucka”, „Życia na Missisipi” i „Człowieka, który zdemoralizował Hadleyburg”, z twórcą, którego dzieło było istotnie ponadczasowe, sprawiał, że Tom uważał się, choć nieco na wyrost, za człowieka cudownie wyjątkowego.

Ojciec, który jako pierwszy opowiedział mu o powiązaniach rodzinnych z Markiem Twainem, na krótko przed swą śmiercią poprosił syna o dokończenie czegoś, czego według legendy Twainowi dokończyć się nie udało. Pisarz - jak wyłożył to ojciec - który podróżował prawdopodobnie najwięcej ze współczesnych sobie ludzi, pod koniec życia, w swoim tak zwanym ciemnym okresie, przedsięwziął podróż koleją przez całe Stany tuż przed Bożym Narodzeniem. Najwyraźniej pragnął, mimo wszystkich tragedii, jakich doświadczyła jego rodzina, dopatrzeć się w świecie czegoś pozytywnego. Najpewniej robił podczas tej podróży notatki, lecz nigdy nie powstała na ich kanwie żadna historia. I o to właśnie poprosił Toma ojciec: wybierz się w tę podróż i napisz tę historię; skończ, czego Twain nie skończył, przysparzając chwały rodowi Langdonów.

Tom znalazł się przy łożu ojca po szalonej, trwającej całą dobę odysei lotniczej z odległych krańców globu. Usłyszawszy wymamrotaną przez konającego prośbę, poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Miał jechać koleją przez cały kraj w porze Gwiazdki tylko po to, żeby zrobić coś, czego Twain rzekomo nie dokończył? Uznał, że ojciec bredzi w ostatnich mękach, i nie spełnił jego życzenia. Teraz jednakże, kiedy już nie mógł latać, chyba że po

zdjęciu odcisków palców i w kajdankach, zamierzał w końcu odbyć tę podróż dla starego i być może również dla siebie.

Rozpoczął w swoim życiu niejedną wyprawę, nie mając pojęcia, co przyniesie jutro. Były to jednak zawsze wyjazdy związane z innymi ludźmi i wydarzeniami, bez konsekwencji dla niego osobiście. Był tylko neutralnym obserwatorem, stojącym z boku i opisującym to wszystko dla średnio zainteresowanej publiki. Tym razem było inaczej. Zdawał sobie sprawę, że ta pielgrzymka albo ukierunkuje jego przyszłość, albo zrujnuje życie. Było więc zrozumiałe, że naturalna w takiej sytuacji ekscytacja Toma ustępowała jedynie jego skrajnemu przerażeniu.

Na przestrzeni niemal pięciu tysięcy kilometrów między dwoma wybrzeżami Ameryki miał się przekonać, czy zdoła odnaleźć siebie. Postanowił to zrobić akurat podczas Gwiazdki, ponieważ był to tradycyjnie czas odnowy, a także być może ostatnia szansa na posprzątanie bałaganu, którego narobił we własnym życiu. Chciał przynajmniej spróbować.

Gdyby jednakże mógł przewidzieć, że w drugiej zaledwie godzinie podróży wydarzy się coś, co odmieni jego życie, wolałby pewnie pójść do Kalifornii na piechotę.

## Rozdział 2

### *Capitol Limited*

#### *(Z Waszyngtonu do Chicago)*

Wysiadając z taksówki przed dworcem Union Station w Waszyngtonie, skąd miał rozpocząć podróż, Tom przypominał sobie kilka okazji, kiedy to jechał przez Stany koleją. Wszystkie te trasy wiodły Korytarzem Północno-Wschodnim, pomiędzy Waszyngtonem, Nowym Jorkiem i Bostonem, gdzie kursowały najnowocześniejsze, superszybkie pociągi Acela. Szybkie, piękne i przestronne, bez wątpienia dorównywały klasą swym europejskim kuzynom. Eleganckie szklane drzwi między wagonami otwierały się automatycznie, kojarząc się Tomowi z portalem na mostku statku międzygwiazdznego Enterprise z „Gwiezdných wojen”. W istocie, gdy po raz pierwszy znalazł się w takim pociągu i ujrzał odsuwające się drzwi, rozejrzał się odruchowo za Vulkanem w mundurze Gwiezdnej Floty.

Zarezerwował sobie miejsce sypialne w Capitol Limited, ekspresie, który miał go przetransportować z DC do Chicago. Właściwie miał jechać dwoma pociągami. Capitol Limited pokonywał pierwszy etap trasy, a drugi i dłuższy jej odcinek obsługiwał szacowny Southwest Chief. Historia Capitol Limited stała się już legendą, jeździł bowiem częściowo po

sławnej linii z Baltimore do Ohio. B&O była pierwszą kolejową firmą przewozową w historii Stanów Zjednoczonych, dzierżyła także palmę pierwszeństwa w przewozie ludzi.

„Cap”, jak z sympatią nazywano ekspres do Chicago, należał do najbardziej stylowych i ekskluzywnych pociągów w kraju. W menu wagonu restauracyjnego bywały nawet homary, jedzenie podawano na porcelanie i w prawdziwym szkłe, a pociąg ciągnął w składzie wagon ze zmyślnym kopulastym dachem do podziwiania widoków. Miał też wagony pulmanowskie z ich legendarnymi pulmanowskimi konduktorami, którzy podobno zarabiali krocie na napiwkach. W swej długiej historii Cap woził królów, książąt i prezydentów, gwiazdy filmowe i gigantów przemysłu, z Chicago do Waszyngtonu i z powrotem, a osnute na tych podróżach historie stanowiły część kolejowego dziedzictwa. Tom mógłby świetnie zarabiać jako reporter na samym tylko wypełnianiu rubryk towarzyskich w tygodnikach opisami nieprzyzwoitych błazeństw pasażerów tej linii.

Już w młodości, z powodu związków rodzinnych i zainteresowań ojca, zgłębiał tajniki życia i dzieła Marka Twaina. Teraz, przygotowując się do jazdy w poprzek kontynentu, przeczytał ponownie „Prostaczków za granicą”, relację Twaina z pięciomiesięcznej podróży na pokładzie parowca *Quaker City* do Europy i Ziemi Świętej. Uważał ją za jedną z najzabawniejszych i pozbawionych szacunku dla autorytetów książek podróżniczych. Wystarczy wyobrazić sobie Sama Clemensa - kościstego mężczyznę rodem z Dzikiego Zachodu, który mało miał jeszcze wspólnego ze światowej sławy pisarzem, jakim stał się później - w towarzystwie nabożnych rodaków ze Środkowego Zachodu podczas ich pierwszego pobytu w Starym Świecie, by uzmysłwić sobie, jak wielkie pole do popisu dawało to satyrykowi. Tom nie wybierał się wprawdzie za granicę, lecz czuł się pod wieloma względami jak pielgrzym we własnym kraju, ponieważ, o ironio, resztę świata znał dużo lepiej niż Amerykę.

Capitol Limited opuszczał DC dokładnie o szesnastej pięć, zatrzymywał się na dwunastu stacjach między Waszyngtonem i Chicago i punktualnie o dziewiątej dziewiętnaście rano docierał do Wietrznego Miasta. Tom zaplanował sobie przerwę w podróży aż do popołudnia, kiedy miał wsiąść do pociągu Southwest Chief. Był to dobry plan, dzięki któremu krew w jego żyłach krążyła o wiele szybciej niż przy pisaniu tekstów o najlepszych porach przycinania ostrokrzewu lub o metodach opróżniania szamba.

Odebrał bilety, oddał do ekspedycji bagażowej sprzęt narciarski - w święta wybierali się z Lelią na modne stoki nad jeziorem Tahoe - i zajął się podziwianiem splendoru Union Station, która przed odbudową omal nie została zburzona. W latach sześćdziesiątych urządzono tu National Visitor's Center, centrum informacyjne dla turystów, którego nikt nie

odwiedzał i które było ledwie kiepską ekspozycją podświetlanych fotografii. Później ten niewypał za trzydzieści milionów dolarów cichaczem zamknięto, pozostawiając czynną tylko niewielką część budynku z przeciekającym dachem, gdzie można było, o dziwo, naprawdę wsiąść do pociągu.

Ojciec Toma w 1945 roku wracał do domu z wojny właśnie przez ten zbudowany w stylu eklektycznym dworzec. Przemierzając marmurowe hale, bogato zdobione i pełne rzeźb, Tom wyobrażał sobie, że podąża śladem ojca, który dopomógł w ratowaniu świata przed tyranią, uzbrojony jedynie w karabin i młodzieńczą odwagę, i wracał pełen optymizmu do bezpiecznego cywilnego życia.

Uznał, że dobrze się złożyło, iż rozpoczyna podróż właśnie tutaj, w miejscu, gdzie jego ojciec pożegnał stare życie i rozpoczął nowe. Syn mógł co najwyżej żywić nadzieję, że osiągnie chociaż tyle.

Tom poświęcił kilka minut na obejrzenie olbrzymiej gwiazdkowej dekoracji - makiety z modelami pociągów, ustawionej w zachodnim skrzydle głównego holu. Zgromadził się tu tłum dzieci i dorosłych, jednakowo zaintrygowanych miniaturowymi metalowymi konstrukcjami, pędzącymi przez starannie odtworzone miasteczka i wioski. Pociągi miały w sobie niezaprzeczalnie jakiś nostalgiczny magnetyzm, nawet dla tych Amerykanów, którzy nigdy w życiu do żadnego nie wsiedli. Tom, ożywiony tym duchem, odkrył, że szeroko się uśmiecha na widok wagoników sunących po malutkich torach.

Zbliżała się pora odjazdu, przeszedł więc bliżej wejścia na perony. Choć na niektórych dworcach wprowadzono ostatnio zwyczaj prześwietlania bagażu, wciąż można było przyjść dosłownie na ostatnią chwilę i jeszcze zdążyć wsiąść do pociągu. Nie było tu bramek kontrolnych, wścibskich pałek sondujących ani idiotycznych pytań o to, czy pozwolilibyście komuś nieznanemu podrzucić sobie do torby w męskiej toalecie mały termonuklearny gadżecik. Człowiek po prostu wsiadał i jechał. W pełnym najróżniejszych zakazów nowoczesnym świecie prostota tej operacji działała wręcz odświeżająco.

Tom usiadł sobie w poczekalni i zaczął się przyglądać współpasażerom. Pamiętał, że gdy jechał kiedyś Acelą do Nowego Jorku, właściwie wszyscy oczekujący byli biznesmenami, odpicowanymi od stóp do głów i wyposażonymi we wszelaką firmową broń: komórki, palmtopy, notebooki, dyktafony, wskaźniki laserowe i inne ustrojstwa o napędzie atomowym. Byli to ludzie przepelnieni poczuciem misji, gotowi do wyścigu, i kiedy tylko drzwi się otworzyły, by wpuścić masy wsiadających, wsiadali wszyscy zawzięcie. Niemalże zerwali z Toma całe ubranie, gdyż ruszał się zbyt powoli. Jakaś drobna, lecz bardzo



zdeteminowana kierowniczką działu natarła na niego, jakby trzymał czerwoną płachtę, a jedynym celem jej życia było wywleczenie jego wnętrza na zewnątrz.

Tłum oczekujących na Capa był bardziej zróżnicowany. Byli tu biali, byli afrykańscy Amerykanie i rdzenni Amerykanie, muzułmanie w tradycyjnych strojach i azjatyccy Amerykanie - sympatyczne próbki wszelkich ras i narodowości, mniej więcej równo rozdzielone między mężczyzn i kobiety.

Naprzeciwko Toma siedziała para sympatycznych młodych ludzi, siorbujących dietetyczną colę. Wyglądali na podenerwowanych. Być może pierwszy raz znaleźli się daleko od domu. Tom w tym wieku miał już za sobą tyle podróży, że potrafił zrozumieć ich niepokój. Obok nich siedział starszawy ksiądz, zażywający drzemki ze stopami na torbie.

Naprzeciw duchownego siedziała szczupła kobieta o bardzo ostrych rysach, geometryczny twór ze skóry i kości. Tom nie potrafił określić jej wieku, ponieważ głowę spowijał jej długi, wielobarwny szal, niemalże turban. Miała poza tym drewniane koturny o wyglądzie piętnastokilowych hantli. Na krześle obok niej leżały karty do tarota, które z zapalem studiowała. Gdy ktoś ją mijał, podnosiła głowę i rzucała mu spojrzenie, które zdawało się mówić: „Wiem o tobie wszystko”. Trochę to było męczące. Tom pozwolił kiedyś powróżyć sobie z ręki pewnemu starcowi na Wyspach Dziewiczych, a on obiecał mu długie życie, stadko dzieci, kochającą żonę i same przyjemności. Teraz dość często zastanawiał się, czyby nie odnaleźć starego kłamczucha i nie zażądać zwrotu pieniędzy.

Przyjrzał się starszej kobiecie, posuwającej się za pomocą chodzika. Przypominała mu matkę. Po zawale matka nie mogła mówić, wymyślił więc pewien system. Kładł jej na piersi ich wspólne zdjęcie, a ona podnosiła je zdrową ręką. Oznaczało to, że jest dobrze, że jeszcze nie odeszła. Miał nigdy nie zapomnieć tego dnia, kiedy czekał na podniesienie zdjęcia przez osiem godzin. Nie doczekał się. Matka umarła nazajutrz.

Po kilku minutach pasażerowie chwycili swoje bagaże i ruszyli na peron, a Tom z nimi. Potężny Capitol Limited przyzywał go do siebie.

### **Rozdział 3**

Na dworze było chłodno, a ciężkie chmury zapowiadały śnieg lub przynajmniej deszcz ze śniegiem. W taką pogodę pasażerowie linii lotniczych martwili się opóźnieniami lotów i oblodzeniem skrzydeł, lecz dla dziarskiego Capitol Limited słotna pogoda była bez znaczenia. Wybierał się do Chicago i już. Tom czuł, jak serce w nim rośnie; początek podróży

zawsze podnosił mu poziom adrenaliny. W ostatnim swoim tekście, dla czasopisma poświęconego zdrowiu, analizował niezwykle właściwości diety opartej wyłącznie na suszonych śliwkach i stałym dostępie do toalety. Naprawdę rozpaczliwie tęsknił za przygodą.

Podszedł do czoła pociągu, żeby obejrzyć bliźniacze lokomotywy dieslowskie. Czytał co nieco o tych monstrach. Był to typ P-42, produkowany przez General Electric. Każda z maszyn ważyła niemal sto czterdzieści oszłamiających ton, miała szesnaście cylindrów i moc czterdziestu dwóch tysięcy koni mechanicznych. Wędrując spojrzeniem po ich potężnych cielskach, wyobrażał je sobie na obwodnicy waszyngtońskiej. Czego taka P-42 by nie wyprzedziła, to po prostu by rozjechała.

Wrócił wzdłuż bocznicy biegnącej w tunelu pod dworcem i zobaczył tam zabytkowy wagon w kolorze leśnej zieleni. Zaciekawiał go. Zapytał stojącego nieopodal kolejarza, co to takiego.

- To Marco Polo - odpowiedział tamten - stary wagon Franklina D. Roosevelta, Pociąg Numer Siedem. Teraz przeszedł na własność Norfolk and Southern. Urządzają w nim przyjęcia dla VIP-ów, tu na miejscu.

Jezdnią pod tunelem podjechała właśnie przedłużona limuzyna i zatrzymała się przy byłym wagonie prezydenta Roosevelta.

- Co, znowu obiadek na Marco Polo? - zapytał Tom. - Z Churchillem i Stalinem? - dodał.

Kolejarz najwyraźniej nie zrozumiał dowcipu.

- To nie to - odparł. - Przywieźli jakiegoś ważniaka na ekspres do Chicago. Zawsze ich tędy przywożą. Potem limuzyna wyjeżdża rampą pod dworcem. To dla prywatności, tak samo jak przemycają gwiazdy filmowe na lotniskach.

- A co to za ważniak będzie jechał w moim pociągu? Pewnie jakiś polityk?

Mężczyzna spojrzał na Toma. Wyglądał na weterana kolei i pewnie mógłby mu opowiedzieć mnóstwo świetnych historii, gdyby był czas na ich wysłuchanie.

- Jak panu powiem, to już nie będzie tajemnicy, no nie? - odpowiedział.

Tom odczekał chwilę, żeby samemu zobaczyć, kto wysiądzie z limuzyny, ale nikt nie wysiadał. Miał jednak sporą szansę ujżenia ważnej osobistości w pociągu, gdyż tam już nie było się gdzie ukryć. Wystarczyło dać Tomowi Langdonowi pędzący po szynach ekspres, długopis, papier, wierną lornetkę i zwrot kosztów, a mógł tropić ważniaków nawet codziennie.

Zestawienie wagonów Capa, zwane w żargonie kolejowym „składem”, wyglądało tego dnia następująco: dwie lokomotywy, wagon bagażowy, trzy pasażerskie wagony

sypialne, wagon restauracyjny i jeden sypialny wagon przejściowy, w którym jechała większość obsługi pociągu. Wagon ten miał na jednym końcu dolne drzwi, a na drugim górne, co umożliwiało przechodzenie z normalnych wagonów do piętrowych. Stąd określenie „przejściowy”. Tom poszedł dalej, aż dotarł do konduktora wagonu sypialnego i pokazał mu swój bilet.

- To następny sliping, proszę pana. Regina się panem zajmie - powiedział mężczyzna.

Przeszedł więc do Reginy. Wagon, przed którym stała, naprawdę robił wrażenie. Piętrowy, ponadpięciometrowej wysokości, był najcięższym wagonem pasażerskim na świecie, w terminologii stosowanej przez Amtrak zwanym superlinerem. Chociaż niektórzy uważali podróżowanie koleją za nazbyt staroświeckie, dla Toma pociągi miały w sobie coś tajemniczego. Przeczytał większość klasycznych kryminałów, których akcja działa się w pociągu, i uważał, że jest to miejsce zapewniające wszystkie elementy pełnej napięcia opowieści. Przede wszystkim romantyzm niecodziennej, acz niespiesznej podróży w zamkniętej przestrzeni i ustalona liczba podejrzanych z najróżniejszych środowisk. W najlepszych jego zdaniem powieściach tego gatunku pasażerowie wstrzymywali w ciemności oddech i naciągali koce na głowę, czując, że zaraz wydarzy się coś strasznego. Potem napięcie sięgało szczytu, był rozbłysk światła, krzyk i głuchy odgłos padającego ciała. Następnie, tuż przed świtem, zwłoki o wytrzeszczonych oczach i białej jak kreda skórze odkrywała jakaś tępawa służąca, która darła się jak opętana przez dziesięć minut, obserwowana przez majaczącą w ciemnym kącie postać. Tom był przekonany, że jeśli kogoś taki scenariusz nie porusza, powinien zmierzyć sobie puls.

Regina miała nieskazitelną, ciemnobrązową skórę i wydawała się zbyt młoda, żeby pracować na kolei czy gdziekolwiek indziej. W rzeczy samej, uznał Tom, robiła wrażenie licealistki szykującej się na pierwszy szkolny bal i do pierwszego prawdziwego pocałunku. Wysoka, szczupła i atrakcyjna, wyraźnie lubiła swoją pracę. Na głowie miała czerwono-białą mikołajową czapkę, z rodzaju tych, które nosili pomocnicy Mikołaja w centrach handlowych. Zajmowała się akurat nerwową młodą parą, którą Tom widział w poczekalni. Ksiądz już wsiadał do wagonu, taszcząc ze sobą wielką torbę. Kiedy Regina skończyła z młodymi, Tom podszedł do niej i pokazał bilet.

Przeczytała jego nazwisko i odfajkowała je na liście pasażerów.

- Ma pan miejsce na piętrze, panie Langdon - oznajmiła. - Przedział D. Schody po lewej i korytarzem w lewo.

Tom podziękował jej i z animuszem postawił jedną stopę na schodku dostojnego Capitol Limited. Jego doświadczenie w kwestii wagonów sypialnych ograniczało się jak

dotąd do obejrzenia filmu Hitchcocka „Północ, północny zachód”, z nieskazitelnie eleganckim Carym Grantem, Eva Marie Saint jako panną na wydaniu i wyjątkowo złowrogim Jamesem Masonem. Większość wielbicieli tego filmu pamiętała słynną scenę z samolotem do opylania roślin, w której Cary Grant, w świetnie skrojonym szarym garniturze, stoi samotnie wśród pustych pól, oczekując spotkania z tajemniczym George’em Caplinem, który oczywiście w ogóle nie istniał. Jakieś podstępne umysły w CIA wymyśliły go po prostu dla swoich niecznych celów. Ci kolesie z agencji musieli zawsze kłamać, żeby chronić demokrację na świecie. Ale należy uczciwie przyznać, że dobrze się przy tym bawili i robili to wyłącznie na koszt podatników.

W scenie, która najbardziej zapadła Tomowi w pamięć, było mnóstwo całowania w przestronnym przedziale sypialnym. Cary i Eva zabrali się do rzeczy całkiem ostro... nawet według dzisiejszych kryteriów. Tom przypominał sobie, że oglądając ten film jako młody chłopak o rozbuchanych hormonach, miał nieczyste myśli na temat wszystkich kobiet na świecie, a w każdym razie tych podobnych do Ewy Marie Saint.

Pamiętając film, wiedział także, że jego własny przedział sypialny będzie elegancko umeblowany i obszerny, z miejscem na kilka łóżek i wygodnym kątem do pracy, niewielkim foyer do formalnego witania gości, porządną łazienką z wanną, dodatkowym pomieszczeniem dla służby i małym zespołem jazzowym na balkonie. To dlatego pod koniec filmu Cary i Eva spędzali swój miesiąc miodowy w tym samym przedziale sypialnym. Żadne z mieszkań Toma nie dorównywało mu metrażem.

Zgodnie ze wskazówką Reginy ruszył schodkami na górę. Z bagażem nie było to łatwe, gdyż skręcały pod kątem prostym. Rozumiał jednak, że każdy kawałek wolnej przestrzeni wykorzystano na te wielkie przedziały sypialne. A potem podniósł wzrok i zobaczył przed sobą poważną przeszkodę.

Była to starszawa kobieta, ubrana w coś w rodzaju nocnej koszuli, choć jeszcze nie minęła szesnasta. Stała chwiejnie na ostatnim schodku od góry, szykując się do zejścia w dół. Tom był na przedostatnim schodku. Został mu więc tylko jeden. Tylko jedna podstopnica do pokonania, nim będzie mógł się oddać fantazjom na temat Ewy Marie Saint w swym podniebnym mieszkanku.

- Przepraszam bardzo - powiedział grzecznie.

- Schodzę - oznajmiła kobieta, barytonem tak grzmiącym, że były korespondent wojenny, mężczyzna twardy i silny, poczuł się nagle lekko zniewieściały.

- Może jednak mógłbym jakoś przejść? - zapytał. Ale to nie podlegało dyskusji. Dama była od niego dużo niższa, lecz za to, delikatnie mówiąc, znacząco obszerniejsza.

- Cześć, Regina! - zawołała.

- Cześć, Agnes Joe - odparła Regina. Ponieważ żadne z nich się nie cofnęło, Tom i Agnes Joe rozpoczęli dziwne tango na schodach; krok w górę, krok w dół. Dziennikarz poczuł lekkie nudności.

- Posłuchaj, Agnes Joe - powiedział w końcu. - Jestem Tom Langdon. Mam przedział D. Gdybyś się tylko na chwilę wycof...

Nie skończył, bo starsza pani zamiast się wycofać, dała mu kuksańca. W zasadzie był to raczej solidny prawy prosty, który trafił go z prawej strony głowy. Tom i tak już tracił równowagę, a teraz poleciał do tyłu aż na sam dół, gdzie padł na grzbiet.

Agnes Joe podążyła za spadającym Tomem i była na tyle uprzejma, że przeskoczyła żwawo nad jego rozciągniętym na ziemi ciałem. Tom miał poważne wątpliwości, czy Mark Twain mógłby w taki sposób rozpocząć swą podróż koleją przez kraj. Agnes Joe podeszła do Reginy, która zajmowała się akurat pasażerami i na szczęście nie widziała całego zdarzenia, za co Tom był wdzięczny losowi. W końcu przed chwilą został znokautowany przez starszkę.

- Masz tutaj, słodziutka. Dziękuję za zanieśenie bagażu. - Agnes Joe wręczyła Reginie napiwek.

Tom pozbierał się z podłogi i ruszył do konduktorki. Po drodze spiorunował starą wiedźmę wzrokiem.

- Ja panu zaniosę bagaż, panie Langdon - powiedziała Regina. - Tylko skończę przyjmować pasażerów. Proszę go tu postawić.

- Dziękuję. Mam na imię Tom - odparł, wręczając jej kilka banknotów. Odwdzięczyła się słodkim spojrzeniem, a on obejrzał się na Agnes Joe, która wspinała się powoli z powrotem na schodki. - Od jak dawna pracujesz w tym pociągu? - zapytał Reginę.

- Cztery lata.

- To długo.

- To jest nic, mamy takich, którzy pracują już dwadzieścia lat.

Tom znów obejrzał się na Agnes Joe. Utknęła na kolejnym schodku. Jej nogi się poruszały, lecz nie wchodziła wyżej. Był to fascynujący widok, przypominający gramolącą się wielką poczwarę.

- I pewnie dobrze znasz Agnes Joe? - zapytał Reginę.

- Oczywiście. Jeździ Capem chyba już z dziesięć lat. Tak słyszałam.

- Dziesięć lat! To jakieś jej hobby, czy co? Regina się roześmiała.

- Zdaje mi się, że często odwiedza rodzinę. Bardzo sympatyczna osoba.

Tom pomacał guza, którego nabiła mu na głowie sympatyczna Agnes Joe.

- I jedzie w tym wagonie? - upewnił się.

- Tak, ma przedział obok pana. Och, jakże się cieszę, pomyślał.

Podszedł do schodków. Agnes Joe z niewyjaśnionych przyczyn wciąż stała na tym samym stopniu.

- Pomóc pani? - zapytał.

- Nie trzeba, słodziutki. Daj mi jeszcze chwilkę.

- A może bym przeszedł na górę i panią wciągnął?

Zamierzał przedostać się przed nią, a potem popędzić do przedziału i zamknąć się w środku z Eva Marie, a Cary'ego Granta postawić na straży.

- Zróbże mi trochę miejsca, synu!

Tę ostatnią wypowiedź podkreśliła potężnym ciosem zadany łokciem, który jakimś trafem dosięgnął nerki Toma. Zanim ból minął i mógł się wyprostować, Agnes Joe już sobie poszła. Powlókł się powoli do przedziału D. Cholera jasna, pomyślał, a tak się cieszyłem, że już nie jestem korespondentem wojennym.

## Rozdział 4

Stanąwszy w drzwiach przedziału D, Tom doszedł do wniosku, że gdyby Cary i Eva Marie kręcili scenę pocałunku tutaj, ich film zostałby zatrzymany przez cenzurę obyczajową. Nie miał pewności co do dokładnych wymiarów tego luksusowego pomieszczenia, ale już po dwóch krokach wpadł na przeciwległą ścianę. Nie było ani przedsionka, ani kąta do pracy z biurkiem, ani podwójnego łóża. Podejrzewał całkiem zasadnie, że balkon z zespołem muzycznym, wanna i pokoik dla służby także okazały się fikcją.

Była za to umywalka z lustrem i kontakt do maszynki do golenia, a poniżej dobrze zaopatrzona szafka, w której dostrzegł między innymi papier toaletowy. A więc musiała być także toaleta. Znalazł niewielką szafę, w której można było powiesić płaszcz. Naprzeciw czegoś, co musiało być łóżkiem, choć raczej przypominało koję na statku, wisiało większe lustro. Był tu również składany stolik z wyrytą na blacie szachownicą, który mógł od biedy służyć jako biurko. Dość duże okno zachęcało do wyglądania na dwór, gdzie zaczął właśnie prószyć drobny śnieg, budząc w Tomie gwiazdkowy nastrój. Drzwi do przedziału można było zamknąć na zatrask i zasłonić ciężką kotarą, dającą poczucie prywatności. No dobra, nie jest

tak źle, zdecydował. Pod względem przestrzeni przedział i tak bił na głowę miejsca w samolocie, nawet w pierwszej klasie.

Wrażenie to utrzymywało się dopóty, dopóki nie otworzył drzwi do łazienki. Zgodnie ze znaczkami na drzwiach była to zarazem toaleta i prysznic. Czyżby miał sikać i brać prysznic w tym samym miejscu? Zdarzało mu się wykonywać te bliźniacze czynności jednocześnie, ale zawsze z własnego wyboru. Jako korespondent zagraniczny doświadczał również pryszniców składających się wyłącznie z wielbłądziej śliny, i na to już oczywiście nie miał wpływu.

Tutaj z kolei głównym problemem była pojemność. Przyjrzał się swoim rozmiarom, a potem zlustrował toaletę z prysznicem. Wszedł głębiej i zmierzył się z sytuacją ponownie. Był raczej pewien, że zdoła się jakoś wcisnąć do kabiny. Naturalnie gdy się już znajdzie w środku, potrzeba byłoby ze czterech silnych mężczyzn z ciężkim sprzętem, żeby go uwolnić. Na zewnątrz zaś będzie go bez wątpienia oczekiwać Agnes Joe, która przywali mu w jedyną zdrową nerkę.

Czytał kiedyś o pewnej nieszczęsnej kobiecie, która w transatlantyckim samolocie popełniła niewybaczalny grzech, splukując toaletę, gdy jeszcze siedziała na sedesie. To z pozoru niewinne działanie wytworzyło jakimś sposobem próżnię, która zassała kobietę i przygwoździła ją do sedesu. (Zamierzał napisać list do konstruktorów samolotu, z zapytaniem, dlaczego nie przeprowadzili prób technicznych pod tym kątem). Kobieta przetrwała cały lot, siedząc sztywno wyprostowana. Dopiero po wylądowaniu do toalety wpadła uzbrojona w oliwkę dla dzieci i wielkie plastikowe szpatułki ekipa ratownicza, która uwolniła nieszczęsną zakładniczkę. Tam na jej miejscu wolałby chyba odgryźć sobie nogi i odzyskać wolność samodzielnie.

Nie chcąc dłużej o tym myśleć, wrócił do przedziału i miał już usiąść, gdy nagle coś mu mignęło przy ścianie naprzeciwko łóżka. W pierwszej chwili nie zdążył dostrzec, co to mogło być. Zaraz jednak zjawisko się powtórzyło. Była to Agnes Joe. Jak to możliwe? Z tak rozumianą prywatnością wynajętej kwatery nie spotkał się jeszcze nigdy. Po chwili spostrzegł źródło problemu. Ściany między przedziałami były ruchome, prawdopodobnie dla wygody sprzątających lub na wypadek przemeblowania, lub czego tam jeszcze; w efekcie mógł teraz zaglądać do pokoiku staruszki. Obozował już w towarzystwie wspomnianych wcześniej brudnych, plujących wielbłądów oraz pustynnych nomadów, którzy myli się ostatnio zaraz po urodzeniu, a jego budzikiem bywał ogień z mózdzierzy. Jednakże nigdy nie spał z nikim w rodzaju Agnes Joe i teraz także nie zamierzał tego próbować.

Kiedy podszedł do ściany, żeby ją wepchnąć na miejsce, zajrzał do szpary między przedziałami i znalazł się żrenica w żrenicę ze starszą panią.

- Lepiej mnie nie podglądaj, synku - oznajmiła. - Nie sądzę, żebyś chciał zobaczyć mój stary towar, słodziutki. Znajdź sobie jakąś miłą dziewczynę w swoim wieku.

No dobra, uznał Tom, ta stara dama jest po prostu odpowiednikiem wsiowej dziwaczki, tyle że w jadącym pociągu. Postanowił wejść w rolę.

- Pani towar prezentuje się całkiem nieźle - odparł.

- Chcesz, żebym zawołała Reginę?

- Nie zrobi pani tego. Po co psuć miłe sam na sam?

- Nie próbuj mi dosładzać; na mnie to nie działa. Nie należę do tego rodzaju dziewcząt. Ale możemy się spotkać na drinku po kolacji w restauracyjnym i lepiej się poznać.

- Agnes Joe zatrzepotała rzęsami.

- To propozycja, którą tylko głupiec by odrzucił. Posłała mu filuterny uśmiech.

- Przykro mi, że cię straciłam ze schodów. Chyba mi się ręka omsknęła.

- Skoro już musiało do tego dojść, jest mi bardzo miło, że to była właśnie pani.

Odwrócił się i ujrzał Reginę. Przyniosła jego bagaż.

- Ta ściana znowu wyskoczyła? - Pokręciła głową. - Przecież mówiłam, żeby naprawili.

- Cześć, Regina - rzuciła Agnes Joe przez szparę. - Uważaj na tego gościa. To bałamut.

- Postaram się.

Tom wepchnął ścianę na miejsce.

- Przepraszam za to - powiedziała Regina.

- Nic się nie stało. Babcia jest raczej nieszkodliwa.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Zerknęła nań chytrze spod oka.

Postawiła torby na podłodze i przysiadłszy na skraju kanapki, która w nocy zapewne zmieniała się w łóżko, wyciągnęła bloczek do notowania.

- Przyjmę teraz pańskie zamówienie na kolację. Wagon restauracyjny otwierają o siedemnastej trzydzieści. Jeżeli nie chce pan tam jeść, można też kupić coś do jedzenia w barku. Jest w wagonie wypoczynkowym, zaraz za restauracyjnym, na dole. Zobacz pan schodki w połowie wagonu po prawej. Proszę tylko pokazać bilet Tyrone'owi, który obsługuje ten wagon, i niech pan mu powie, że nie jadł w restauracji. To wszystko jest wliczone w cenę biletu.

- Zjem w restauracyjnym. Może być dziewiętnasta? Zapisała godzinę w notatniku.



- Jak pan będzie na kolacji, przyjdę pościelić panu łóżko. Przy schodkach na górze mamy mały bufecik z napojami, kawą i owocami. Wszystko świeże, cały czas uzupełniam. Proszę się częstować.

- Czy do restauracyjnego trzeba się jakoś specjalnie ubrać?

- Wie pan co, widywałam tu już ludzi w najdziwniejszych ubraniach - odparła rozbawiona. Czy mu się tylko zdawało, czy rzeczywiście spojrzęła przy tym w kierunku Agnes Joe? - Ale większość ubiera się zwyczajnie; jest sporo rodzin z dziećmi. Pana strój jest w porządku.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

Zapytał ją jeszcze o małe wymiary toalety-prysznic. Odpowiedziała, że większe, nawet z przebieralnią, są na dolnym poziomie, tylko czasami trzeba poczekać w kolejce.

- Większość niepełnosprawnych pasażerów je wybiera - dodała dyplomatycznie.

Kiedy zbierała się do odejścia, Tom poinformował ją:

- Jestem dziennikarzem. Chcę napisać reportaż o podróży pociągiem przez cały kraj. Bardzo ją to zaciekało.

- Czym pan pojedzie dalej? - zapytała. - Empire Builder do Seattle, California Zephyr do San Francisco czy Southwest Chief do Los Angeles?

- Southwest Chief do Los Angeles.

- Chief to świetny pociąg. Ma ciekawą historię. Obsługa to cudowni ludzie, będzie się pan świetnie bawił. Większość pracowników w ogóle nie chce stamtąd odchodzić.

Tom wyciągnął notatnik i zaczął robić zapiski.

- Jak o tym mówisz, to ma się prawie wrażenie, że chodzi o jakąś osobę.

- Trochę to tak jest. Kiedy się spędza w pociągu tyle czasu, to człowiek się uczy jego narowów, różnych słabości i mocnych stron. Jedne mają więcej temperamentu, inne są bardziej ustępliwe. Trochę tak jak w małżeństwie. Wiem, że to może dziwnie brzmieć, ale tak jest i już.

- Hmm, kiedy pomyślę o niektórych moich związkach z kobietami, to taka randka ze stu tonową lokomotywą byłaby chyba całkiem przyjemna.

Regina się roześmiała.

- Moja matka pracuje w Chiefie, jest szefową obsługi - powiedziała. - Ma na imię Roxanne. Ważna z niej figura. Zobaczymy się w Chicago; powiem jej o panu. Ona to dopiero zna ciekawe historie.

- Czy to się często zdarza? To znaczy, czy ludzie często pracują na kolei całymi rodzinami?

- Oprócz mamy w kolejnictwie zatrudniona jest cała masa moich kuzynów, wujków i ciotek. Stał się dowiedziałam o tej pracy. Mój syn zresztą też pracuje w Amtraku. Sprząta wagony.

- Twój syn? - Tom spojrzał na nią zdumiony. - Przecież ty wyglądasz, jakbyś właśnie skończyła ogólniak.

- Agnes Joe miała rację, bałamut z pana. - Uśmiechnęła się zmieszana. - Ale dziękuję za komplement. Sławni ludzie też często jeżdżą pociągami, wie pan? Piosenkarze, aktorzy, sportowcy. W większości są bardzo mili. - Spowaźniała trochę. - Tam skąd ja pochodzę, praca na kolei to jest naprawdę coś. Ludzie takiego człowieka poważają, wie pan?

Tom skinął głową. Ten aspekt bardzo go zaintrygował i zamierzał go koniecznie włączyć do tekstu.

- Jak myślisz, czy inni z obsługi też będą chcieli ze mną pogadać? - zapytał.

- No pewnie. Dam im cynk. W tym pociągu każdy ma w zanadru jakąś ciekawą opowieść.

- Nie wątpię.

Regina wyszła. Pociąg szarpnął i ruszył. Silniki dieslowskie nie potrzebowały przekładni, więc nie trzeba było przerzucać opornych biegów. Capitol Limited przyspieszał płynniej od luksusowych samochodów na autostradzie. Tom zerknął na zegarek. Była dokładnie szesnasta pięć. Legendarny Cap, wiozący Toma Langdona z jego życiową misją, wyruszył w drogę.

## Rozdział 5

Otrzymawszy pozwolenie odjazdu od dyżurnego ruchu, Capitol Limited gładko wystartował i pomknął traktem z metalu i drewnianych żeber. Wciągnął swoje wysuwane skrzydła z nierdzewnej stali, pozdrawiając klucz przelatujących ptaków, spłoszył stadko lobbystów, knujących coś w pobliżu Kapitolu, i ruszył na zachód, tak jak niegdyś Mark Twain wchodzący w dojrzałość. Młody Sam Clemens pokonał szlak z Missouri do Nevady podskakującym na wybojach dyliżanssem, nocami śpiąc na workach z pocztą, a za dnia jadąc na dachu w samych gatkach. Choć widział po drodze wiele rzeczy pięknych i wyjątkowych, musiał się także zmagać z pustynią, walczyć z nikczemnymi meksykańskimi zabijakami, kiepskim jedzeniem i nudą. Toma Langdona ciągnęło natomiast tysiąc ton rozszalałej mechanicznej mocy i mógł się cieszyć wygodnym łóżkiem, toaletą oraz Agnes Joe za ścianą.

Jednakże nie był jeszcze pewien, czy to on, czy raczej Mark Twain miał lepszą sytuację w podróży.

Zadzwoił z komórki do Lelii. Nie wiedziała, że jedzie koleją, bo chciał jej zrobić niespodziankę. I w gruncie rzeczy była zaskoczona, lecz niekoniecznie tak, jak tego oczekiwał. Jej reakcja sprawiła, że dzielący ich dystans pięć tysięcy kilometrów wydał mu się nagle czymś strasznym.

- Chcesz jechać pociągiem przez całe Stany Zjednoczone Ameryki!? - wrzasnęła do słuchawki. - Czyś ty oszalał?

Powiedziała to tak, że zaczął się zastanawiać, czy faktycznie nie zwariował.

- Wielu ludzi tak robi, Lelio - bronił się.

- Robiło... w epoce kamienia łupanego.

- Chcę napisać tekst, może nawet książkę - tłumaczył. - O świętach i podróży koleją. - Nie chciał jej zdradzać drugiego z powodów swojej decyzji, ponieważ nie był do końca pewien miejsca tej kobiety w swym dalszym życiu. W każdym razie w tym fragmencie najbliższej przyszłości, który miał nadzieję odkryć podczas podróży.

- Wy czarterowałam już prywatny odrzutowiec. Odlot punkt osiemnasta w Wigilię.

- Słuchaj, mam ze sobą narty i będę na czas. Pociąg przyjeżdża do Los Angeles w Wigilię rano.

- A jeżeli się spóźni?

- Dajże spokój, przecież to pociąg. Stajemy na stacjach, jedni pasażerowie wsiadają, inni wysiadają, toczymy się dalej i jesteśmy w LA jak najbardziej o czasie.

Usłyszał jej głębokie westchnienie. Ostatnio wzdychała dość często. Ich związek wydawał się idealny, ponieważ nie musieli żyć ze sobą na co dzień. Takie problemy, jak: sprzątanie, gotowanie, sposób wyciskania pasty z tubki albo miejsce w łazience były im obce i na ich szczęście nie działały destrukcyjnie. Często jadali na mieście, odbywali romantyczne spacery po plaży w Santa Monica albo robili zakupy na Fifth Avenue. Gdy byli razem, wylegiwali się do południa, a potem nie widzieli się przez kilka miesięcy.

Tom był głęboko przekonany, że gdyby więcej małżeństw funkcjonowało w ten sposób, średnia rozwodów spadłaby w szybkim tempie. Dlatego właśnie się zastanawiał, skąd u niej ostatnio to ciągle wzdychanie.

- Po prostu masz tu być - powiedziała Lelia. - Nie zamierzam popsuć ludziom planów.

- Ludziom? Jakim ludziom?

- Tym, którzy jadą z nami w góry. Była to dla niego zupełna nowość.

- Co to za jedni?

- Przyjaciele z branży: mój agent, mój menażer i jeszcze parę osób. Rozmawialiśmy o tym.

- Nie, nie rozmawialiśmy. Myślałem, że będziemy tylko we dwoje. Tak było przez ostatnie dwa lata.

- Zgadza się i dlatego pomyślałam, że fajnie by było coś zmienić.

- Czyli inaczej mówiąc, bycie tylko ze mną już cię nudzi?

- Nie powiedziałam tego!

- Nie musiałaś. Ta armia ludzi, którą zaprosiłaś na nasze święta, mówi to głośno i wyraźnie.

- Nie mam ochoty się z tobą kłócić. Pomyślałam po prostu, że miło będzie spędzić święta w górach z grupą sympatycznych osób. Większość znasz, to nie są jacyś obcy i wcale nie stanie się tak, że nie będziemy tylko we dwoje, bo będziemy. Zarezerwowałam dla nas osobny pokój, kochanie. I kupiłam nowe body, specjalnie dla ciebie. Jest gwiazdkowe i bardzo nieprzyzwoite - dodała najlepszym ze swych lekko zdyszanych głosów. Tom poczuł ciarki na skórze. Nic dziwnego, że ta kobieta zarabiała takie pieniądze własną krtanią.

Niepokoilo go zawsze właściwe kobietom przeświadczenie, że mogą zwyciężyć w dyskusji z mężczyzną, odwołując się po prostu do jego niższych instynktów, szafując obietnicą nagrody w postaci stosunku płciowego. W walce płci był to odpowiednik wyprzedzającego ataku nuklearnego. Uważał to za nieuczciwe i, szczerze powiedziawszy, obraźliwe dla całego rodzaju męskiego.

A mimo to usłyszał teraz własne słowa:

- Posłuchaj, lalunia, ja też nie chcę się kłócić. Będę na czas, przysięgam.

Rozłączył się i przez chwilę miał w głowie wizję tańczących nieprzyzwoitych body. Czasami wyłazi ze mnie taki strasznie typowy facet, pomyślał ponuro.

Podczas gdy się tak beształ w myślach, na korytarzu zaczął się jakiś ruch. Zanim otworzył drzwi i wystawił głowę, zdążył dojrzeć jedynie rękę i nogę jednej z przechodzących osób. Choć te kończyny tylko mu mignęły, było w nich coś znajomego. Domyślił się, że tamci przechodzili do innej części slipingu. Ważniakom z pewnością przysługiwał jakiś apartament. Wahał się, czy aby nie pójść za nimi i sprawdzić, czy to ci z limuzyny, lecz w końcu uznał, że dopadnie ich później.

Usiadł z powrotem, przyglądając się krajobrazowi za oknem. Pociąg sunął po szynach bardzo gładko, a odgłos toczących się kół działał kojąco. Właściwie nie był to nawet stukot; raczej coś w rodzaju długiego pomruku na przemian z ciszą, a potem szur, bum, bach, jakby

koła wagonów naśladowały zaśpiew cheerleaderek. Świadomość, że uporządkował tę ważką kwestię, sprawiła Tomowi przyjemność.

Pociąg zatrzymał się na pierwszej stacji już po dwudziestu pięciu minutach za Waszyngtonem. Było to Rockville w stanie Maryland. W pobliżu Rockville stał na niewielkim wzgórzu skromny biały kościółek St Mary's. To tutaj został pochowany F. Scott Fitzgerald, bez żadnego innego powodu poza tym, że było jego życzeniem spocząć na zawsze na wsi. Tom doszedł do wniosku, że także powinien pozostawić dokładne wskazówki dotyczące swojego pochówku, a następnie wyjął laptopa i zapisał sobie wszystko, co mogło mu się przydać w reportażu, choć, prawdę mówiąc, niewiele jeszcze widział. Poza tym że został obity przez Agnes Joe i poniżony przez Lelię, podróż jak na razie przebiegała spokojnie.

Wstał, z zamiarem poszukania kolejnego rozmówcy. Pociąg akurat ruszył i musiał się oprzeć jedną ręką o ścianę. Korytarz udekorowany był świątecznymi girlandami, a nad przejściami między wagonami wisiał nawet bożonarodzeniowy wieniec.

Kiedy mijał przedział A, wychodził właśnie z niego starszawy ksiądz, którego widział wcześniej w poczekalni. Wagon się zakołysał i omal na siebie nie wpadli.

- Witam, ojcie - rzucił Tom, pomagając księdzu złapać równowagę.

Eleanor Carter była katoliczką i we wszystkich miejscach na świecie, do których razem podróżowali, obowiązkowo szli na mszę. Eleanor żartowała zawsze, że będzie nad nim pracować bez wytchnienia i albo zostanie zbawiony, albo czeka go duchowa leukotomia. Właściwie to przez krótki czas w liceum rozważał nawet, czy nie zostać księdzem. Jako nastolatek był bardzo chudy i niezdarny; rósł tak szybko, że ścięgna i koordynacja ruchowa za tym nie nadążały. W dodatku miał uporczywy trądzik i wszystko to razem czyniło go wyjątkowo niepopularnym wśród rówieśników. Rozmyślał więc o pracy w samotności, poświęconej modlitwie i introspekcji. Powstrzymywały go tylko dwie rzeczy: nie był katolikiem, a celibat wydawał mu się czymś wyjątkowo dokuczliwym. Kiedy usłyszał o tym wymogu, postanowił raczej zostać gwiazdą rocka.

- Jestem już na emeryturze - powiedział świątobliwy mąż przyjaznym tonem - ale w dalszym ciągu chodzę w sutannie, bo właściwie nie mam innego ubrania poza brązowym garniturkiem z bistoru z lat siedemdziesiątych, za który wciąż proszę Boga o wybaczenie.

- Księdzem zostaje się na całe życie, prawda?

- Paul Kelly, ostatnio od Świętego Tomasza z Akwinu - przedstawił się duchowny.

- Tom Langdon. Jedzie ojciec na święta do Chicago?

- Do Los Angeles. Mam tam siostrę i siostrzeńca. Spędzam święta z nimi.

- To jedziemy w to samo miejsce. Też ekspresem Southwest Chief?

- Jak najbardziej. Słyszałem, że krajobraz po drodze to istne dzieło Boga.

- Może spotkamy się po kolacji w wagonie wypoczynkowym? Wypalilibyśmy sobie po cygarze, mam kilka. - Tom zauważył cybuch fajki, wystający z kieszeni księżowskiego płaszcza. Sam miał ze sobą kilka prawdziwych hawańskich cygar i już nie mógł się doczekać, kiedy zakosztuje ich smaku.

Ksiądz Kelly rzucił Tomowi szelmowski uśmiech i położył mu łagodnie dłoń na rękawie.

- Niechże cię Bóg błogosławi, mój synu. Pociągi to zaiste cywilizowany środek lokomocji, prawda? I może uda nam się zobaczyć tych filmowców - dodał.

- Jakich filmowców?

Duchowny nachylił się ku niemu i rozejrzał po korytarzu, czy nikt nie podsłuchuje. Tom natychmiast ujrzał siebie w roli wysłanego na przeszpieg do Rzymu baptysty czy metodysty, który za chwilę wydobędzie ściśle strzeżone kościelne tajemnice od gadatliwego księdza katolickiego, a potem z wielką uciechą sporządzi raport dla swojej centrali, podczas gdy po Watykanie zaczną krążyć wściekłe memoranda z żądaniem ukarania winnych.

- Przyjechali wielkim autem pod sam pociąg - powiedział Kelly. - Wypytałem dyskretnie kto to, bo jestem ciekawski z natury. Oczywiście księdzu ludzie powiedzą niejedno, bez żadnych oporów. Wierz mi, Tom, są zdolni wyznać wszystko, co tylko sobie wyimaginują, nieważne czy to naprawdę zrobili, czy nie. Bogu dzięki, najczęściej nie. Więc słyszałem, jest ich dwóch. Jeden to jakiś sławny reżyser albo producent... czy ktoś tam taki. Nazwiska nie zapamiętałem. Ta druga osoba to aktor, a może scenarzysta, nie jestem pewien. W każdym razie jadą pociągiem przez cały kraj, bo chcą nakręcić film o takiej podróży.

Filmowcy, pomyślał Tom; reżyser, aktor... Może dlatego jedna z tych osób wydawała mu się znajoma.

- Ciekawy zbieg okoliczności - powiedział.

- Dlaczegoż to?

Tom wyjaśnił, że on z kolei zamierza napisać reportaż z podróży pociągiem. Staruszek wyraźnie się tym ucieszył.

- Wybrałeś sobie dobry temat - stwierdził. - Sporo się najeździłem w życiu koleją; w pociągu zawsze trafiają się jakieś niespodzianki.

- Właśnie zaczynam się o tym przekonywać - odparł Tom.

## Rozdział 6

Pożegnawszy księdza, Tom ruszył dalej korytarzem. Następna sekcja wagonu sypialnego składała się ze zwyczajnych przedziałów, bez toalety i prysznic. Na obu poziomach były ogólnodostępne łazienki, a według informacji Reginy na dole znajdowała się duża kabina prysznicowa, z której zamierzał skorzystać, nie chcąc ryzykować zaklinowania się w swojej. W luksusowej części wagonu przedziały, ze względu na ich wielkość, były tylko po jednej stronie, a korytarz biegł po drugiej. W sekcji standardowej o wiele mniejsze przedziały biegły po obu stronach, a korytarz środkiem. Tom spostrzegł nagle dwie pary rąk wyciągniętych ku sobie w poprzek korytarza i splecionych dłońmi.

Podszedł bliżej i okazało się, że to dwoje młodych ludzi z poczekalni. Mieli przedziały dokładnie naprzeciwko siebie; chłopak po prawej, dziewczyna po lewej.

- Pewnie muszę zapłacić myto, żeby przejść? - zażartował.

Spojrzeni oboje na niego i odwzajemnili uśmiech.

- Przepraszamy - rzekł chłopak, a dziewczyna wstydliwie odwróciła głowę. Mieli oboje koło dwudziestki, a takie same blond włosy i jasna karnacja sprawiały, że wyglądali jak brat i siostra.

- Na święta do Chicago, co? - zagadnął Tom.

- Właściwie to... - zaczął młody człowiek nieśmiało.

- Steve - przerwała mu dziewczyna - przecież nawet nie znamy tego pana.

- Wie pani - rzekł Tom - w pociągu to jest trochę inaczej. Jedziemy razem w długą podróż i ludzie się łatwiej otwierają. Może ja zacznę. Jestem dziennikarzem, chcę coś napisać o podróży przez cały kraj. To na razie tyle. A wy?

Młodzi popatrzyli po sobie.

- My chcemy wziąć ślub - odezwał się Steve.

- Gratuluję. - Przyklęknął i uściskał obojgu dłonie. - Wspaniała sprawa. Mówcie mi Tom, tak przy okazji.

- Steve. A to jest Julie.

- Pobieracie się w Chicago?

- Ee... nie, bierzemy ślub w pociągu - odparł Steve.

- W pociągu? Tutaj?

- Nie tutaj - odpowiedziała Julie. - W ekspresie Southwest Chief, po drodze do Los Angeles. Odjeżdża z Chicago jutro po południu. - Miała południowy akcent, natomiast intonacja Steve'a sugerowała raczej Nową Anglię.

- To znakomicie. Ja też nim jadę - stwierdził Tom. Sam także kiedyś zamierzał oświadczyć się Eleanor właśnie w pociągu. Wracali wtedy do Frankfurtu z Kolonii, po zwiedzaniu katedry. Jechali trzecią klasą. Mieli wprawdzie bilety na pierwszą, lecz nie wiedzieli tego, bo słabo znali niemiecki. Znaczna część trasy prowadziła wzdłuż Renu, a Tom wyczekiwał najlepszego momentu na zadanie tego jednego, jedyne pytania. Pierwotnie chciał to uczynić w katedrze, lecz tłumy turystów z aparatami fotograficznymi i hałaśliwe dzieci nie tworzyły odpowiedniej atmosfery. Zamierzał się oświadczyć tylko raz w życiu i chciał, żeby wszystko wypadło perfekcyjnie.

Pociąg sunął gładko po szynach, mieli za sobą pełen wrażeń dzień, a w sobie kilka szklaneczek pilsnera, razowy niemiecki chleb i soczyste parówki, co wraz z księżycem odbitym w legendarnym i romantycznym Renie wydawało się tworzyć idealne okoliczności.

Tom widział oczyma wyobraźni, jak klęka przed nią na środku przejścia, wyciąga pierścione, wypowiada słowa miłości i prosi o rękę, tu i teraz. Wyobrażał sobie, jak Eleanor płacze, i on także. Wszyscy pasażerowie trzeciej klasy, sami oszczędni Niemcy, wstają i urządzają im owację, bo przecież w obliczu rytuału zaręczyn wszelkie językowe i kulturowe bariery musiały pęknąć. A po przybyciu do Frankfurtu zupełnie obcy ludzie będą na pożegnanie życzyć świeżo zaręczonej parze wszystkiego najlepszego, po niemiecku i w całkiem niezłej angielszczyźnie, a niektórzy nawet wcisną im w dłoń zwitki markowych banknotów.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Po prostu nie oświadczył się Eleanor ani tej nocy, ani żadnej innej. Siedział na swoim miejscu przez całą drogę, ciężki jak armatnia kula, z pierścionkiem w kieszeni, niezdolny go wyjąć i wsunąć na jej palec.

Otrząsnął się z zamyślenia i zwrócił znów do młodych.

- Czy rodziny i goście weselni już z wami jadą, czy wsiądą dopiero w Chicago? - zapytał.

Julie odwróciła wzrok, a Steve zwilżył językiem wargi. Tom trafił w jakiś czuły punkt.

- Właściwie to nasze rodziny... no, wiesz... - zaczął chłopak

- Nic nie wiedzą o waszym ślubie?

- Nie wiedzą i absolutnie się nie zgadzają, żebyśmy się pobrali - odrzekła Julie, ocierając oczy wierzchem dłoni.

- Daj spokój, Julie, po co Tom ma tego wysłuchiwać.

- Sam zapytał - odparowała dziewczyna.

Steve patrzył na Toma, starając się sprawiać wrażenie rozluźnionego.



- Dlatego robimy to bez ich zgody. Bo się kochamy - powiedział.

- To rodzina Steve'a się nie zgadza - dodała jednak Julie. - Uważają mnie za lumpa, ponieważ pochodzę z małej pipidówki w Appalalach. To prawda, że mój ojciec pracował od szesnastego roku życia w kopalni, a matka też nie ma matury, natomiast - spojrzała na chłopaka - twoi rodzice to wyższe sfery z Connecticut, ale to nie znaczy, że jesteśmy lumpami. Moja rodzina wcale nie jest gorsza od twojej, a pod wieloma względami jest nawet lepsza - dodała z żarliwym zacięciem południowca.

Tom zauważył, że nie pomylił się co do ich pochodzenia: dziewczę z Wirginii i chłopak z Connecticut.

- A twoi rodzice popierają to małżeństwo? - zapytał Julie, żeby nieco rozluźnić atmosferę.

- Bardzo lubią Steve'a, ale uważają, że jestem za młoda. Jeszcze studiuje. Oboje studiujemy na Uniwersytecie George'a Washingtona. Tam się poznaliśmy. Rodzice chcą, żebym najpierw skończyła studia.

- To zrozumiałe, szczególnie że sami nie mieli takiej możliwości - odparł Tom. - Na pewno chcą dla ciebie jak najlepiej.

- Najlepiej dla mnie jest być ze Steve'em. - Uśmiechnęła się do niego. Tom widział wyraźnie, że chłopakowi serce się kraje na myśl o tym, co przeżywa jego dziewczyna. Może i byli bardzo młodzi, lecz dość dorośli na to, żeby zakochać się w sobie po uszy.

- Oczywiście, że chcę skończyć studia - ciągnęła Julie - a potem pójdę jeszcze na prawo na Uniwersytecie Stanu Wirginia, i chcę, żeby rodzice byli ze mnie dumni. Ale mogę zrobić to wszystko jako żona Steve'a.

- No cóż, to twoje życie - powiedział Tom - i chyba powinnaś iść za głosem serca.

- Dzięki, Tom - odparła, klepiąc go lekko po dłoni. Gdyby sam zastosował się do tej rady względem Eleanor, wszystko mogłoby się ułożyć inaczej. Jak na ironię, oni również poznali się na studiach. Eleanor należała do tych niesamowicie zdolnych młodych ludzi, którzy robili maturę w wieku szesnastu lat, a mając dziewiętnaście, kończyli college. Po studiach mogliby zajmować się przez jakiś czas dziennikarstwem w Stanach. Napisałiby wspólnie kilka głośnych artykułów, a potem skoczyli na głęboką wodę i samodzielnie stworzyli biuro zagraniczne dla jakiejś raczkującej agencji prasowej. Zebraliby tyle doświadczeń, co inni przez całe życie albo nawet przez kilka żywotów. Zakochaliby się w sobie po uszy, tak jak Steve i Julie. Powinni byli się zaręczyć, a potem wziąć ślub, a jednak skończyło się to wszystko tak dramatycznie, że wspomnienie ich ostatnich wspólnych chwil wciąż sprawiało Tomowi ból.

- Czy ksiądz też z wami jedzie? - zapytał. Przeszło mu przez głowę, że może to ojciec Kelly ma odprawić ceremonię, ale on powiedział przecież, że jest na emeryturze, a poza tym napomknąłby chyba coś o ślubie podczas ich rozmowy.

- Ksiądz wsiądzie w Chicago - odparł Steve. - Uroczystość odbędzie się jutro. Nasi drużbowie też wsiadają w Chicago.

- No to życzę wam wszystkiego najlepszego. Rozumiem, że wszyscy pasażerowie mogą się czuć zaproszeni? - dodał.

- Mamy w każdym razie nadzieję, że ktoś się pojawi - rzekł Steve.

- Właśnie - wtrąciła nerwowo Julie. - Inaczej to byłby bardzo smutny ślub.

- Żadnej panny młodej nie powinno spotkać coś takiego - powiedział Tom. - Ja na pewno przyjdę, Julie, i przyprowadzę wszystkich moich znajomych z pociągu.

Właściwie jeszcze nie miał znajomych, ale cóż to za problem poznać się z kimś na pokładzie Capa? Zresztą miał już w zanadrzu Agnes Joe.

- Wagon wypoczynkowy, o dziewiątej rano - rzekł Steve. - Akurat staniemy na stacji La Junta.

- To znaczy po hiszpańsku „połączenie” - powiedziała Julie. - Chyba pasuje do ślubu, prawda?

- Ciekaw jestem, dlaczego właściwie wybraliście pociąg? - zapytał Tom.

Julie parsknęła śmiechem.

- Może to głupio zabrzmiało, ale kiedy mój dziadek wrócił z wojny w czterdziestym piątym, spotkał się z moją babcią w Nowym Jorku. Byli zaręczeni już przed wojną, ale odłożyli ślub, bo dziadunio zgłosił się na ochotnika.

- Można by się spodziewać, że będą chcieli to zrobić przed jego wyjazdem - zauważył Tom.

Julie pokręciła głową.

- No właśnie, ale zrobili inaczej. Dziadek chyba nie chciał, żeby w razie czego została wdową. Powiedział, że jeżeli przeżyje, to będzie znak od Boga, że mają być razem.

- To bardzo piękne.

- Oczywiście dziadek wrócił, a babcia, ponieważ czekała na niego całe cztery lata, wybrała się aż do Nowego Jorku, żeby tam za niego wyjść. Tylko że mnóstwo żołnierzy chciało zrobić to samo i musieliby czekać tygodniami. Więc zapłacili księdzu, żeby pojechał z nimi pociągiem, i jak tylko wjechali do Wirginii, udzielił im ślubu.

- Domyślam się, że dobrze im się ułożyło?

- Pięćdziesiąt pięć lat w małżeństwie. Zmarli dwa lata temu, jedno tydzień po drugim.

Tom wstał.

- No to życzę wam tego samego.

- Myślisz, że ludzie będą chcieli przyjść na nasz ślub, chociaż nas nie znają? - spytała dziewczyna.

Tom, jak każdy mężczyzna, miał do ślubów stosunek dwuznaczny; rozumiał jednak, jakie to jest ważne dla panny młodej. W wypadku pana młodego, dla porównania, sprawa była o wiele prostsza. Musiał się tylko stawić w miarę trzeźwy, powiedzieć „tak”, pocałować narzeczoną przy wtórze chichotów starych ciotek i nie paść na twarz, dopóki nie zakończy się oficjalna część weselnego wieczoru i nie zostaną policzone prezenty w gotówce.

- Nic się nie martwcie - rzekł Tom. - Pociąg ma w sobie coś takiego, że ludzie się otwierają. Poza tym i tak nie będą mieli wyboru.

Ponownie życzył im najlepszego i ruszył do baru, poznać się z Tyrone'em. Umysł wciąż jednak zaprzętała mu Eleanor. Kiedy odeszła od niego w Tel Awiwie, czuł ból, gniew i pomieszanie, a suma takich emocji sprawia zwykle, że człowiek nie jest zdolny do racjonalnego działania. Zanim zdołał się jakoś pozbierać, minęło tyle czasu, że nie próbował już się z nią kontaktować. Potem upływały kolejne lata i czuł, że jakakolwiek próba nawiązania kontaktu zostałaaby szybko i boleśnie odrzucona. Obiło mu się zresztą o uszy, że Eleanor wyszła już za kogoś innego.

Przeszedł przez wagon restauracyjny, pozdrawiając po drodze kelnerów. Każdy miał na sobie element gwiazdkowego stroju. Byli bardzo zajęci nakrywaniem do kolacji, więc postanowił na razie nie bombardować ich pytaniami. Ruszył dalej, do wypoczynkowego. Kilka osób oglądało tu telewizję, inni po prostu gapili się leniwie na mijane widoki. Zszedł na dół po kręconych schodkach i odszukał Tyrone'a, opiekującego się wagonem.

Rezydował w niewielkim, lecz dobrze zagospodarowanym kącie. Ściany zajmowały tu szafki chłodnicze z kanapkami, lodami i innymi zimnymi przekąskami. Były też chipsy oraz zimne i ciepłe napoje. Zakupy kładło się na przesuwanych tackach, jak w barze. Na końcu dolnego poziomu widniały drzwi oznaczone jako palarnia.

Tyrone miał koło trzydziestki, był wzrostu Toma i przypominał Elvisa, tyle że czarnego. Dziennikarz w pierwszej chwili pomyślał, że nosi perukę, lecz przyjrząwszy się bliżej, uznał, że włosy są prawdziwe. Tyrone w samej rzeczy wyglądał niczym King, imponujący i hebanowy. Całość bardzo przypadła Tomowi do gustu.

- Otwieram za jakieś dwadzieścia minut, proszę pana - powiedział barman. - Spóźnili się z dostawą. Zazwyczaj o tej porze już działam. Dam znać przez głośniki.

- Nie ma problemu. Regina mi powiedziała, że gdybym czegoś potrzebował, mogę się zgłosić do ciebie.

Tyrone spojrzał nań z zainteresowaniem, nie przestając wykladać towaru na półki.

- Aha, to pan jest tym reporterem?

- Tak, to ja.

- Super. Co by pan chciał wiedzieć?

- Na początek, czy jesteś fanem Elvisa.

- Chodzi o włosy, tak? - zaśmiał się tamten. - Wiem, wszyscy o nie pytają.

- Zgadza się, chodzi o włosy.

- Dziękujępaństwu; dziękujępaństwu bardzo. - Tyrone, naśladowując charakterystyczną wymowę piosenkarza, zakręcił po presleyowsku biodrami.

- Jestem pod wrażeniem.

- Znam wszystkie jego piosenki i wszystkie ruchy. Gość całkiem nieźle wywijał jak na białego.

- Długo już pracujesz w tym pociągu?

- W firmie Amtrak od dziewięćdziesiątego trzeciego, a w samym Capie niecałe siedem lat.

- Pewnie widziałeś niejedno.

- Zgadł pan; widziało się to i owo. Ludzie wsiadają do pociągu i normalnie jakby im hamulce puszczały albo co. Wiem, że w samolotach też świrują, jak się ktoś napije i tak dalej, ale to jest nic w porównaniu ze świrami w pociągach. Chce pan może coś do picia?

- Jeżeli masz coś mocniejszego. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że tak.

Tyrone otworzył mu piwo i Tom usadowił się pod ścianą, żeby wysłuchać jego opowieści.

- To było za pierwszym razem, jak jechałem na północ - zaczął barman. - W środku nocy, wyjeżdżaliśmy akurat z Pittsburga, nagle słyszę z sypialnego jakieś wrzaski. Wypoczynkowy był już nieczynny, byłem po służbie, ale poleciałem tam, bo każdy sliping ma tylko jednoosobową obsługę, a ja byłem nowy i chciałem, żeby wszystko grało. Wchodzę na górę, a tam jakiś gość, goły jak go Pan Bóg stworzył, stoi na korytarzu z ładną panią, owiniętą tylko w ręcznik. Do tego jakaś oszalała damulka w piżamie skacze temu koleśowi do gardła, a Monique, konduktorka z tego wagonu, usiłuje ją powstrzymać.

- I co to było, przedziały im się trochę pomyliły?

- No właśnie, ten mężulek chciał, żeby to tak wyglądało. Chodziło o to, że żona złapała go na gorącym uczynku, gołego z kochanką. Wykupił dziewczynie osobne miejsce

dwa przedziały dalej. Jakiś miłośnik mocnych wrażeń, nie wiem. Myślał, że jego pani śpi, bo dał jej pastylkę na sen, żeby się spokojnie zabawić z panienką. Ale kobieta coś wyczuła, nie połknęła pastylki i nakryła ich.

- I co było później?

- Kochanka wysiadła na następnej stacji. A kochasia widziałem, jak wysiadał z żoną w Chicago. Wyglądał jak zbity pies.

Gdy Tyrone tak opowiadał, nie przerywając pracy, spod koszuli wysunął mu się łańcuszek. Tom rozpoznał, co na nim wisi.

- Za co ci dali Purpurowe Serce? - zapytał.

- Za Zatokę Perską - odparł barman, chowając order pod koszulę. - Piechota. Oberwałem szrapnelem w nogę.

- Byłem tam korespondentem. Walki były tak naprawdę o wiele cięższe, niż pokazywali w telewizji w kraju.

- Fakt. W każdym razie dla mnie były wystarczająco ciężkie.

- Chyba lubisz tę pracę, co?

- Praca jak praca, ale jest zabawnie. Staram się jakoś ludzi rozerwać. Wymyślam różne występy, ciągle coś dodaję. Pasażerowie to lubią, szczególnie dzieci. Dzieciaki jakoś pasują do pociągu, rozumie pan, o co mi chodzi? - Tyrone mówił, nie przerywając pracy. - Mam trzy dni służby, a potem cztery wolnego. Tak to jest rozplanowane we wszystkich dalekobieżnych. Na najdłuższych trasach, jak te, którymi jeździ Chief albo Zephyr, jest inaczej... sześć dni roboty, osiem wolnego. Oczywiście w samej pracy jest sporo przerw, ale jeździć tak sześć dni, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, to jednak męczy. Trzeba sporo czasu, żeby dojść do siebie. W pociągu obsługa musi być zawsze na zawołanie; oczywiście zależy na jakim odcinku trasy. Ale ja to lubię. Załoga to zgrany zespół, wszyscy równo zasuwamy, kryjemy się nawzajem, jak rodzina.

- Masz zamiar zostać w Capie?

- Jeszcze nie wiem. Najchętniej przeskoczyłbym kilka szczebelków wyżej i zaczął zarabiać prawdziwe pieniądze.

- To znaczy dokąd? Do dyrekcji?

- Do dyrekcji? - Tyrone parsknął śmiechem. - Niech pan nie żartuje. Najlepszą kasę robią czerwone czapki, bagażowi. Zarabiają na napiwkach, jakby mieli drukarnię pieniędzy.

- Chcę się napić, i to natychmiast! - rozległ się nagle rozkazujący głos.

Odwrócili się obaj. Stojący z tyłu mężczyzna w trzyczęściowym prążkowanym garniturze miał minę, jakby był niezadowolony absolutnie ze wszystkiego w swoim życiu.

Tyrone wzniósł oczy do nieba.

- Jak się pan miewa, panie Merryweather? - zapytał.

- W ogóle się nie miewam i chcę drinka. Szkocka z lodem. I to zaraz.

- Jeszcze nieczynne, proszę pana. Zapraszam za... Merryweather podszedł bliżej, nakazując mu gestem milczenie.

- Ten pan pije piwo - powiedział - które, jak mniemam, dostał od ciebie. Zapłaciłem za bilet i jeżeli mi odmówisz, to możesz sobie - spojrzał na identyfikator Tyrone'a - Tyrone, zacząć szukać nowej pracy, bo jak tylko wysiądę z tego pociągu, będziesz bezrobotny. - Merryweather zerknął na swój bajerancki zegarek. - Czekam, Tyrone;

- Oczywiście, proszę pana, już się robi.

Barman przygotował drinka i podał mężczyźnie szklanę. Ten pociągnął łyk.

- Więcej szkockiej, człowieku! Wy zawsze nalewacie za mało. Kradniecie dla siebie, czy co?

- A może by się pan trochę wyluzował? - odezwał się Tom.

Merryweather odwrócił się do niego.

- Pan chyba nie wie, kim ja jestem? - zapytał.

- Wiem. Jest pan dupkiem, do tego bardzo z siebie zadowolonym.

Mężczyzna zrobił tak kwaśną minę, że skóra na wydętych policzkach omal mu nie popękała.

- Powiedz mu, kim jestem, Tyrone. Ty przecież wiesz, tak czy nie?

- Proszę spojrzeć - rzekł barman - dolewam szkockiej do pańskiego drinka i bardzo porządnie mieszam. Może ogłosimy rozejm?

- Jestem Gordon Merryweather. Król spraw z oskarżenia publicznego. Jak mnie wkurzysz, widzimy się w sądzie i wychodzę stamtąd z całym twoim majątkiem, choć sądząc po twoim wyglądzie, nie ma tego zbyt wiele.

Tom zrobił krok w jego stronę, z zaciśniętymi pięściami.

- Bardzo dobrze, zrób to - powiedział Merryweather. - To jeszcze cię wsadzę do pudła.

Tyrone stanął między nimi.

- Panowie, ochłońcie, dobrze? Wyobraźcie sobie, że w pociągu pada bardzo zimny śnieg. Po prostu rozejdźmy się w pokoju. Hej, słuchajcie, przecież jest Boże Narodzenie. Jedźcie pan na Gwiazdkę do domu, panie Merryweather? Zobaczycie się z żoną i dziećmiakami? Na pewno ma pan dla nich mnóstwo prezentów?

- Jestem rozwiedziony. A moje dzieci to rozwydrzone łobuzy, niewarte ani mego uczucia, ani szczodrości.

To powiedziawszy, Gordon Merryweather odszedł, popijając szkocką. Z połowy korytarza doleciał ich jego śmiech.

Tom spojrzął na Tyrone'a.

- Dziwne, że nie powiedział: „Gwiazdka, też coś! To dobre dla mięczaków!”.

- Lepiej z nim nie zadzierać - pokręcił głową barman. - Będzie pana ciągał po sądach latami. Zdjęcie tego gościa jest w encyklopedii, pod hasłem „koszmary nocne”.

- Dziwne, że „król spraw z oskarżenia publicznego” podróżuje pociągiem. Prawdopodobnie stać go na własny samolot.

- Słyszałem, że pan twarżel Merryweather boi się latania. Powinien kupić sobie własny pociąg i odczepić się od mojego.

- O mały włos nie wbiłem mu tej szklanki do gardła. Dzięki, że mnie powstrzymałeś. Mam pewne plany życiowe, niezwiązane z pobytem w więzieniu.

- Zawsze do usług - odrzekł z uśmiechem Tyrone.

Tom zauważył, że mężczyzna uwija się jak w ukropie, żeby otworzyć wreszcie bar, postanowił więc zakończyć spotkanie.

- Dzięki za opowieść i za piwo.

- Niech pan wpadnie po kolacji. Podam coś mocniejszego.

- Coś mocniejszego? Świetnie, to mój ulubiony napój!

## Rozdział 7

Tom wrócił do przedziału i wyjrzał za okno. Dopiero kwadrans po piątej, a już zrobiło się ciemno. Minęli akurat Harper's Ferry w Wirginii Zachodniej, miejsce okryte sławą przez Johna Browna, który w przededniu wybuchu wojny secesyjnej napadł tutaj na rządową zbrojownię, po czym zapłacił szubienicą za swoje miejsce w podręcznikach historii.

W Cumberland, w stanie Maryland, Cap miał przejeżdżać tunelem Grahama, długim na ponad pół kilometra. Według kolejowej broszurki informacyjnej zarówno wjazd do tunelu, jak i wyjazd znajdowały się w Wirginii Zachodniej. Jednakże za przyczyną tajemnic geografii oraz, jak sądził Tom, pomyłki mierniczych, którzy wytyczali granice stanów, sam tunel leżał w Marylandzie. Później Cap miał też przekroczyć Cumberland Gap, sławny wyłom w ścianie Appalachów, którym przedostawali się ludzie pogranicza zdążający ku równinom i Pacyfikowi. Gdyby nie owa wyrwa w skałach, Ameryka pozostałaby może aż do dzisiaj pstrokatym pasem trzynastu uciśnionych angielskich kolonii.

Za miastem Cumberland pociąg miał mijać miejsce o nazwie Lover's Leap, skok kochanki. Legenda głosiła, że pewna indiańska księżniczka, której ojciec zabronił poślubić amerykańskiego żołnierza, rzuciła się tu z rozpaczy ze skały. Udręczony wódz podobno podążył jej śladem. Tom raczej nie planował podzielenia się tą opowieścią z Julie i Steve'em. I tak już byli dość niespokojni.

Uznawszy, że pora zapolować na filmowców, przeszedł przez wagony w kierunku przeciwnym do restauracyjnego i znalazł się w kolejnej sekcji przedziałów sypialnych. Dostosował już swoje wycucie równowagi do lekkiego kołysania i szarpnięć pociągu i z dumą stwierdził, że na trzy pewne sposobności przewrócenia się, zrobił to tylko raz. Zwolnił teraz kroku. Przedziały luksusowe oznaczano literami, a normalne cyframi. Był przekonany, że osobnicy z Hollywood podróżowali pierwszą klasą, szczególnie ci okryci sławą... bądź niesławą. Podążył więc ku tej sekcji, z nadzieją, że któryś z filmowców wyjdzie akurat z ukrycia i będzie można go zagadnąć. Może nawet zaproponuje mu rolę w jakimś kasowym przeboju i Tom po zarobieniu miliona też będzie mógł się beztrząsko okryć niesławą?

Dotarł pod pierwszy przedział. Kotara wewnątrz została dokładnie zaciągnięta i nic nie mógł zobaczyć, choć słyszał za drzwiami jakiś ruch. Za to zasłona w następnym przedziale nie była już tak szczelna i można było coś dojrzeć. Tom rozejrzał się szybko po korytarzu i przysunął nos do szyby. W przedziale urządzono coś w rodzaju biura. Stał tam włączony laptop, a obok chyba drukarka i stabilizator napięcia. Po niewielkiej wolnej przestrzeni kręcił się wysoki młody mężczyzna w golfie, ostrzyżony na płaskiego jeża. Gdy się odwrócił, Tom ujrzał na jego głowie słuchawki, podłączone do komórki wiszącej na pasku od spodni.

To chyba nie jest ten sławny reżyser, zdecydował. Gość nie wyglądał na typowego filmowca, chociaż trudno było określić, jak taki ktoś powinien wyglądać. Doszedł jednak do wniosku, że był to albo aktor, albo scenarzysta. Tom uważał, że raczej scenarzysta. W końcu miał komputer i drukarkę. No i wyglądał na młodego, wdechowego pisarza, jakich się ceni w Hollywood. Powszechnie przecież wiadomo, że ludziom po trzydziestce usuwa się rytualnie gen wdechowości i funduje kiepską fryzurę, a w nagrodę wręcza praktyczne buty.

Tom przeszedł pod następny przedział. Miał już do niego zajrzeć, kiedy drzwi się odsunęły i omal nie wpadł na wychodzącego mężczyznę.

- Przepraszam - powiedział tamten. Trzymał w ręce niezapalony papierosa. - Powiedzieli mi właśnie, że nie wolno palić w przedziale - wyjaśnił Tomowi, jak gdyby musiał się przed nim wytłumaczyć.



Ten zaś zlustrował go szybko spojrzeniem, zwyczajem doświadczonego reportera. Mężczyzna był średniego wzrostu, tuż po sześćdziesiątce, szczupły, lecz z początkami brzuszka. Miał gęste, srebrne włosy, zdrową kalifornijską opalenizną bożonarodzeniową i bardzo drogie ubranie, składające się z czarnych spodni, białej jedwabnej koszuli i tweedowej marynarki oraz pary butów od Brunona Magliego. Po prostu czuło się, że kosi miliony na pełnym luzie.

- Na dolnym poziomie widziałem palarnię - poinformował go Tom.

- W takim razie tam właśnie się udam. Próbowałem rzucić to sto tysięcy razy, i nic. Nawet hipnoza nie pomogła.

- Ja paliłem dwie paczki dziennie, a teraz się ograniczam do cygara dla przyjemności, raz na jakiś czas.

- Jak pan tego dokonał? - Mężczyznę wyraźnie to zainteresowało.

- W pewnym sensie zależało od tego moje życie.

- No, tak, rozumiem. Kto by chciał umrzeć na raka płuc.

- Nie, to nie to. Byłem korespondentem zagranicznym i jechaliśmy kiedyś w konwoju całą grupą dziennikarzy. Zaatakowali nas partyzanci. Samochód z przodu został trafiony, ale nasza ochrona kazała nam siedzieć spokojnie. Potem eksplodowała ciężarówka za nami, a strażnicy ponownie polecieli nam się nie ruszać. W końcu pocisk z moździerza wybuchł tuż koło nas, a oni znowu kazali nam zostać na miejscach. Po czym wyskoczyli z auta i uciekli.

- O mój Boże. I co było dalej?

- No cóż, byliśmy pod ostrzałem i nie zamierzaliśmy czekać na następny pocisk, który nas załatwi. Wyskoczyliśmy i pobiegliśmy w góry. Reporter z Reutera, gość koło pięćdziesiątki i nałogowy palacz, nie dał rady. Padł i już się nie podniósł. Prawdopodobnie zawał.

- Nie zatrzymał się pan, żeby mu pomóc?

- Zatrzymałbym się, ale już kogoś niosłem. Miał skręconą kostkę i nie mógł iść. Gramoliłem się pod tę górę i myślałem, że płuca mi pękną. Czułem się tak, jakby każdy papieros, którego w życiu wypaliłem, teraz wracał, żeby mnie wykończyć. W końcu udało nam się dotrzeć do obozu sił rządowych. Ale mało brakowało.

- A tamten facet?

- Mam nadzieję, że serce mu wysiadło, zanim dopadli go partyzanci, bo raczej nie słynęli ze współczucia. Od tamtej pory nie wziąłem papierosa do ust. Oczywiście - dorzucił Tom - nie zalecałbym takiej kuracji odwykowej każdemu. Skutki uboczne mogą być dość poważne.

- Wyobrażam sobie. Cóż za historia! Korespondent wojenny, hm?

- Już nie. Teraz pisuję takie dramatyczne historie, na przykład jak zbudować małżeńską garderobę, żeby mąż też miał prawo do życia, albo jak uniknąć straszliwych pułapek domowego grillowania.

Mężczyzna się roześmiał i podał mu rękę.

- To niezłe. Bardzo zabawne. Jestem Max Powers, tak przy okazji.

Tom miał już wcześniej wrażenie, że zna tę twarz, a kiedy usłyszał nazwisko, przypomniał sobie. Był to sławny reżyser, od wielu lat w pierwszej dziesiątce najpotężniejszych ludzi Hollywood. Choć znany raczej z niebywale kasowych przebojów, nakręcił też kilka filmów, które spodobały się krytykom, miał parę nominacji do Oscara, a przed kilku laty go otrzymał.

- Tom Langdon. Widziałem sporo pańskich filmów. Uważam, że naprawdę potrafi pan opowiadać. Dla mnie to jest o wiele ważniejsze niż te wszystkie intelektualizmy, za którymi tak się uganiam krytycy.

- Dzięki. Właśnie to usiłuję robić, opowiadać ciekawe historie. Proszę mi mówić Max.

- Powers wsunął niezapalony papierosa do kieszonki koszuli i rozejrzał się po korytarzu. - Właśnie próbujemy tu sklecić jakąś opowieść o podróżowaniu tym niezbyt popularnym środkiem lokomocji.

- Pociąg ma w sobie jakąś szczególną magię, prawda?

- Dokładnie. Samochody można sobie od razu odpuścić. Debilni kierowcy, zatłoczone autostrady i żarcie z fast foodów aż do rzygania. Dziękuję bardzo. Samoloty z kolei są bezosobowe i denerwujące. Ja na przykład nie lubię latać, ale w tej pracy muszę. Kiedyś wracaliśmy z Cannes i wpadliśmy w mocną turbulencję, więc poszedłem do toalety zapalić, bo byłem zdenerwowany. Oczywiście alarm przeciwpożarowy się włączył i po wylądowaniu zostałem aresztowany. Poszedłem siedzieć za zapalenie mentolowego bez filtra! Wydałem trzydzieści kawałków na koszty sądowe, a i tak dołożyli mi jeszcze pracę społeczną. Ale pociąg to co innego. - Tom Powersa złagodniał. - Jestem rodowitym Kalifornijczykiem, a mój stary był konduktorem na trasie do Santa Fe w czasach, kiedy jazda koleją to była podróż z klasą. Czasami ojciec prosił maszynistę, żeby pozwolił mi jechać w kabinie. Mówię ci, Tom, nie ma fajniejszego uczucia na świecie. Zawsze wiedziałem, że o jeździe koleją można by jakoś zgrabnie opowiedzieć, ale inaczej, niż to robiono do tej pory. No i teraz wreszcie zacząłem coś działać w tym kierunku.

Tom podzielił się z nim wrażeniami ze swoich podróży pociągami.

- Dotarcie z punktu A do punktu B w ogóle nie jest ważne - podsumował. - Liczy się sama jazda. To jest dopiero przedstawienie; należy tylko poświęcić trochę czasu, żeby je sobie obejrzeć. Ten pociąg po prostu żyje, można w nim zobaczyć i usłyszeć mnóstwo rzeczy. To żywy, oddychający organizm, trzeba jedynie chcieć się nauczyć jego rytmu. - Słuchał własnych słów, zastanawiając się, skąd one się biorą. Może to sam Cap tak na niego działał?

Powers chwycił go nagle za ramię, podekscytowany.

- Widzę, Tom, że świetnie rozumiesz, co chciałbym wydobyć z tej historii - powiedział i plasnął się dłonią w czoło. - Ha, znów mnie olśniło, niesamowita sprawa, ciągle mi się to zdarza. Słuchaj, przecież ty jesteś dziennikarzem, widziałeś kawał świata, a teraz jedziesz pociągiem, żeby uchwycić puls Ameryki w przededniu świąt, dobrze mówię?

- No, tak, mniej więcej - odparł Tom ostrożnie. Nie bardzo wiedział, do czego to wszystko zmierza, lecz Max Powers najwyraźniej płynął już na fali swego „olśnienia”.

- Uważam, że mógłbyś popracować z moim scenarzystą. Stworzylibyście zespół... tylko na czas tej podróży. W celu zebrania materiału. Wymienialibyście się notatkami, zasłyszonymi historyjkami i tak dalej. Burza mózgów. Oczywiście nie za darmo, zapłaciłbym ci, poważnie mówię.

- Ale ja już przecież pracuję nad własnym tekstem.

- No i to właśnie jest piękne. Napiszesz swój reportaż, a dodatkowo twój materiał pomoże mojemu człowiekowi skonstruować scenariusz. Dwa w jednym, supersprawa. Kapujesz?

Tom skinął głową, choć niezbyt go pociągała perspektywa pracy ze smarkaczem. Nie był ani młody, ani wdechowy i wiedział, że jeśli facet nazwie go chociaż raz „koleżką” albo wypśnie mu się „ciao” zamiast zwykłego „do widzenia”, może być niedobrze.

Ku jego zdziwieniu jednak, Max minął przedział młodziaka ze słuchawkami i zapukał do następnych drzwi.

- Ubrana jesteś? Tu Max.

Drzwi się odsunęły i Tomowi zaparło dech w piersiach. Nie słyszał już nawet pomruku na przemian z ciszą, a potem szur-bum-bach jadącego pociągu, spoglądał bowiem prosto w oczy Eleanor Carter.

## **Rozdział 8**

- Eleanor Carter, Tom Langdon - przedstawił ich Max.

Żadne nie wydobyło z siebie słowa. Wpatrywali się w siebie w milczeniu tak długo, że w końcu Powers zapytał:

- Przepraszam, czy wy się może znacie?

- Sprzed lat - pospieszyła z odpowiedzią Eleanor. Była jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, a poprzeczkę ustawiał dość wysoko. Wysoka i wciąż smukła, nie ścięła - jak to często czynią kobiety dobiegające czterdziestki - swych kasztanowych włosów. Wciąż sięgały ramion i dodawały jej seksapilu. Na twarzy Eleanor pojawiło się kilka nowych zmarszczek, lecz nawet one - zaświadczać, że właścicielka przeżyła niejedno - przydawały jej atrakcyjności, której nieskazitelnie gładka młoda skóra nie mogłaby zapewnić. Spojrzenie wielkich zielonych oczu zwałało z nóg i Tom już miał ochotę rozejrzeć się za krzesłem, żeby się nie przewrócić. Była ubrana w szare wełniane spodnie, eleganckie czarne półbuty na niskim obcasie i biały sweter z wyłożonym kołnierzykiem niebieskiej koszuli. Wciąż doskonale pamiętał ten dzień, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy w miasteczku studenckim. Była wtedy w króciutkich szortach, stanowiących oprawę dla długich nóg, i w czerwonym bezrękawniku; włosy miała związane żółtą bandaną. Nie mógł oderwać od niej spojrzenia i przez następne piętnaście lat prawie nie odrywał.

Oboje ukończyli dziennikarstwo i po dyplomie postanowili pracować wspólnie. Pierwszy reportaż napisali dla małej gazety z Georgii. Podążali wtedy śladem słynnego Wielebnego Little Boba Humphriesa przez całe południe, od Anniston w Alabamie aż po Tupello w Missisipi, poprzez wszystkie możliwe dziury po drodze. Wielebny Bob, w białym garniturze, białych butach i bardzo, bardzo szerokim białym pasie, potrafił uzdrawiać chorych, uspokajać gniewnych, pocieszać sieroty i ratować grzeszników, wszystko to w ciągu jednego posiedzenia i za całkiem przyzwoite pieniądze. W zasadzie za wszystko, co dany delikwent miał przy sobie. Człowiek mógł ukryć swoje ostatnie grosze w najgłębszych zakamarkach, a Wielebny Bob i tak zawsze je wywęszył i odebrał z takim wdziękiem, że każdemu robiło się wstyd z powodu własnego skąpstwa.

Świątobliwy mąż poruszał się zbudowanym na zamówienie chevroletem, największym jaki Tom widział w życiu. Okazało się, że jest tak głównie ze względu na olbrzymią przestrzeń bagażową, jako że sympatyczny duchowny bez skrupowania przyjmował jako zapłatę wszystko, od pieniędzy po wędzone domowe szynki, a czasem także fizyczną asystę, świadczoną przez rodzinę nieszczęsnej ofiary. Tom uważał, że Little Bob musi być jakoś spokrewniony z Królem i Księciem, kanciarzami z „Przygód Hucka”. W przeciwieństwie do eleganckich oszustów z arcydzieła Twaina, Wielebny Bob nie został nigdy przepędzony z miasta ani unurzany w smole i pierzu. Gdyby jednak oszwabionym

obywatelom przyszło coś takiego do głowy, Pan Bóg prawdopodobnie nawet by okiem nie mrugnął. Kto wie, może wręcz zesłałby im jakiś cud albo i dwa, w nagrodę za dobry uczynek?

Tom nie mógł jednak nie podziwiać charyzmy i konsekwencji tego człowieka. Podczas zbierania materiałów nawet jemu zdarzyło się oddać Little Bobowi ostatnie dwadzieścia dolarów, choć przecież nie był baptystą. Tej chwili słabości i zidiocenia wstydył się po dziś dzień. Należy jednak przy okazji oddać sprawiedliwość Eleanor, albowiem udało się jej odzyskać tę dwudziestkę... jako jedynej osobie, która kiedykolwiek wydostała swoje pieniądze od Humphriesa bez wyroku sądowego. Ich artykuł odsłonił kulisy działania szarlatana, był cytowany w krajowych mediach i nie tylko przyniósł im rozgłos, lecz przerwał także oszukańczy proceder Wielebnego.

- I co tam u ciebie? - spytała chłodno Eleanor.

- Dużo pracuję. Przez ostatni rok głównie w Stanach - udało mu się wykrztusić.

- Wiem. Czytałam twój tekst o meblach Duncana Phyfe'a w „Architectural Journal”. Po raz pierwszy w życiu artykuł o zabytkowych meblach zdołał mnie rozbawić. Niezłe to było.

- Między nami mówiąc - odparł Tom, zachęcony jej odpowiedzią - jak zaczynałem, nie odróżniałem Duncana Phyfe'a od Duncana Hinesa\*, ale obkuwałem się jak szalony i złapałem wiatr w żagle, a forszę wydałem potem na byle co. Znasz mnie.

\* Duncan Phyfe - meblarz amer. z przełomu XVIII i XIX w. Duncan Hines - autor przewodników kulinarnych.

- Znam, znam. - Powiedziała to bez cienia uśmiechu, choć Max zachichotał.

Widząc spojrzenie wielkich szmaragdowych oczu, wwiercające się weń bez odrobiny sympatii, Tom poczuł ucisk w żołądku i suchość w gardle. Miał wrażenie, że wokół jego kostek zaczynają się już formować cementowe buciki. To odczucie nieuchronnej zagłady przyniosło mu pewne ukojenie, wiedział bowiem, że koniec nadejdzie szybko i niemal bezboleśnie.

- Jesteś teraz scenarzystką? - udało mu się odzyskać głos.

- Eleanor jest jednym z najściślej strzeżonych sekretów Hollywood - odpowiedział za nią Max. - Jej specjalność to redagowanie i poprawianie scenariuszy. Wiesz, czasem się zdarza, że scenariusz się rozłązi i potrzebny jest natychmiastowy cud. Wtedy wkracza Eleanor i wszystko wskakuje na miejsce, to istna magia. Uratowała mi tyłek już niejedną raz, kiedy jakiś pisarz z tak zwanej górnej półki skasował mnie na grube miliony, a potem zawałił sprawę. Przy pięciu ostatnich filmach właściwie można powiedzieć, że napisała całe scenariusze na nowo. Wreszcie ją namówiłem, żeby stworzyła coś własnego.

- Wcale mnie to nie zaskakuje; zawsze miała świetne pióro - odparł Tom. Ten komplement również nie spotkał się z reakcją. Cement sięgał mu już do połowy łydki.

- Co znów wymyśliłeś, Max? - zapytała Eleanor, skinąwszy lekko głową w stronę Toma. Wyraźnie nie miała ochoty na podróż szlakiem pamięci. Chciała z tym wszystkim, czyli z jego osobą, jak najszybciej skończyć.

- Przyszedł mi do głowy genialny pomysł. - Max wyłuszczył jej sprawę, a Tom, słuchając go, zastanawiał się jednocześnie, czy nie powinien wyskoczyć przez okno pod koła pociągu. Było całkiem jasne, że ten akurat przejaw geniuszu reżysera wcale się Eleanor nie spodobał.

- Muszę się nad tym zastanowić, Max - powiedziała jednak.

- Ależ oczywiście. Wiecie co, może spotkamy się później na drinku? Ktoś mi powiedział, że w tym pociągu można się napić.

- A można, można - odrzekł Tom i dodał żartobliwie: - Właściwie cały pociąg to jeden wielki bar. - Zerknął na nią, lecz ona patrzyła gdzieś w przestrzeń. Cement unieruchomił mu już ręce.

- No to układ stoi. Koło ósmej, zgoda? - powiedział Max.

- Można też zjeść kolację - rzekł Tom. - Mam rezerwację na siódmą. - Znów na nią spojrzał, jak gdyby licząc, że mu zaproponuje swoje towarzystwo.

- Jadłam późno lunch - oznajmiła Eleanor. - Kolację sobie podaruję.

- Ja też się raczej nie piszę na kolację, Tom - powiedział Max. - Muszę w tym czasie zatelefonować pod kilka numerów.

- Czy chcesz się zagłodzić na śmierć?

Jak na ironię, w tym momencie cement dotarł już do ust Toma.

- Nie ma obawy. Kristobal na pewno zapakował to, co lubię. Właściwie to żywię się przekąskami.

- Kristobal?

- Mój asystent. Jest tutaj obok. - Max wskazał przedział, w którym Tom widział chłopaka ze słuchawkami.

I właśnie w tej chwili, zupełnie jakby wypowiedziane przez szefa imię dotarło do uszu asystenta przez zamknięte drzwi, Kristobal wyłonił się z przedziału.

- Czy potrzebuje pan czegoś, panie Powers? - zapytał.

- Nie, wszystko w porządku. To jest Tom Langdon, poznajcie się. Może będzie nam pomagał przy scenariuszu.

Kristobal był wzrostu Toma, młody, przystojny i dobrze zbudowany. Ubrany według najnowszej mody, zarabiał prawdopodobnie w tydzień tyle, ile Tom w ciągu roku. Wyglądał poza tym na skutecznego i inteligentnego, w związku z czym Tom natychmiast go zniechęcił za wszystko.

- To wspaniale, szefie - rzekł Kristobal. Tom wyciągnął rękę i wymienili uścisk dłoni.

- Miło mi pana poznać - powiedział, starając się ignorować chrzęst żwiru między zębami.

- No dobra, wszystko już wiemy - stwierdził Max. - Eleanor się zastanowi, o ósmej idziemy na drinka, a teraz muszę natychmiast zapalić, bo już mi grozi hiperwentylacja. - Rozejrzał się niepewnie.

- W tę stronę - pokazał Tom - dwa wagony dalej, przejdziesz przez restauracyjny do wypoczynkowego, schodkami w dół i po prawej zobaczysz drzwi do palarni.

- Dzięki, Tom, jesteś nieoceniony. Czuję, że to wszystko świetnie się ułoży, to był znak z nieba. Moja chiromantka powiedziała mi, że zdarzy się coś dobrego. Jakieś przypadkowe spotkanie. No i popatrzcie, zdarzyło się. To był dobry dzień. - Max wetknął sobie papierosa do ust i odmaszerował pospiesznie w swych butach od Magliego.

- Zapalniczkę ma pan w prawej kieszeni marynarki! - zawołał za nim Kristobal.

Reżyser machnął niecierpliwie dłonią, Kristobal schował się do biurowej nory i nagle Tom został sam z Eleanor.

Przez dłuższą chwilę stali nieruchomo, unikając nawet kontaktu wzrokowego.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - odezwała się w końcu Eleanor. - Tylu ludzi jest w tym pociągu i akurat ty... - Zamknęła oczy i powoli pokręciła głową.

- Mnie to też trochę zaskoczyło, nie powiem - odparł Tom i dodał: - Wyglądasz świetnie, Ellie. - Pamiętał, że nikt inny nie zwracał się do niej tym zdrobnieniem. Nigdy nie protestowała, a on lubił dźwięk tego słowa. Eleanor otworzyła oczy i skupiła na nim spojrzenie.

- Nie mam zamiaru owijać w bawełnę - powiedziała. - Max jest cudownym, utalentowanym reżyserem, jednak czasem wyskakuje z jakimiś księżycowymi pomysłami, które po prostu nie mogą wypalić. Naprawdę uważam, że to jest właśnie jeden z nich.

- Słuchaj, wpadłem na niego przypadkiem. To nie moja wina, że się tak podniecił tym pomysłem. Nie chcę, żebyś robiła coś, na co nie masz ochoty, i sam też, szczerze powiedziawszy, jeszcze nie wiem, co o tym myśleć.

- Czyli mogę powiedzieć Maxowi, że nie jesteś zainteresowany?

- Jeżeli tego właśnie chcesz, Ellie, to nie ma sprawy. Przyjrzała mu się uważniej i aż się skurczył pod tym badawczym spojrzeniem.

- Tego właśnie chcę - odparła i wróciła do swego przedziału, zasuważąc starannie drzwi.

Tom stał jak skamieniały, niczym posąg czekający na zagruntowanie i pomalowanie. Ani pomruk-cisza i szur-bum-bach Capa, ani zmyślnie szarpnięcia potężnego pociągu nie potrafiły w tym momencie poruszyć tego mężczyzny pogrążonego w bezdennej, nieutulonej rozpaczy.

## Rozdział 9

Tom powlókł się do swego przedziału i padł na rozkładane łóżko. Jechał pociągiem razem z Eleanor! Wprost nie mógł w to uwierzyć! Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że podróż, którą przedsięwziął, aby zrozumieć siebie, odbędzie w towarzystwie osoby, której nieobecność w jego życiu skłoniła go właśnie - między innymi - do wyruszenia na tę cholerną wyprawę. A kto był winien tej nieobecności? Czy chociaż raz poprosił Eleanor, żeby nie odchodziła?

Usiadł, wpatrując się w ciemność za oknem. I nagle nie jechał już pociągiem do Chicago; znalazł się w Tel Awiwie. Wybrali to nadmorskie miasto ze względu na bliskość lotniska Ben-Guerina; dzięki temu tematy korespondencji, które mieli stąd nadsyłać, znajdowały się zawsze nie dalej niż dwie godziny lotu od ich bazy. Bliski Wschód był całkowicie nieprzewidywalny w swej przewidywalności. Wiadomo było zawsze, że coś się wydarzy, ale nikt nie wiedział gdzie i w jakiej formie.

Mark Twain też odwiedził Ziemię Świętą i opisał to obszernie w „Prostaczkach za granicą”. Książka ukazała się w roku 1869, rok przed ponownym zasiedleniem Syjonu przez Żydów i na dziewięćdziesiąt lat przed powstaniem suwerennego państwa Izrael. Twain odkrył, jak mały obszar zajmuje Palestyna, i napisał potem, że było „nie do pojęcia, iż tak mały kraj może mieć tak wielką historię”. Tom doskonale go rozumiał. Cały ten region, który wywoływał tak ogromny niepokój tylu ludzi na całym świecie, można było w ciągu paru godzin przejechać w poprzek samochodem. A otoczona murami Jerozolima, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy, wydała mu się zgrabną miniaturą prawdziwej Jerozolimy. Jednakże intensywność życia w tym kraju i ludzie, nazywający go domem, potwierdzali opinię, że jest to jedno z najbardziej magnetycznych miejsc na ziemi.



Zjeżdżili kraj wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu tematów, a w wypadku Eleanor również bardziej osobistych doświadczeń. Raz nawet poddała się obrzędowi chrztu w rzece Jordan. Twain także wykąpał się kiedyś w Jordanie po długiej jeździe w pyle z Damaszku, choć bardziej z powodów higienicznych niż duchowych. Tom z Eleanor kupili kilka butelek w kształcie stojącego Jezusa, wypełnionych wodą z Jordanu, a także święte powietrze w puszce, zebrane z różnych starożytnych świątyń Izraela. Obie te pamiątki cieszyły się wielką popularnością wśród turystów z Ameryki. Wróciwszy do kraju, zanosili je do swych domów modlitwy, żeby, jak uważał Tom, przypodobać się Bogu, czy też, inaczej rzecz ujmując, chronić inwestycję.

Którejś Gwiazdki wybrali się oboje na grupową wycieczkę do Betlejem, ponieważ Eleanor chciała zobaczyć, gdzie na ten grzeszny świat został wydany Syn Boży. Chociaż Tom nie zaliczał siebie do osób szczególnie religijnych, również i on był pod wrażeniem bliskości miejsca, w którym według przekazów doszło do doniosłego wydarzenia i dzięki temu ludzie mogli dziś świętować Boże Narodzenie.

Mark Twain w swojej relacji z podróży do Betlejem zanotował, że wszystkie sekty chrześcijańskie, z wyjątkiem protestantów, mają w kościele Świętego Grobu w Jerozolimie swoje kaplice, a jednak żadna z tych grup nie ośmiela się wkraczać na terytorium innych. Dowodziło to ponad wszelką wątpliwość, że nawet grób Zbawiciela nie zdołał zainspirować różnych wyznań do pokojowej modlitwy. Od czasów pielgrzymki Twaina do Ziemi Świętej, przed jakże wielu laty, pewne rzeczy najwyraźniej w ogóle się nie zmieniły.

Para amerykańskich dziennikarzy należała chyba do nielicznych w Izraelu osób, które w ogóle obchodziło owo najświętsze z chrześcijańskich świąt. Tom i Eleanor mieli w wynajętym mieszkaniu małą choinkę, spożywali wigilijną kolację i odpakowywali prezenty. Potem wpatrywali się razem w ciemność nad Morzem Śródziemnym, chłonąc widoki i zapachy pustynnego klimatu. W ten sposób świętowali wydarzenie, które Amerykanom kojarzyło się zwykle ze śniegiem, wesołym grubym człowieczkiem i ogniami sztucznymi. Później wtuleni w siebie zasypiali. Te Boże Narodzenia w Tel Awiwie należały do najcudowniejszych w całym życiu Toma. Aż do ostatniego razu.

Eleanor wyszła wtedy po jakieś zakupy. Wróciwszy po czterdziestu minutach, oświadczyła, że chce jechać do domu, że ma już dość opisywania niebezpieczeństw tego obcego dla niej świata; że po prostu czas wracać i już. Tom pomyślał w pierwszej chwili, że żartuje, lecz okazało się zaraz, że wcale nie. Podczas gdy on przyglądał się jej zdumiony, Eleanor zaczęła się pakować. Następnie zadzwoniła do linii El Al, żeby zarezerwować bilet na samolot. Chciała kupić bilet także dla niego, lecz oznajmił jej, że zostaje. Zaledwie przed

godziną wszystko wydawało się takie cudowne. A teraz stał na środku ich małego mieszkania w samej koszulce i szortach, a jego życie właśnie waliło się w gruzy.

Próbował się dowiedzieć, co takiego wydarzyło się podczas tych czterdziestu minut, że nagle, nawet nie próbując tego z nim skonsultować, podjęła tak doniosłą decyzję zmieniającą całe ich życie. Odpowiedziała znów to samo, że czas wracać do domu. Zaczęli rozmawiać, a potem rozmowa, niczym kula śnieżna, urosła do sprzeczki i potoczyła się w dół. Zanim Eleanor skończyła się pakować, wrzeszczeli już na siebie na całego. Tom był tak zdezorientowany i roztrzęsiony, że do dziś dnia nie pamiętał połowy z tego, co wówczas mówił.

Pojechała taksówką na lotnisko, a on za nią. Tam kłócili się dalej. W końcu nadszedł czas wsiadania do lotniskowego autobusu. To wtedy właśnie Eleanor, głosem już spokojnym, poprosiła go po raz ostatni, żeby wrócił z nią. Jeżeli naprawdę ją kocha, powinien tak zrobić. Tom stał nieruchomo ze łzami w oczach, czując jedynie podsycany gniewem głęboki wewnętrzny opór. Odpowiedział, że nie, nie wraca.

Patrzył, jak wjeżdża ruchomymi schodami. Odwróciła się tylko raz. Wyglądała tak smutno i nieszczęśliwie, że chciał zawołać, żeby zaczekała, że jednak z nią poleci. Lecz nie powiedział ani słowa. Czuł się tak samo jak owej nocy w pociągu z Kolonii, kiedy miał się oświadczyć ukochanej kobiecie, lecz nie potrafił tego zrobić. A teraz, zamiast zawołać, odwrócił się i odszedł. Zostawił ją tak, jak ona zostawiła jego.

Wówczas widział Eleanor po raz ostatni. Aż do tej chwili przed pięcioma minutami, w kołyszającym się pociągu, który zdążał do Chicago przez Toledo, Pittsburgh. W dalszym ciągu nie miał pojęcia, co ją wtedy skłoniło do wyjazdu. I nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, dlaczego nie wyjechał razem z nią.

Nie wiedział, co to było, lecz z całą pewnością uderzyło wprost w jego wagon. Odgłos był bardzo donośny, jakby od ściany odbiła się armatnia kula. Tom omal nie spadł z łóżka. Spojrzał na zegarek. Szósta trzydzieści. Pociąg gwałtownie zwalniał. W końcu potężny Capitol Limited całkiem się zatrzymał, a Tom, wyrzawszy przez okno, stwierdził, że znajdują się dość daleko od wszelkiej cywilizacji. Poczuł w powietrzu swąd i chociaż nie pracował nigdy na kolei, wiedział, że pociąg raczej nie powinien robić takich rzeczy.

W mroku na zewnątrz migały tu i ówdzie światełka. Najpewniej obsługa pociągu sprawdzała, skąd padła ta salwa burtowa i jakie poczyniła szkody. Tom wyszedł na korytarz i spotkał ojca Kelly'ego.

- Słyszał pan to? - zapytał ksiądz. - Zupełnie jak wystrzał.

- Chyba w coś uderzyliśmy - odparł Tom. - Może coś leżało na torach i przejechaliśmy to.

- Odgłos był taki, jakby to uderzyło w nasz wagon, a my przecież jesteśmy w środku pociągu - zauważył ksiądz.

- Sam nie wiem - odrzekł Tom, przyznając mu w duchu rację. - Mam tylko nadzieję, że niedługo ruszemy.

Pojawiła się Regina z zaaferowaną miną. Niosła wielkie naręcze pogniecionych gazet.

- Hej, Regino, co się dzieje? - zapytał Tom. - Dlaczego stoimy? Amtrak utracił zdolność kredytową?

- Uderzyliśmy w coś, to raczej pewne. Sprawdzają, co się stało. Niedługo powinniśmy ruszyć.

- Jesteś zagorzałą czytelniczką prasy, jak widzę? - zażartował, spoglądając na jej ładunek.

- Ktoś je wepchnął do kosza na śmieci. Nie wiem, skąd w ogóle się wzięły. W pociągu rozdajemy tylko „Toledo Blade”, ale to dopiero jutro nad ranem.

Regina poszła dalej. Tom pomyślał sobie, że bardzo przewidująco postąpił, rezerwując sobie więcej czasu na tę podróż do Los Angeles. Wyglądało na to, że ta rezerwa bardzo mu się przyda. W czasach Twaina podróż dylizansem z Saint Joseph w Missouri do Kalifornii, na dystansie trzech tysięcy kilometrów, trwała około dwudziestu dni. Choć Tom miał do przejechania o tysiąc pięćset kilometrów więcej, ciągnęła go moc o wiele potężniejsza niż końska. Wyglądało jednak na to, że Twain mógł być pewniejszy dotarcia do celu. Tom szukał już w pamięci nazw wszystkich małych wysepek, na których mógłby się ukryć przed Lelią, jeśli nie zjawi się na święta. Lista była krótka i mało obiecująca.

Dołączyła do nich Agnes Joe. Była w koszuli nocnej, lecz narzuciła na nią suknię.

- Zderzyliśmy się z czymś - oznajmiła.

- Na to wygląda - odparł Tom, próbując ją wyminąć. Okazało się jednak, że kiedy Agnes Joe stoi do niego twarzą, jej postać zajmuje całą szerokość korytarza. Amtrak powinien jednak budować szersze pociągi, pomyślał, skoro Amerykanie rosną wszcz.

Starsza pani wyjęła z kieszeni jabłko, wytarła je o suknię i zaczęła się w nie wgryzać.

- Pamiętam, jak kiedyś - powiedziała - trzy albo cztery lata temu, chyba też przejeżdżaliśmy gdzieś tędy i nagle bach i pociąg stanął.

- O, naprawdę? I co to było? - zapytał Tom.

- A może zajdziesz do mojego przedziału? Usiadłbyś sobie wygodnie i wtedy ci wszystko opowiem.

Ojciec Kelly i Tom wymienili spojrzenia, po czym ksiądz zrejterował do swej króliczej nory, zostawiając dziennikarza samego. I tak to kościół wspiera człowieka w krytycznej sytuacji, pomyślał Tom.

- Chętnie bym zajrzał - odpowiedział - ale muszę się przygotować do kolacji. Mam rezerwację na siódmą.

- Ja też.

Jej spojrzenie sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście nie ma na niego chrapki. Posłał jej słaby uśmiech i udało mu się wreszcie precyzyjnie do własnego przedziału. Zamknął drzwi, zaciągnął kotarę i pewnie by przystawił do drzwi łóżko, gdyby nie to, że przytwierdzono je do ściany śrubami.

Przebrał się do kolacji, co oznaczało ochlapanie twarzy wodą, przeczesanie włosów i zmianę koszuli. Następnie wyjrzał na korytarz, stwierdził, że Agnes Joe już tam nie grasuje, i pobiegł schronić się w wagonie restauracyjnym. I chociaż nie był mistrzem świata w sprincie, poruszał się niestety o wiele szybciej niż pociąg.

## Rozdział 10

Rozglądając się po restauracyjnym, Tom wrócił myślami do swej wyroczni w kwestiach podróży koleją, czyli do filmu „Północ, północny zachód”. W jednej ze scen Cary Grant, kryjący się przed policją i konduktorem - jako ubogi uciekinier z rąk wymiaru sprawiedliwości nie miał oczywiście biletu - trafia do eleganckiego wagonu restauracyjnego. Wspaniale wystrojony szef sali prowadzi go wśród szykownie ubranych gości do stolika porywająco seksownej Evy Marie. Okazuje się, że dała kelnerowi napiwek, żeby posadził Cary’ego koło niej. Biednego Granta wciąż spotykały takie rzeczy ze strony pięknych kobiet. Zamawiają więc, popijają, żartują; prowadzą przy restauracyjnym stoliku coś w rodzaju wyrafinowanej gry wstępnej; w odczuciu Toma była to jedna z najsubtelniejszych scen erotycznych w historii kina. Teraz zaś w roli Evy Marie potrafił sobie oczywiście wyobrazić tylko Eleanor. Czyż to nie żalosne, pomyślał, czyż to nie żalosne, że właśnie to jest absolutnie niemożliwe?

Amtrak dbał o to, aby w jego pociągach sadzano gości w taki sposób, by zachęcić ich do konwersacji i zawierania przyjaźni - jakkolwiek przelotnych. Zgodnie z ową tradycją posadzono Toma naprzeciw dwóch osób - mężczyzny w średnim wieku oraz kobiety, która niestety nie przypominała w niczym Eleanor ani chociażby Evy Marie. Mężczyzna był w

garniturze i pod krawatem. Po drugiej stronie przejścia Tom miał Steve'a i Julie. Popijali czerwone wino, trzymali się za ręce, rozmawiali półgłosem i wciąż wyglądali na bardzo zdenerwowanych. Nie ma niczego lepszego, ani gorszego, od młodej miłości, pomyślał Tom. Z wyjątkiem być może starej miłości. Po spotkaniu z Eleanor był tego właściwie pewien.

Ze strzępów rozmów innych pasażerów zorientował się, że tematem numer jeden jest nieplanowany postój pociągu. Przynajmniej, uznał Tom, im dłużej pociąg stoi, tym dłużej on w nim będzie razem z Eleanor. Tylko co z tego, skoro przekonał się czarno na białym, co ona do niego czuje. Do tej pory wciąż skrycie żywił nadzieję, że jeszcze go kocha, bez względu na to, jak się skończył ich związek. Przez minione lata nosił ze sobą tę myśl, ukrytą bezpiecznie w kieszeni. Pomogła mu nawet przetrwać kilka trudnych momentów. Teraz kieszeń okazała się pusta, a właściwie wyrwano mu ją ze spodni.

- Już drugi raz w tym tygodniu jadę pociągiem, w którym dzieje się coś dziwnego - powiedziała kobieta z drugiej strony stołu. Przedstawiła się jako Sue Bunt z Wisconsin. Grubo po pięćdziesiątce, ubrana była po biurowemu i bardzo krótko ostrzyżona. Ponieważ mężczyzna obok niej przyszedł tuż przed Tomem, ten domyślił się, że nie są razem. Sue musiała usiąść przy stole już wcześniej, sama.

- A to dopiero - rzekł mężczyzna, ale się nie przedstawił.

- Zwykle nie jeżdżę pociągami, lecz ostatnio mam taki krąg odbiorców, że samoloty mi nie pasują - wyjaśniła kobieta.

- A co pani robi? - zapytał Tom, decydując się podtrzymać konwersację.

- Jestem przedstawicielem handlowym. Sprzedajemy zdrową żywność - odparła, smarując grubo masłem bułkę.

- Wesołych świąt - powiedziała kelnerka, stawiając przed każdym z nich szklaneczkę koktajlu z kogla-mogła z alkoholem. - To prezent od firmy, taka świąteczna tradycja - wyjaśniła.

- Wzajemnie - odpowiedzieli wszyscy, po czym Sue zapytała kelnerkę o stan pociągu.

- Kierownik powiedział, że możemy ruszyć dosłownie w każdej chwili. Podobno coś leżało na torach. - Kelnerka miała na głowie mikołajową czapkę i Tom zauważył teraz, że okna oraz stoły udekorowano gwiazdkowymi lampkami.

Złożyli zamówienia. Menu wyglądało świetnie, a Tom czuł już woń jedzenia szykowanego w kuchni na dolnym poziomie i posyłanego do restauracji ręczną windą. Zamówił żeberka, a zamiast sałatki poprosił na przystawkę o wódkę z sokiem pomarańczowym. I właśnie podnosił szklaneczkę do ust, kiedy coś przyduśliło go do ściany

wagonu. Była to Agnes Joe, która wklinowała się na miejsce obok, zostawiając mu jakieś piętnaście centymetrów wolnej przestrzeni.

- Witaj, Agnes Joe - powiedzieli chórem Sue i jej sąsiad.

Tom nie posiadał się ze zdumienia.

*Czy w tym pociągu jest choć jedna osoba, która nie zna tej kobiety?*

- Cześć, słodziutcy.

Kiedy Tom się jej przyjrzał, zdumiał się jeszcze bardziej. Agnes Joe była ubrana w gustowny sweter i spodnie, rozciągnięte wprawdzie do granic wytrzymałości materiału, ale eleganckie, i była uczesana. Zrobiła sobie makijaż i wcale już nie wyglądała tak bardzo staro. Przemiana była tak gruntowna, że Tom aż wybałuszył oczy.

- Cześć - zdołał wykrztusić.

- Witaj, Agnes Joe - powiedziała kelnerka, podchodząc. - To co zwykle?

- Oczywiście, z dodatkową cebulką.

- Chyba sporo podróżujesz koleją? - zapytał Tom, gdy dziewczyna odeszła.

- Ach, uwielbiam ten pociąg i tych ludzi. Bardzo porządni ludzie. Próbowалаm latać, sama zresztą jestem licencjonowanym pilotem, ale jednak wolę kolej.

Tomowi zamigotała nagle przed oczami, niczym halucynacja, wizja Agnes Joe, wciśniętej do kokpitu dwuosobowej cessny. Pulchne palce zaciśnięte wokół drążka, olbrzymie stopy na pedałach sterów...

- Pracuje pani w służbie zdrowia, tak? - zwrócił się tymczasem nieznajomy mężczyzna do Sue Bunt.

- Zajmuję się zdrową żywnością. Jestem przedstawicielem handlowym. Byłam sekretarką w kancelarii prawniczej, ale z prawnikami ciężko jest wytrzymać.

Tom także miał okazję posmakować, aż do przesyty, gatunku *americanus legalis cannibalis* w trakcie swego rozvodu, a całkiem niedawno przy spotkaniu z Gordonem Merryweatherem. Uniósł szklaneczkę ku Sue w geście współczuwania.

- A co pani wie na temat żeń-szenia? - zapytał mężczyzna.

Gość liczył sobie około pięćdziesiątki i wyglądał jak typowy biznesmen, miał jednak dość dziwne tiki, które go odróżniały od kolegów po fachu. Na przykład wciągał powietrze do płuc szeroko otwartymi ustami, tak jakby miał problemy z głębokim oddychaniem. Potem wybałuszał oczy i Tom miał wrażenie, że zaraz padnie twarzą w sałatkę. Oblizywał też usta tak wściekle, że można się było obawiać, iż dostanie skurczu języka albo mu on zwyczajnie odpadnie. I wreszcie miał niesłychanie irytujący zwyczaj robienia takiej miny, jakby zaraz miał coś powiedzieć. Wydymał wargi, mięsista szyja mu drgała, mrugał raptownie oczami,

unosił ręce do góry, jakby zbierało mu się na eksplozję tytanicznej mądrości albo przynajmniej na podzielenie się jakąś skandalizującą ploteczką. I nagle napięcie opadało, a on jak gdyby nigdy nic wyjmował oliwkę z drinka. Po czwartym takim występie Tom ledwie się powstrzymywał, żeby nie rzucić się na faceta przez stół i go nie rąbnąć.

- O żeń-szeniu? - zapytała Sue. - Chodzi panu o ziele?

- Tak, tak. Wyłumaczę pani, dlaczego pytam - rozejrzał się konspiracyjnie i zniżył głos. - Poznałem kobietę. Azjatkę, czy jak to się tam teraz poprawnie mówi, nigdy nie pamiętam. Chyba nie „skośnooką”, co? - spróbował dowcipu.

- Na pewno nie - powiedziała Agnes Joe. - I niech pan z tego nie żartuje. Tolerancja i zrozumienie dla innych kultur to podstawa pokoju na świecie. Poza tym ja mam japońskich przodków.

Patrząc na jej masywną postać, Tom zastanawiał się, czy czasami nie nosi któregoś z tych przodków na sobie. Zauważył też, że jej słownictwo i dykcja troszeczkę się zmieniły. Nie miał pojęcia dlaczego.

- Racja. Przepraszam, kiepski dowcip - ciągnął mężczyzna. - Tak czy inaczej, wyglądało na to, że się jej podobam. Mnie ona też się podobała, i to bardzo. Kiedyś poszliśmy na kolację, no i ona zaczęła opowiadać o tym żeń-szeniu... Nie będę już wchodził w szczegóły, w każdym razie potem mi przysłała trochę tego ziele. Chyba chińskiego.

- Jeżeli już o tym mowa, to żeń-szeń uprawia się w Wisconsin - oznajmiła Sue. Jej bułka całkiem już zniknęła pod warstwą masła. - Mają tam świetne gleby.

Tom spojrział na nią zdziwiony. Stan Wisconsin miał dobrą glebę pod uprawę żeń-szenia? Uważał, że to idiotyzm, ale przecież się nie znał. Może drużyna Green Bay Packers też zajadała się żeń-szeniem?

- Niech będzie, że w Wisconsin - odparł mężczyzna. - W każdym razie przysłała mi to, a ja nie wiem, co mam z tym robić. Czy to się gotuje, czy żuje, czy co?

- To, że panu przysłała ten żeń-szeń, wcale nie znaczy, że musi pan go koniecznie używać - zauważył Tom.

- Tak, wiem. - Tamten zerknął nieco nerwowo na obie kobiety. - Ale ona mi dała to zielsko, jak przypuszczam, ze względu na pewne jego właściwości poprawiające... hm, wydolność. Coś takiego w każdym razie zasugerowała. Chciałbym nadmienić, że jest ode mnie dużo młodsza.

Tom uzmysłowił sobie, o czym jest mowa, dopiero gdy odezwała się Agnes Joe.

- Czyli po prostu chce pan baraszkować w wyrku jak młody ogier, z kobietą o połowę młodszą od siebie, żeby nie przyszło jej do głowy, że poleciała na wór starych kości - stwierdziła.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- No tak, w sumie o to by mi chodziło - powiedział w końcu mężczyzna. Po czym ze świeżym animuszem wrócił do zasysania powietrza i dłubania w oliwkach.

- Ja bym to zmieliła - mówiła dalej Agnes Joe, przewiercając go wzrokiem - i walnęła sobie pod skórę strzykawką. Zrób pan to przed samym pójściem do łóżka, a potem wyskocz pan z łazienki z dzikim okrzykiem, bijąc się w piersi jak Tarzan, i po prostu ją pan przeleć. Słyszałam, że Azjatki to lubią.

Nieszczęsny chłopina spojrzał wzrokiem zranionej sarny na Toma, wyraźnie szukając męskiego wsparcia. Tom jednak go zawiódł.

- Ja też tak słyszałem... słodziutki - powiedział i potężnym haustem dopił swego drinka.

Zamówił lampkę merlota jako popitkę i zabrał się do kolacji, która okazała się wyśmienita. Rozejrzawszy się po wagonie, spostrzegł przy jednym ze stolików dwóch muzułmanów i rdzennego Amerykanina, pograżonych w żywej konwersacji. Uśmiechali się, co znaczyło, że rozmowa przebiega w sposób cywilizowany. Przy innym stole młody, przystojny Koreańczyk najwyraźniej przystawiał się do atrakcyjnej afrykańskiej Amerykanki w średnim wieku. Powściągała jego zapędy z życzliwą kpina, lecz widać było, że jej to pochlebia. Kolejny stolik zajmowali jacyś biznesmeni, wspólnie z kobietą wróżącą z tarota. Oglądała ich dłonie, a nawet rozłożyła karty obok talerza z resztkami pieczonego kurczaka. Zajadała teraz metodycznie kolejowy sernik pierwszej klasy, a panowie prezesi, odłożywszy na bok komórki, słuchali jej z wielką uwagą.

Tom tylko kręcił z podziwu głową. Żeń-szeń, Agnes Joe w roli pilota, pasażerowie wszelkich ras i wyznań, potęga wielkich interesów w swobodnym kontakcie z kapryśnym tarotem, wszystko to wymieszane podczas obfitego posiłku. Może rzeczywiście pociągi miały w sobie jakąś magię? Dopijając merlota, zdumiewał się, jak gładko i bezgłośnie Cap sunie po torach z prędkością zero kilometrów na godzinę.

## Rozdział 11



Gdy tylko kolacja dobiegła końca, Tom udał się do wagonu wypoczynkowego, znanego wytrawnym kolejowym bywalcom, jak się wkrótce zorientował, pod nazwą wagonu barowego. Przed laty na górnym poziomie istotnie funkcjonował bar, lecz zlikwidowano go w ramach redukcji kosztów. Tom zszedł na dół, gdzie Tyrone zaopatrzył go w coś mocniejszego, a potem wrócił posiedzieć na górnym poziomie. Pociąg stał. Tom sprawdził godzinę. Cap powinien już o tej porze dojeżdżać do Connellsville w Pensylwanii, a nie minęli jeszcze nawet Cumberland w Marylandzie. Ale przynajmniej przestał czuć swąd.

Na górze grał telewizor. Pokazywali „Grincha, człowieka, który ukradł Boże Narodzenie” z Jimem Careyem w roli głównej. Przed odbiornikiem zgromadziło się spore stadko dzieci w różnym wieku, razem z rodzicami. W innych kątach przedziału siedziały grupki gawędzących przy drinku pasażerów; było też kilku samotników, wpatrujących się we własne odbicia w ciemnych szybach. Wagon wypoczynkowy także udekorowano gwiazdkowymi wiankami, łańcuchami ze świecidełek i innymi ozdóbkami. Tom sączył dzin, pojadał orzeszki i precelki i przyglądał się siedzącej w pobliżu grupce dorosłych. Jedna osoba czytała, druga robiła na drutach, a trzecia słuchała muzyki płynącej ze słuchawek. Ciągłe też zerkał na drzwi, czy przypadkiem nie pojawią się w nich Max z Eleanor, lecz jak na razie daremnie.

- Czy państwo wszyscy jedziecie gdzieś na Gwiazdkę? - zapytał z przyjaznym... miał nadzieję... i szczerze zaciekawionym wyrazem twarzy. Odkrył, że po dzinie człowiek wygląda zawsze na zadowolonego i rozluźnionego, choć nieco mu szumi w głowie.

Pani robiąca na drutach podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Ja do South Bend w Indianie - oznajmiła. - Spędzam święta z wnukiem, jest na drugim roku uniwersytetu. Pewnie będę musiała go oprać, posprzątać i sama wszystko ugotować, ale to nic nie szkodzi. Taka już rola babci. No i jest Gwiazdka; nikt nie chce siedzieć sam.

- W pełni się z panią zgadzam - rzekł Tom i przedstawił się.

- Pauline Beacon - kobieta podała mu dłoń.

- Mieszka pani gdzieś w rejonie Waszyngtonu? - zapytał domyślnie.

- Tak, w Springfield w Wirginii. A pan?

- W samej stolicy.

- Nie wiem, jak pan wytrzymuje ten ruch uliczny - odezwał się mężczyzna czytający książkę; po czterdziestce, łysiejący i z brzuszkiem. - Wracam właśnie z Waszyngtonu do Toledo. Pojechałem w interesach i musiałem wynająć samochód. Jeździłem po tym waszym Beltwayu i naprawdę nie wiem, jak wy sobie z tym radzicie. Toż to istny Dzik Zachód na

kółkach. Oblęd. - Pokręcił głową. - Jestem Rick - przedstawił się z uśmiechem. - Możecie mi mówić Toledo Rick.

- Wygląda na to, że oboje lubicie jeździć koleją - powiedział Tom.

- Ja nie cierpię samolotów - odrzekła Pauline. - Pociągi kojarzą mi się z dzieciństwem.

A pan?

- Ja sporo latałem, ale trochę mi się przejadło. Postanowiłem spróbować bardziej cywilizowanego sposobu podróżowania.

- Jak na razie - dodał Rick - to nie jedziemy w tej chwili donikąd. Ja też zazwyczaj latam, lecz dostałem bilet na pociąg po bardzo okazyjnej cenie. - Wyrżał przez okno i skrzywił się. - Tylko że teraz to już nie wiem, czy to faktycznie taka okazja. Ale na Gwiazdkę i tak będę w domu.

- Masz rodzinę, Rick?

- Żonę i sześcioro dzieci. Czwórka to już nastolatki, wśród nich trzy dziewczynki. Szczerze powiedziawszy, nawet nie próbuję ich zrozumieć.

- To prawda, dziewczynki są zupełnie inne - przytaknęła Pauline.

Pasażer ze słuchawkami także już teraz przysłuchiwał się rozmowie. Przedstawił się jako Ted z Milwaukee.

- Chłopcy to też trudny orzech - powiedział. - Mam czterech, wszyscy już dorośli. Kiedy pierwszy się urodził, miałem bujną czuprynę, a przy ostatnim byłem już całkiem łysy.

W tym momencie zjawiała się Agnes Joe z piwem i przysiadła do nich. Tom podsunął jej miseczkę z orzeszkami, a ona opróżniła ją jednym ruchem. Nie przedstawiła się, lecz podobnie jak przedtem w restauracyjnym wyglądało na to, że wszyscy ją znają.

- A ty, Tom, dokąd jedziesz? - zapytał Rick. - Rodzina?

Dziennikarz pokręcił głową.

- Właściwie nie mam rodziny.

- No nie, przecież każdy ma rodzinę... gdzieś tam - powiedziała Pauline.

- Nie każdy - rzekła Agnes Joe. - Ja też jestem samotna.

- Nie powiedziałem, że jestem samotny - sprostował Tom. - Jestem reporterem i zjeździłem świat wzdłuż i wszerz. Mam przyjaciół chyba w sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu krajach.

- Przyjaciele to co innego, a rodzina to co innego - stwierdziła Pauline i pewnie miała rację.

- Rozwiedziony czy kawaler? - spytała Agnes Joe, pogryzając migdała. W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Toma zerknęła na jego pusty serdeczny palec.

- Rozwiedziony. Ale to trwało tak krótko, że właściwie nie poczułem, że byłem żonaty.

- To znaczy, że ożeniłeś się z nieodpowiednią kobietą - orzekła Pauline.

- Skąd to można wiedzieć z góry? - zauważył Toledo Rick.

- Jest wiele sposobów - powiedziała Agnes Joe. - Najczęściej po prostu czujesz, że jest ci dobrze. I nieważne czy masz co jeść i pić, czy masz gdzie spać i czym oddychać, dopóki jest przy tobie ta osoba. - Spojrzała z ukosa na Toma. - Czułeś się tak kiedyś?

Wszyscy wpatrywali się w niego, czekając na odpowiedź.

- Słuchajcie, to się robi trochę zbyt osobiste - powiedział.

- Ależ, Tom, przecież to tylko pociąg - zażartowała Pauline z uśmiechem, nie gubiąc przy tym ani oczka w lewo, ani oczka w prawo.

Tom odchylił się w fotelu i przez chwilę wpatrywał w okno.

- Jak miała na imię? - zapytała cicho Agnes Joe.

- Eleanor - odrzekł w końcu.

- Długo już jej nie widziałeś?

- Właściwie to nie tak bardzo długo. - Otrząsnął się z zamyślenia. - Ale co tam, przeszłość to przeszłość. Teraz jadę do Los Angeles. Spędzam święta z moją dziewczyną. Ma na imię Lelia.

- Jest aktorką? - spytała Pauline podekscytowana.

- W pewnym sensie tak.

- Mogłam ją w czymś widzieć?

- Czy oglądałaś kiedyś - odparł Tom po sekundzie wahania - w niedzielę rano w telewizji „Misia Kuleczkę”?

Pauline spojrzała na niego w niemym zdumieniu i chyba nawet zgubiła jedno oczko. Po kilku kolejnych nieudanych próbach wyjaśnienia Tom zrezygnował z kontynuowania tematu.

Przyglądali się teraz pracownikowi obsługi, przebranemu za Świętego Mikołaja, który właśnie się pojawił w wagonie wypoczynkowym. Wszystkie dzieciaki, nawet te najstarsze, porzuciły natychmiast Grincha i Jima Careya i otoczyły człowieka w czerwonej kapocie. Stary dobry Mikołaj był ponadczasowy, a jego czar wciąż działał na każdego.

- To bardzo sympatyczne - stwierdził Tom, gdy Mikołaj zaczął rozdawać wszystkim słodycze.

- Co roku to robią - powiedziała Agnes Joe. - Nawet jak pociąg nie jest zepsuty.

Tom spojrział na nią z nowym zainteresowaniem. Przypomniawszy sobie słowa Reginy o tym, że Agnes Joe często jeździ pociągiem do rodziny. A przecież sama przed chwilą wyznała, że jest samotna. Dokąd w takim razie mogła jeździć?

- Chyba nie pierwszy raz podróżujesz tym pociągiem przed świętami, Agnes Joe? - zapytał.

- Nie pierwszy i nie ostatni.

- I jedziesz aż do Chicago?

- Zgadza się.

- Spędzasz tam święta? - indagował Tom.

- Nie. Na święta jadę do Los Angeles, tak jak i ty.

- Pociągiem?

- Oczywiście. Ekspresem Southwest Chief. - Spojrzała nań spod oka. - A ty?

Dwa dni w Chiefie z Agnes Joe, pomyślał Tom. Zastanawiał się, co by było, gdyby teraz wyskoczył z pociągu, póki jeszcze stoi. Miał jej właśnie odpowiedzieć, gdy stary, wspaniały Capitol Limited szarpnął i znów ruszył po szynach. W wagonie podniosły się ogólne wiwaty. Tom jakoś nie potrafił się do nich przyłączyć.

W głośnikach rozległ się głos kierownika.

„Droży państwo, przepraszamy za nieplanowany postój. Sytuacja już jest opanowana. Na następnej stacji czeka na nas ekipa techniczną. Zatrzymamy się jeszcze na trochę, sprawdzimy wszystko dokładnie i pojedziemy dalej. Mamy nadzieję, że uda nam się nadrobić opóźnienie. Połączyliśmy się z następnymi stacjami i zapewniono nas, że wszyscy państwo zdążycie na swoje przesiadki. Dziękujemy za wyrozumiałość i za skorzystanie z usług firmy Amtrak. Życzymy wszystkim wesołych świąt”.

Mikołaj rozdawał obecnym małe prezenciki. Tom dostał miniaturoką słynnej lokomotywy Super Chief. Ted nałożył z powrotem słuchawki, a Toledo Rick i Pauline przeprosili i wyszli.

Agnes Joe pochyliła się ku Tomowi i zapuściła żurawia, żeby się przyjrzeć jego pięknemu modelowi.

- Super Chief kompanii Southern Pacific był prekursorem dzisiejszego ekspresu Southwest Chief, tego, którym jadę do Los Angeles - poinformowała go. - To świetny pociąg, trasa ze wspaniałymi widokami gór i prerii. W drodze do Zachodniego Wybrzeża przejeżdża przez osiem stanów.

- To bardzo ciekawe, dziękuję - odparł Tom. Był już teraz przekonany, że stara przeszukała jego przedział i znalazła bilet. Postanowił zastawić w przedziale pułapkę, przy

użyciu najcięższego przedmiotu, jaki uda mu się znaleźć. Pociąg ma dwie lokomotywy, pomyślał, może nie zauważą, jak im jedna zniknie. Mógłby ją umieścić nad drzwiami swojej kabiny prysznicowo-toaletowej, żeby spadła na głowę intruzowi.

- Tak, to wyjątkowo przyjemna jazda - dodała Agnes Joe. - Doskonały pomysł na podróż do Kalifornii.

- Nie wątpię. - Tom odstawił drinka. - A w jakim celu jedziesz do Los Angeles?

- Mam tam przyjaciół. Zmieniamy się, co roku ktoś inny urządza święta. Tym razem ja jadę na zachód.

- Bardzo miła tradycja. Regina mi wspominała, że dużo jeździsz koleją, Agnes Joe. I chyba mnóstwo ludzi cię zna?

- Łatwo zawieram znajomości, zawsze tak było - odparła. - Nie każda drobna i nieśmiała z natury dziewczyna musi zawsze podpierać skromnie ścianę.

W pierwszej chwili Tom sądził, że powiedziała to poważnie, lecz zaraz roześmiała się z własnego żartu i musiał z ociąganiem przyznać, że Agnes Joe nie jest taka zła. Niech tylko trzyma się z daleka od jego nerek i rzeczy osobistych, a wszystko będzie w porządku.

- A z tą twoją dziewczyną to coś poważnego? - zapytała.

- Zależy, jak się rozumie coś poważnego - odparł Tom. - Spotykamy się od czasu do czasu już od trzech lat.

- Od czasu do czasu? To taki kalifornijski związek?

- Nie, to *nasz* związek.

- Jeżeli mogę ci coś doradzić, to nie żęń się, Tom. Ja próbowałam dwukrotnie i ani razu nie wypaliło.

- Masz dzieci?

- Córkę, teraz już oczywiście jest dorosła. Z pierwszego małżeństwa. Mojego męża numer jeden poznałam, kiedy pracowaliśmy oboje dla Ringling Brothers.

- Pracowałaś w cyrku? W biurze, tak?

- Skądże. Występowałam. Woltyżerka, akrobacje... kiedy byłam bardzo młoda, nawet pod kopułą.

- Na trapezie!

- Mhm. Trochę mniej wtedy ważyłam. Córnka wciąż pracuje w cyrku.

- Często się widujecie?

- Nie. - Kobieta zwana Joe zabrała swoje piwo i wyszła. Tom powinien był poczuć ulgę, ale nie poczuł. Czuł natomiast, że ona zaczyna na niego działać, ale bynajmniej nie jak

plachta na byka. Nie była to też zwyczajna ciekawość. W jej historii były niekonsekwencje i budziła się w nim żyłka reporterska.

Pociąg przemknął tymczasem przez tunel Grahama i zaczął zwalniać, zbliżając się do Cumberland w Marylandzie, miasta zwanego niegdyś Królową Alleghenów. Cap przejechał żwawo w poprzek głównej ulicy miasta. Tom dojrzał ceglane i drewniane budynki, Holiday Inn, McDonalda i sklep o nazwie Tanie Alkohole, cieszący się pewnie sporą popularnością, bo miasto w samej rzeczy wyglądało na takie, co to lubi wypić.

Wkrótce mieli wjechać do Pensylwanii. Granice stanów przebiegały tutaj bardzo dziwnie. Momentami było wręcz tak, że lokomotywa i koniec pociągu znajdowały się w Marylandzie, a jego środek w Wirginii! Działo się tak dlatego, że granica Pensylwanii z siostrzanym Marylandem przebiegała w linii prostej, natomiast odcinek, w którym zbliżały się do siebie Maryland i Wirginia Zachodnia, wyznaczony był zgodnie z ukształtowaniem terenu. Zanim opuścili przełęcz i wjechali bezpiecznie do Pensylwanii, Tom zdążył już rozwikłać wszystkie te kartograficzne zagadki.

I kiedy tak sobie siedział, patrząc na padający śnieg, do wagonu weszli Eleanor z Maxem, a wraz z nimi nieodłączny Kristobal. Tom wziął głęboki oddech, dopił drinka i zaczął rozważać zamówienie dużej dostawy koktajli u swego przyjaciela Tyrone'a. Doszedł bowiem do wniosku, że bez poważnej ilości alkoholu nie zdoła tego przetrwać.

## Rozdział 12

Max i Kristobal w dalszym ciągu byli ubrani według najnowszej mody, a ten drugi wciąż nosił na sobie zestaw komórkowo-słuchawkowy. Wszedł zawadiackim krokiem, niczym futurystyczny rewolwerowiec szukający zaczepki. Eleanor przebrała się w długą turkusową spódnicę z łańcuszkowym paskiem wokół smukłej talii i w białą dżinsową koszulę. Na pewno, pomyślał Tom, brała prysznic w tej małej łazience, a parująca piana spływała po jej smukłym, kształtnym... Nie, jeśli chciał pozostać przy zdrowych zmysłach, takie rozważania były absolutnie nie do przyjęcia. Jednakże świadomość, że się odświeżyła i przyszła, niby na spotkanie z nim, przyniosła mu cudowne uczucie ukojenia. Po chwili spostrzegł wyraz jej twarzy. Nie była to, łagodnie rzecz ujmując, niezafałszowana błogość. Przez jego zasnuty dżinem umysł przemknęło nawet określenie „morderczy”.

- Tom! - huknął Max z właściwym sobie entuzjazmem, który w istocie oznaczał: „Jestem nie tylko obrzydliwie bogaty, ale w dodatku fajny chłop”.

Znaleźli spokojny kąt i usiedli.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedział Max. - Musieliśmy sobie wyjaśnić parę rzeczy z Eleanor. Kurczę, ale podróż, co?

Kristobal wpatrywał się w ciemność za oknem ze zbolałym wyrazem swej lalusiowatej twarzy.

- Dobrze, że to się w ogóle toczy - burknął.

- Pierwszy raz jedziesz pociągiem? - zapytał go Tom.

- I mam nadzieję, że ostatni.

Tom był pewien, że chłopak preferuje prywatne samoloty, z lejącym się do woli szampanem, gdzie mógł się wylegiwać w rozkładanym fotelu, snując marzenia o karierze króla filmu.

- Kristobal to inne pokolenie - stwierdził Max, klepiąc go żartobliwie po ramieniu. - Nie wychował się na pociągach, tak jak my.

- To prawda. My z Ellie trochę jeździliśmy koleją, kiedy pracowaliśmy za granicą - powiedział Tom. - Kiedyś jechaliśmy taką starą ciuchcią z Amsterdamu do Paryża. Odjazd był o piątej rano i myśleliśmy, że zjemy coś w drodze. Tymczasem w pociągu nie było można dostać niczego do jedzenia, bo, jak się okazało, był strajk kelnerów. Więc umieraliśmy sobie powoli z głodu i nagle patrzymy, a na polach wzdłuż torów stoi mnóstwo ludzi i robią zdjęcia pociągu. Myślałem, że kelnerzy nas porwali jako zakładników, rozumiesz, i na stacji w Paryżu czeka nas nieuchronny koniec.

- I co? - zapytał Max.

- Na stacji w Paryżu czekała na nas orkiestra dęta. Potem do ciuchci podjechała taka czerwona superszybka lokomotywa. Okazało się, że to był ostatni kurs starego pociągu na tej trasie i stąd to całe zamieszanie. Więc orkiestra sobie grała, a my wydaliśmy chyba z miliard franków na żarcie. Pamiętasz, Ellie?

- Nie, nie pamiętam niczego takiego. I wolę, żeby mnie nazywać Eleanor, bez zdrobnień.

Dżin rozgrzał już Toma od stóp po usta, które zmieniły się właśnie w haubicę kalibru osiemdziesiąt.

- Masz rację, Ellie - odparł. - Przeszłość to przeszłość. Wejźmy więc w nowe, lepsze jutro. - Spojrzał na Maxa. - Wspomniałeś, że rozmawialiście z *Eleanor*?

- A tak, omówiliśmy to i owo. Jeżeli chcesz, możecie zacząć natychmiast.

- Myślałem... - Tom spojrział na nią zdezorientowany.

- Kiedy Max się czymś podekscytuje, jego entuzjazm się rozprzestrzenia w sposób gwałtowny i niepowstrzymany - wyjaśniła kwaśnym tonem, unikając jego spojrzenia.

- Jesteś pewna, że to nie pociąg tu zadziałał? - zapytał. - Oczywiście gra słów jest niezamierzona - zapewnił ją.

- Ależ skąd - odpowiedział za nią Max. - Prawda, Eleanor?

- No to od czego zaczniemy? - zapytał Tom już miłszym tonem.

- Opowiedz nam, czego się dowiedziałeś do tej pory - rzekł Max.

Tom oparł się wygodnie, z pustą szklaneczką w dłoni.

- Na początek, że żeń-szeń hoduje się w Wisconsin, a po jego spożyciu faceci brykają w łóżku jak Rambo. Poza tym na pokładzie mamy starszą panią imieniem Agnes Joe, którą nie wiedzieć czemu, wszyscy znają. Waży więcej ode mnie i występowała w cyrku Ringling Brothers na trapezie. Tych dwoje... - wskazał na Steve'a i Julie - ...zamierza wziąć ślub w pociągu Southwest Chief. Fajne dzieciaki, ale ciężko wystraszone. W Chiefie mam zamiar na osobę, która może nam opowiedzieć mnóstwo świetnych historii. Dalej: ta pani od tarota zauroczyła właśnie potężnych rekinów finansjery swymi wglądami w przyszłość. Aha, no i Elvis Presley zmartwychwstał jako czarny mężczyzna imieniem Tyrofte, który serwuje w wagonie wypoczynkowym miksturę o nazwie „Kotłownia”. Każdy, kto to przeżyje i tak chce potem umrzeć z rozkoszy. No i jest jeszcze emerytowany ksiądz, który być może da mi ostatnie namaszczenie, jak nie będziemy w Los Angeles na czas i moja dziewczyna mnie zabije.

Przy ostatnich słowach Tom patrzył wprost na Eleanor. W końcu to ona jego zostawiła, a nie on ją. A teraz zamrugwała. Naprawdę zamrugwała! Nie wiedział, czy po prostu wpadło jej coś do oka, czy była to reakcja na jego wypowiedź, lecz trochę go to otrzeźwiło.

- Oho ho! - powiedział Max - nieźle się zdążyłeś zakręcić po tym pociągu.

- Reporter klasy światowej to reporter klasy światowej. Ellie też to dotyczy... to znaczy, Eleanor.

- Właściwie nigdy mi nie opowiadała o tym okresie swojego życia.

- Może powinniśmy się jednak zabrać do pracy, Max - przerwała im Eleanor. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Jak to? - zachnął się Tom. - Jeszcze kawał drogi do Chicago, a potem cała trasa do Los Angeles. Jeżeli pociąg będzie dalej jechał w tym tempie, to się nie rozstaniemy aż do wiosennych roztopów.

- Nie, nie, ja się chyba przesiądę w Chicago na samolot. Nie mówiłam ci o tym, Max, ale to dopiero co wyskoczyło. Sprawa osobista.



Tom odstawił szklankę. Oczywiście, że dopiero co wyskoczyło, pomyślał. I przybrało moją postać.

- To faktycznie trzeba się brać do roboty - powiedział.

Max nie wyglądał na zadowolonego ze zmiany planów przez Eleanor. Wtem jego wzrok spoczął na Stevie i Julie.

- Mówiłeś, że się pobierają w pociągu, tak? W Chiefie? - zapytał.

Tom objaśnił mu sytuację rodzinną młodych i powiedział o niepokoju Julie o małą liczbę gości podczas ceremonii. Maxa to bardzo zainteresowało. Zadawał wiele pytań.

- Biedna dziewczyna - rzekła Eleanor z autentycznym współczuciem. - Ślub nie powinien tak wyglądać. - Spojrzała na Toma. - Mówiłeś, że pochodzi z gór w Wirginii. A skąd dokładnie?

- Nie powiedziała. Czemu pytasz?

- Może zapomniałeś, ale ja się wychowałam we wschodnim Kentucky, zaraz za granicą stanu. Pewnie znam jej rodzinne miasteczko.

Przy okazji całej tej rozmowy o ślubie Tom zerknął szybko na serdeczny palec Eleanor. Nie nosiła obrączki ani nawet pierścionka zaręczynowego. Trudno było uwierzyć, że nikogo sobie do tej pory nie znalazła. Ale przecież z nim było tak samo.

- Jaki charakter ma ten twój scenariusz? - zapytał. Nie znał się na robieniu filmów, lecz pozował na starego wyjadacza w celuloidowej branży.

- To zależy od tego, co nam się trafi po drodze - odparła. - Max chce nakręcić komedię romantyczną, a ja bym wolała kryminał, z możliwie dużą liczbą trupów.

- A może by tak dwa w jednym? Nie ma niczego zabawniejszego od kilku sztywnych w jadącym pociągu.

- Widzisz, Eleanor? - Max wskazał dłonią na Toma. - Facet jest bezkonkurencyjny, uwielbiam go. Myślałeś kiedyś o pisaniu dla filmu?

Spojrzenie Toma spoczęło na Eleanor.

- Jeszcze przed dwiema godzinami nie.

- To nie takie proste, jak by się mogło wydawać - powiedziała.

- A co w ogóle jest proste w życiu? - odparował. Max przeprosił ich i w towarzystwie swego pieska Kristobala podszedł do Steve'a i Julie. Zaczął z nimi rozmawiać, wielce podekscytowany, lecz Tom nie słyszał słów. Musiało to jednak zrobić na młodych ludziach wielkie wrażenie, bo wyglądali na autentycznie zaskoczonych. Reżyser prawdopodobnie oddziaływał tak na wiele osób.

- Max chyba coś kombinuje - stwierdził.

- Jak zwykle zresztą - odparła Eleanor.

- Nigdy bym nie przypuścił, że w końcu wylądujesz w Los Angeles - zmienił temat.

- Każdy gdzieś musi w końcu wylądować. - Spojrzała w sufit. - Weź na przykład siebie. Najpierw Bejrut i Palestyna, a teraz meble i ogródki.

- Korespondent wojenny to robota dla młodych. Ja już mam swoje lata - odparł. - Poza tym na ile sposobów można pisać o ludziach, którzy się nawzajem mordują? Już pięć lat temu zabrakło mi przymiotników, czasowników i rzeczowników.

- Czyli dałeś sobie wreszcie spokój ze zmienianiem świata? - Chociaż pytanie wydawało się sarkastyczne, w jej tonie nie było ironii.

- Rozejrzyj się - odparł - i masz odpowiedź.

- I tak wytrzymałeś dłużej niż większość. W każdym razie dłużej niż ty, pomyślał Tom.

- A jak rodzice? - zapytała po chwili.

- Oboje nie żyją. Mama zmarła niedawno.

- Wyraży współczucia, Tom. To byli dobrze ludzie.

Rozważał przez chwilę, czy nie wyjawic jej rzeczywistego powodu podróży koleją. Zrezygnował jednak z tego pomysłu, gdyż atmosfera intymności już się gdzieś ulotniła.

Max z Kristobalem wstali i wyszli, zostawiając Steve'a i Julie w stanie lekkiego oszołomienia.

- Od czego zaczniemy? - spytała w końcu Eleanor.

- Może właśnie od tego? - Tom wskazał na młodych i podniósł się z miejsca.

Przedstawił im Eleanor i usiedli koło nich. Steve i Julie zaczęli opowiadać na wyścigi z wielkim podnieceniem, co wymyślił Max Powers.

- Chce nam urządzić cały ślub, łącznie z dekoracjami; nawet muzyków sprowadzi - wyjaśniła Julie.

- I za wszystko zapłaci! - dorzucił Steve z wyraźną ulgą. - Powiedział, że załatwi wszystko z dyrekcją. Ale nie wiem, co oni na to powiedzą.

- Max zazwyczaj stawia na swoim - rzekła Eleanor.

- Czy to jest naprawdę ten słynny reżyser? - zapytała Julie.

- Tak, to on - odparła Eleanor. - Ma wielkie serce i jeszcze większe ego - dorzuciła.

- Czuję się, jakbyśmy wygrali los na loterii - powiedział Steve, ściskając dłoń swej przyszłej żony.

- Na to w sumie wygląda - stwierdził Tom.

- Skąd w Wirginii pochodzisz? - zwróciła się Eleanor do Julie.

- Na pewno nigdy nawet nie słyszałaś o tym miejscu. Okręg Dickenson.  
- Tak? Mój tata jeździł czasami do Clintwood High. A w Grundy mam dwie ciotki.  
- O rany! - zdumiała się Julie. - Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto by znał te miejscowości.

- No, wiesz, ja się wychowałam na małej farmie w Kentucky. Dla nas Clintwood High to była metropolia. Robicie coś bardzo odważnego - dodała Eleanor, spoglądając na oboje młodych.

- Lecz nie czujemy się zbyt bojowo - zaśmiał się nerwowo Steve i zerknął na Julie.

- Jeśli naprawdę się kochacie, sami będziecie zdziwieni, jak wiele uda wam się wspólnie osiągnąć.

Julie chwyciła dłoń Eleanor.

- Posłuchaj, ty też pochodzisz z moich okolic i, proszę, jak wysoko zaszłaś. Dostaję po prostu szału na myśl, że jego rodzice nie rozumieją, że nie jest ważne, skąd jesteś, tylko do czego dążysz.

- Nie wychodzisz za rodziców Steve'a, Julie - odparła Eleanor. - Oni być może uważają, że nikt nie jest dość dobry dla ich synka. Szczególnie mamusie takie bywają. Ale daj im trochę czasu, może się jeszcze przekonają do ciebie. A jak nie, to ich strata, a wy i tak będziecie razem.

- Wiejskie wychowanie tak mnie zahartowało - odparła dziewczyna - że potrafię znieść bardzo wiele.

- Jeżeli człowiek jest zdany wyłącznie na siebie, to rzeczywiście bardzo się uodparnia, szczególnie na takie sytuacje, kiedy ludzie zupełnie cię nie znają i z góry przyklejają łatkę głupiego wieśniaka. Ale jak się im udowodni pomyłkę, to jest naprawdę fajne uczucie.

- Masz całkowitą rację - odparła stanowczo Julie. - A ja mam bardzo długą listę osób, które jeszcze kiedyś przyjdą do mnie ubiegać się o łaski.

Tom dał Steve'owi lekkiego kuksańca.

- Czy przeciwczyłeś już swoje „Tak, kochanie” i „Nie, kochanie”? Przy tej dziewczynie dużo więcej nie pogadasz. Wszedł ksiądz Kelly, z pytaniem, kto mógłby się przyłączyć do pokera rozgrywanego na dolnym poziomie o całkiem wysokie stawki. Zakończyli więc dyskusję na tematy matrymonialne i przeszli do sekcji wagonu barowego, przeznaczonej wyłącznie dla dorosłych.

## Rozdział 13

Tom widział już w swoim życiu niejedną pokerową jaskinię. Zazwyczaj przesiadywali tam oblatani, lecz kiepsko opłacani dziennikarze o kamiennych obliczach, ci, którzy w swych zarzuconych papierami norach kombinowali wciąż, jak dorobić do pensji. Samuel Clemens, jako reporter „Territorial Enterprise”, także nie stronił od kart w kompanii innych dżentelmenów. Na te „przyjacielskie” spotkania brał zawsze ze sobą swój stary rewolwer z wojska, najpewniej na wypadek gdyby któryś z panów wyciągnął błędne wnioski z odnalezienia w czymś rękawie lub bucie atutowej karty.

Na pierwszy rzut oka grupka w wagonie wypoczynkowym wyglądała całkiem niewinnie, ale Tom wiedział, że takich właśnie należy się bardzo strzec. Najwięcej pieniędzy w swym życiu przegrał w pewnym sympatycznym klasztorze żeńskim za granicą, do czego zresztą nigdy nikomu się nie przyznał, po prostu z czystego wstydu. Matka przełożona dobrała wówczas do dużego strita cztery razy pod rząd, co było absolutnym rekordem w historii pokera. Pewne ukojenie dała mu tylko świadomość, że nawet najwytrawniejszy gracz musiałby ulec przeciwnikowi, który miał po swojej stronie wszechmocnego.

Ponieważ żetonami w grze były chipsy ziemniaczane, zakupili po kilka torebek doritosów, a zachęcona przez Toma Eleanor odważyła się nawet zamówić u Tyrone’a jego sławetną „Kotłownię”. Hebanowy Elvis i reporter wymienili porozumiewawcze spojrzenia, lecz mina im zaraz zrzedła, gdy pani wychyliła szklaneczkę jednym haustem, otarła usta rękawem i jak gdyby nigdy nic zasiadła do kart.

- To było nieludzkie - szepnął Tyrone. - Mówiłeś, że ją znasz.

- Tak mi się zdawało - odparł Tom. Przeciwicy pokera, a potem oczko, kierki, tysiąca i sześćdziesiąt sześć i zakończyli oboje z tą samą liczbą chipsów, z którą każde zaczynało, lecz ponadto zdobyli sporo materiału do tekstu Toma i do filmu Eleanor. Wśród graczy był mężczyzna o sześciopalczastej dłoni, który wygrał dużo więcej, niż stracił. Tom podejrzewał, że miało to coś wspólnego nie tylko z dodatkowym palcem, lecz także z dodatkowym asem ukrytym w odpowiednim miejscu. Nie mógł jednak niczego udowodnić ponad wszelką wątpliwość, co w Capie, jak go poinformowano, stanowiło normę prawną. Grał z nimi także dość nieprzyjemny typ, który parsknął za każdym razem, gdy zgarniał stawkę, wytykał innym ich błędy karciane i generalnie był upierdliwy. W pewnym momencie Eleanor nachyliła się i szepnęła Tomowi do ucha: „Tego koleś zarzniemy w pierwszej scenie filmu”.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Tom wyjął z kieszeni kubańskie cygaro i wyciągnął je w stronę ojca Kelly’ego, który także okazał się niezłym graczem.

- W pierwszych latach proboszczowania miałem trochę za dużo wolnego czasu na plebanii - wyjaśnił.

- Palarnia wzywa, proszę księdza - rzekł Tom. Eleanor poszła z nimi, chociaż wiedział, że jest niepaląca.

W każdym razie była.

- Max jest szefem - odparła na jego pytające spojrzenie. - Jak się powiedziało „A”, trzeba też powiedzieć „B”.

Wagon wyposażony był w wentylatory, które powinny teoretycznie oczyszczać powietrze z dymu, i to na bieżąco. Sądząc jednak po gęstości atmosfery we wnętrzu, urządzenia te dawno już sobie odpuściły, zabrały swoje łopatki i poszły do domu.

Większość miejsc była zajęta, ale znaleźli jeszcze trzy z samego tyłu. Jacyś dwaj palacze położyli na stojących popielniczkach kawałek sklejki i na tym prowizorycznym stoliku grali w warcaby. Inna grupka rozprawiała o nadchodzącej kolejce ligi futbolowej. Chociaż napis na drzwiach głosił, że nie wolno wnosić jedzenia, każdy coś pogryzał albo popijał. Jeden z mężczyzn stwierdził, że można się tym nie przejmować, dopóki nie przyjdzie konduktor. Wtedy wszyscy powinni błyskawicznie ukryć swoją kontrabandę. Tom przyjrzał się licznym szklankom piwa, wielkim porcjom lodów i butelkom z domowymi wynalazkami, które nie wyglądały raczej na oranżadę. Ciekaw był, jak szybko zdołają w razie czego pochować to całe zaopatrzenie.

Usiedli, usiłując oddychać bez zbytniego uszczerbku dla płuc. Ojciec Kelly i Tom starali się ożywić swoje cygara, Eleanor zaś oparła się wygodnie i przymknęła oczy.

- Zmęczona? - zapytał Tom. - Pewnie wciąż jeszcze się nie przestawiłaś z czasu kalifornijskiego.

- Cały poprzedni tydzień spędziłam w Waszyngtonie - odparła.

- Coś ważnego?

- Nie coś, tylko ktoś.

Tom opuścił rękę z cygarem i powiódł spojrzeniem po ludziach w wagonie. Nie coś, tylko ktoś. Eleanor kogoś miała. No cóż, właściwie czemu nie? Wciąż była młoda, inteligentna, piękna i pewnie zarabiała mnóstwo w filmie. On przecież także kogoś miał, w pewnym sensie. Jak ona ma na imię? Linda? Nie, Lelia. Uznał tę chwilową lukę w pamięci za zły omen.

O względy Eleanor zaczął zabiegać od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał w kampusie. Gdy go mijala, cały świat jakby zwolnił bieg i przestało istnieć cokolwiek poza nimi dwojgiem. Nie chodziło tylko o jej urodę; sprawcy byli ci sami, co zwykle: jej ruchy, sposób

wypowiadania się, to jak patrzyła człowiekowi w oczy i jak naprawdę słuchała, co ma do powiedzenia. Ale i na tym nie koniec. Jak to opisała Agnes Joe, Tomowi było wszystko jedno, czy jadł, pił, spał, a nawet oddychał, dopóki Eleanor znajdowała się w pobliżu. Jej charakter, starannie kształtowany, stanowił magnes sam w sobie. Eleanor wygłaszała wyłącznie własne opinie, trafiając zawsze w punkt ze śmiertcioną precyzją i bez obawy o ripostę. Niemal zawsze taki strzał łagodziło dotknięcie jej ręki - lub delikatny pocałunek - albowiem w końcu zdobył jej serce w ogniu nieustannych ataków i kontrataków ze strony kilku innych poważnych rywali.

Rozmyślenia Toma przerwało pojawienie się w drzwiach wagonu nowej osoby. Przybysz miał na oko dwadzieścia pięć lat i chyba metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Był szczupły i zlustrował wszystkich dość filisterskim spojrzeniem. Miał modny, kilkudniowy zarost, wytarte dzinsy i znoszony pasek. Jego koszula jednak była jedwabna i drogiej marki, włosy miał zmierzwione z profesjonalną biegłością, a dzinsy także wyglądały na celowo postarzone. Udaje luzaka, uznał Tom, a tak naprawdę ma aż nazbyt wielkie mniemanie o sobie.

Młody człowiek trzymał pod pachą szachownicę i pudełko z figurami. Tom obserwował, jak metodycznie urządza swoje stanowisko. Eleanor także śledziła jego poruszenia byстрыm spojrzeniem. W ciągu następnej godziny przybysz rozgromił wszystkich chętnych do gry. Jak nadmienił ojciec Kelly, pociągami jeździło wielu szachistów amatorów.

- Pociąg ma w sobie coś takiego, że chętnie się ujawniają, szczególnie w palarni - powiedział. - Słyszałem, że nawet arcymistrzowie jeżdżą czasami *incognito* i grają z każdym, kto się nawinie, po prostu dla treningu. I zdarza im się przegrywać.

Tom nie bardzo rozumiał, dlaczego wybitni szachiści mieliby podróżować *incognito*, nie odezwał się jednak, lecz przyglądał grze. Facet był dobry, naprawdę świetny. Przeciętą partia z nim trwała dziesięć minut. Po każdym zwycięstwie, kiedy przeciwnik odchodził zawstydzony, on wybuchał śmiechem. Śmiał się do rozpuku. A potem obwieszczał donośnie i protekcjonalnie: „Następna ofiara, proszę!”. Tom chętnie by go rozgromił, gdyby potrafił, gra w szachy jednak jak na jego gust wymagała zbyt wielkiego wysiłku umysłowego.

Ksiądz Kelly po pewnym czasie poszedł do siebie. Tom nie spodziewał się go już ujrzeć tej nocy; duchowny bowiem sporo wypił, a dobił go drink, którym popił cygaro.

- Mszy świętej raczej bym w tej chwili nie odprawił - oznajmił na odchodnym, po czym dorzucił: - Nie jestem nawet całkiem pewien, z ilu osób składa się Trójca Święta.

Tom życzył mu dobrej nocy. Wtem ujrzał, że Eleanor wstaje i rzuca wyzwanie szachowemu królowi, którego nazwisko, jak się zdążyli dowiedzieć, brzmiało Slade.

Ponieważ była jedyną kobietą w palarni, gdy zajmowała miejsce naprzeciw znieawidzonego osobnika, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Kiedy wykonywała pierwszy ruch, Slade miał minę tak pewną siebie, że Tom najchętniej zmusiłby go do zjedzenia za karę kilku pionków. Nie wiedział nawet, że Eleanor potrafi grać w szachy, lecz nagle sobie coś przypomniał. Kiedy mieszkali w Izraelu, zaprzyjaźnili się ze starym rabinem, znakomitym szachistą. Nauczył on Eleanor pewnej strategii; tylko jednej, lecz za to niezawodnej. Wystarczyło przeczekać trzy ruchy, żeby móc stwierdzić, czy przeciwnik dał się złapać na haczyk, czy nie. Sztuczka działała nawet w grze z bardzo utalentowanymi graczami, a szczególnie nadmiernie pewnymi siebie.

Po trzech ruchach Tom dostrzegł cień uśmiechu na twarzy Eleanor i ukradkiem odpowiedział jej uśmiechem. Cztery ruchy później wszechmocny Slade o zwichrzonej czuprynie wpatrywał się w szachownicę z niedowierzaniem. Eleanor zaszachowała jego czarnego króla, który nie miał gdzie uciekać, chyba że w objęcia białej królowej albo gońca. Publiczność, sami palacze o czarnych od dymu płucach, zgotowała jej ochryplą owację na stojąco. Tom, rozochocony alkoholem i nagromadzonymi emocjami, klaskał tak zapamiętale, że aż mu poczerwieniały dłonie. Nieszczęsny chłopina zaś zrejterował z wagonu ze swoją szachownicą pod pachą, mrużąc coś pod nosem na temat „głupiego szczęścia początkujących”. Gdyby nie to, że Eleanor miała kogoś w Waszyngtonie, Tom najpewniej by ją wycalował.

Kiedy tak na nią patrzył, przebiegały mu przez głowę najróżniejsze wersje wydarzeń. Znów miał dwadzieścia pięć lat i razem podbijali świat, pisząc kolejny reportaż na pierwszą stronę wielkiego dziennika. Wszystko było możliwe.

Utrzymał to cudowne uczucie jeszcze przez cztery minuty, a potem odeszło.

## **Rozdział 14**

Postać, która wśliznęła się do przedziału Toma, była ubrana na czarno i zamierzała zwędzić jego drogi długopis. Następnie łupem złodzieja padł srebrny krucyfiks ojca Kelly’ego. Potem zakradał się po kolei do przedziałów sypialnych pierwszej klasy, zdobywając jeszcze złożony spinacz do banknotów Maxa, srebrną szczotkę Eleanor i markowe okulary przeciwsłoneczne Kristobala, za czterysta dolarów. Ostatnim - na razie - celem złoczyńcy był przedział Gordona Merryweathera, gdzie ukradł wymyślny zegarek prawnika, gotówkę oraz palmtopa. Cała przestępcza akcja trwała zaledwie dziesięć minut,

gdyż sprawca był bardzo biegły w swej sztuce. Nikt nie widział kradzieży, a kiedy Regina przechodziła korytarzem, żeby napelnić świeżą kawą dzbanek u szczytu schodków, złodziej zdążył się już ulotnić wraz z łupem.

Pierwsza kolejowa kradzież w Ameryce zdarzyła się w roku 1866, na starej trasie z Ohio do Missisipi. Dwaj rabusie, żołnierze konfederacy, blakający się bez celu po kraju po szlachetnej kapitulacji generała Lee, zostali szybko pochwyceni. Potem nastąpiła cała seria podobnych przestępstw. Kres temu lukratywnemu procederowi położyło dopiero powstanie agencji detektywistycznej Pinkertona, której pracownicy posługiwali się bronią o wiele lepiej od tych, na których polowali, nie wyłączając słynnego gangu braci Jesse i Franka Jamesów. Natomiast złodziej z Capitol Limited przeprowadził swą wielce lukratywną operację bez jednego wystrzału. Nieszczęsny Jesse James na pewno nie posiadałby się z zazdrości.

Tom i Eleanor stali na zewnątrz palarni, oddychając głęboko, by oczyścić płuca.

- Ależ pięknie załatwiłaś tego gościa - powiedział Tom. - A jaką miał minę! - Objął ją ramieniem, co częściowo odwzajemniła. - Bogu niech będą dzięki za naszego rabina szachistę z Tel Awiwu. Jakże on się nazywał?

- Nie pamiętam - odparła cicho.

Spojrzał na nią i cały jego świetny humor gdzieś wyparował; Tom poczuł się nagle przygnieciony wielkim ciężarem. *Rabin Jakiś tam z Tel Awiwu. Scena ostatniego spotkania czy raczej ostatniej krwawej bitwy.*

Nie powinien był tego robić; wiedział, że nie powinien, lecz mimo wszystko zamierzał. Zupełnie jakby połączenie między jego umysłem i językiem działało wyłącznie w niewłaściwych momentach.

- Czy możesz mi teraz to powiedzieć? - zapytał. - Przez tyle lat zdążyłaś chyba wszystko przemyśleć?

- Co mam ci powiedzieć?

- Sam nie wiem; może zacznijmy od tego, dlaczego mnie właściwie wtedy zostawiłaś? To na dobry początek, a potem przejdziemy dalej.

- Chcesz mi wmówić, że nie wiesz dlaczego?

- A skąd miałbym wiedzieć? To, co wtedy mówiłaś, zupełnie się nie trzymało kupy.

- Bo mnie nie słuchałeś, jak zwykle zresztą. Ale to już twój problem.

- To bzdura i dobrze o tym wiesz.

- Nie muszę tu stać i wysłuchiwać twoich wrzasków.



- Masz rację. Usiądź sobie na podłodze, to ci dokończę. Miałem całe lata na przygotowanie się. Właściwie to mógłbym gadać przez trzy dni bez przerwy, dopóki stary pocziwy Southwest Chief nie dojedzie do Pacyfiku.

- Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam, jak tylko cię zobaczyłam. Nie zmieniłeś się ani na jotę.

- A czego ty się spodziewałaś, Ellie?

- Mam na imię Eleanor.

- Och, wybacznij ten powrót do przeszłości, w której miałaś na imię Ellie.

- Jesteś po prostu obłądny. Jakbyś spadł z księżycy. Czy nie mógłbyś czasem zdjąć tych kłapek z oczu, żeby choć raz zobaczyć, jaki świat jest naprawdę?

- Widziałem dość świata; aż za wiele. I na pewno nie przez różowe okulary.

- Nie o to mi chodzi. Widziałeś to, co chciałaś zobaczyć, i tyle.

- Miałaś kogoś innego, tak? No, powiedz. Eleanor wywróciła oczami i zamachała z irytacją dłonią.

- Dlaczego faceci zawsze myślą, że musiał być ktoś inny? Przecież to wy najczęściej oszukujecie.

- Ja ciebie nigdy nie oszukiwałem. Nigdy!

- Nie powiedziałam, że ty oszukiwałeś. Ja zresztą też nie.

- No to dlaczego mnie zostawiłaś? Eleanor pokręciła ze znużeniem głową.

- Tom, jeżeli do tej pory tego nie pojąłeś, to nie wiem, co bym ci miała powiedzieć, żebyś to pojął teraz.

Wytrzeszczył na nią oczy.

- Wybacz, ale ja jakoś już nie łapię tego waszego kobiecego slangu. Czy mogłabyś mi przetłumaczyć, co właściwie przed chwilą powiedziałaś?

Znów pokręciła głową.

- Tyle lat upłynęło, a tobie wciąż się nie udaje - stwierdziła.

- Co mi się nie udaje?

- Dorosnąć! - wybuchnęła, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeli śpiew. Po chwili otoczyła ich grupa kolędników, złożona po części z załogi pociągu, po części z pasażerów. Tyrone zrobił sobie przerwę w pracy i przewodził towarzystwu, które wykonywało akurat z animuszem „Jingle bells”. Przez szacunek dla co stateczniejszych członków śpiewaczej kompanii barman utrzymywał jednak swoje kręcenie tyłkiem w dozwolonych prawem granicach. Agnes Joe zamykała pochód, jako jedyny przedstawiciel basów.

- Może się przyłączyć? - zapytał Tyrone. - Chętnie bym poznał bliżej damę, która potrafi w taki sposób chlapnąć „Kotłownię”.

Eleanor odwróciła się jednak i odeszła, zaplatając ręce na piersi.

Murzyn powiódł za nią spojrzeniem i zwrócił się do Toma.

- Hej, stary, powiedziałem coś nie tak?

- Nie, Tyrone, to ja coś powiedziałem nie tak - odparł Tom i również odszedł.

Przez chwilę chciał pójść za nią i kontynuować dyskusję, lecz nie miał na to dość energii, a poza tym bał się - choć raczej tego, co sam powie, niż tego, co mógłby usłyszeć. Po drodze do swego przedziału usłyszał dobiegający z dolnego poziomu śmiech. Trochę śmiechu bardzo by mu się teraz przydało, zbiegł więc po schodkach na dół i skręcił w prawo, za dźwiękiem. Znajdowały się tutaj przedziały sypialne drugiej klasy, mniejsze i bez prysznic, ale z toaletą i umywalką. Na końcu korytarza dostrzegł Reginę i Tarotową Damę. Stały przed jednym z przedziałów i rozmawiały z kimś w środku.

Regina zobaczyła go i pomachała ręką. Kiedy tam podszedł, ujrzał w przedziale starszą kobietę siedzącą na krzeselku. Potem spostrzegł wózek inwalidzki, złożony i oparty o ścianę. Odwrócił się i spojrzał na wróżkę. Wciąż miała na głowie wielobarwny zawój, lecz zdjęła już swoje idiotyczne buty i była w kapciach. Zmałała przez to o jakieś dziesięć centymetrów i okazało się, że jest osobą raczej drobną. Z bliska jej niebieskie oczy były bardzo świetliste i emanowały zarówno figlarnością, jak i czarem, a uśmiech miała bardzo ciepły. Zauważył, że drzwi przedziału naprzeciwko ozdobione zostały kolorowymi koralikami, a kotara na stałe odsunięta i podczepiona. Zdawało mu się również, że czuje kadzidło, co było chyba wbrew kolejowym przepisom.

- To pani własne innowacje, jak sądzę - zwrócił się do wróżki.

- Widzę, panie Langdon, że pan także ma moc psychiczną - zaśmiała się gardłowo.

- Skąd pani wie... - przerwał i spojrzał na Reginę. - No jasne, to nie żadne sygnały z kosmosu, tylko ty jej powiedziałaś, jak się nazywam.

- Przedstawiam ci Drusellę Pardoe, Tom - odrzekła. - Nie musiałam jej niczego mówić, ona i tak wszystko wie.

Kobieta wyciągnęła do niego delikatną dłoń.

- Przyjaciele mówią na mnie Misty - oznajmiła. - Na pewno zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, więc ty też możesz mnie tak nazywać.

Misty miała południowy akcent, doprawiony czymś ostrzejszym.

- Nowy Orlean? - zapytał.

- Łamane przez Baltimore; brawo! - odparła i przysunęła się bliżej do niego. Okazało się, że to nie kadzidło tak pachnie, lecz jej perfumy.

- Misty była w Baltimore biegłą księgową - powiedziała Regina.

- Odkryłam, że mam talent do liczb, a talent powinno się wykorzystywać do wyższych celów niż wykrecanie się od płacenia podatków, nie sądzisz, Tom?

- Bez wątpienia.

- Masz rację, Regino, jest bardzo miły - odezwała się właścicielka wózka inwalidzkiego. Kończyła właśnie kolację, którą miała przed sobą na tacy.

- O, nie wiedziałem, że podają jedzenie do przedziału - rzekł z uśmiechem Tom. - Musiałem się fatygować do restauracyjnego.

- Ależ oczywiście. - Kobieta odwzajemniła jego uśmiech. - Wystarczy tylko mieć to - wskazała na swój wózek - a Regina przyniesie ci jedzenie pod nos.

- Ojej, gdzie moje maniery - zreflektowała się konduktorka. - Nie przedstawiłam was. Lynette Monroe, Tom Langdon.

Lynette była kobietą mniej więcej sześćdziesięcioletnią, o długich srebrzystych włosach i harmonijnych rysach twarzy, wciąż bardzo atrakcyjną. Pomimo swego inwalidztwa zdawała się emanować optymizmem.

- Podobno będziesz współpracował z tymi filmowcami, Tom? - zapytała Regina.

- Czy to naprawdę Max Powers? Uwielbiam jego filmy - dorzuciła Lynette.

- A ta kobieta? Na liście pasażerów jest pod nazwiskiem Eleanor Carter, ale to na pewno jakaś aktorka, która podróżuje, no wiesz, *incognito*. Ma klasę. I jest niesamowicie piękna. To gwiazda, tak, Tom?

- Nie. To moja dobra znajoma i nie jest aktorką, tylko dziennikarką. Redaguje scenariusze. Ale w kwestii urody i klasy całkowicie się z tobą zgadzam.

Natomiast za równowagę psychiczną Eleanor raczej w tej chwili nie był gotów ręczyć.

- Twoja znajoma, powiadasz? To znaczy, że znaliście się przed tą podróżą?

- Tak, znamy się od lat. Razem pisaliśmy do gazet.

- Słyszałam, że to było coś więcej - wtrąciła Misty.

- Skąd to wiesz? - Tom spojrzał na nią zdumiony.

- W pociągu ploteczki kursują szybciej niż gdziekolwiek indziej, może z wyjątkiem kościoła. Łatwo coś usłyszeć nawet mimo woli. Sam rozumiesz - przysunęła się do niego - przedziały są małe, a...

- A ludzie lubią podsłuchiwać - wszedł jej w słowo.

- Ee, po co zaraz tak ostro. Ja w ogóle mam takie motto: Jeżeli nie masz o kimś dobrego zdania, przyjdź z tym do Misty i wszystko jej opowiedz.

- Muszę już iść, miłe panie - powiedział Tom, odsuwając się łagodnie od wróżki.

- Ja też. - Regina wzięła tacę od Lynette.

- Słuchaj, Tom! - zawołała Misty, gdy się już oddalili. Odwrócił się, a ona rozłożyła talię do tarota w wachlarz. - Mam przecucie, że między nami jest jakiś szczególny związek! - zawołała.

- Misty, Tom jedzie do swojej dziewczyny na święta - napomniała ją Regina. - Ona podkłada głos pod zwierzątka w kreskówkach.

- A ty skąd o tym wiesz? - zdumiał się Tom.

- Agnes Joe mi powiedziała.

- Dwie takie jak wy i można zlikwidować CIA - stwierdził zrezygnowanym tonem.

- Słuchaj, Tom - rzekła przeciągle Misty. - Dojrzały mężczyzna potrzebuje dojrzałej kobiety. Kreskówka cię w nocy nie rozgrzeje, mój drogi.

- Ta Misty to niezły numer - zwrócił się Tom do Reginy, kiedy weszli na górę.

- U niej to tylko taki sposób okazywania sympatii, jak to u południowców - odparła z uśmiechem konduktorka. - Wcale nie myśli tak, jak mówi. W każdym razie nie całkiem. Przyjaźnimy się i dobrze ją znam.

- Pewnie często jeździ koleją?

- O, tak. Przepowiada ludziom przyszłość, czyta z ręki, wróży z kart, wszystko za darmo. Najczęściej kursuje między Waszyngtonem a Nowym Orleanem, ma tam mały sklepik we francuskiej dzielnicy. Bardzo przyjemne miejsce, odwiedziłam ją kiedyś.

- A Lynette? To bardzo miłe, że przyniosłaś jej kolację.

- To nie takie proste jeździć na wózkach w pociągu. Lynette ma SM, ale się nie poddaje. Lubię jej towarzystwo.

- Widzę, że ty naprawdę znasz swoich pasażerów.

- Staram się, wiele dla mnie znaczą. Właściwie...

- Ty mała złodziejko!

Przed nimi stał Gordon Merryweather.

- Słucham? Co pan powiedział? - zapytała Regina. Mężczyzna postąpił krok bliżej.

- Zostałem okradziony i wiem, że to twoja sprawka! Nikt inny nie miał takiej możliwości. Możesz być pewna, że już tu nie pracujesz, a święta spędzisz w kryminale!

- Chwileczkę - odparła Regina. - Nie życzę sobie takiego tonu ani takich oskarżeń. Jeżeli coś panu zginęło, sporządzimy raport i zgłosimy to odpowiednim władzom.

- Nie będziesz mnie pouczać - warknął Merryweather. - Żądam zwrotu moich rzeczy, i to natychmiast.

- To będzie trochę trudne, proszę pana, ponieważ nie wiem, co panu zginęło i kto to wziął.

Tom stanął między nimi.

- Posłuchaj no, Gord - powiedział. - Może nie jestem sławnym prawnikiem jak ty, ale wiem, że dopóki komuś nie dowiedziono winy, jest niewinny. I jeśli nie masz dowodów, to zwyczajnie zniesławiasz tę panią przy świadku, a to cię może sporo kosztować, jak zapewne sam doskonale wiesz.

Merryweather zmierzył go spojrzeniem.

- A cóż ty możesz wiedzieć o zniesławieniu? - zapytał.

- Nazywam się Tom Langdon, dla twojej wiadomości. Jestem dziennikarzem i dostałem Pulitzera za tekst o pewnym amerykańskim prawniku w Rosji. Ten gość robił naprawdę złe rzeczy. Teraz siedzi w więzieniu i pisze apelacje we własnej sprawie. Odkryłem przy okazji, że istnieje większa siła od najlepszego nawet pozwu złożonego w sądzie. To dobry artykuł w gazecie. Ludzie chętnie czytają o takich sprawach.

Merryweather cofnął się o krok i warknął do Reginy:

- Palmtop, dwie setki w gotówce i zegarek firmy Tag Heur. Chcę to mieć z powrotem, zanim dojedziemy do Chicago, albo polecą głowy.

Prawnik odszedł, a oni oboje głośno odetchnęli.

- Ten gość jest koszmarny - powiedział Tom. - A może się dowiedział, że w pociągu jest Max Powers? I chce się wkręcić do filmu w roli wujka Sknerusa?

- Mamusia zawsze mi powtarza, żebym kochała ludzi, ale ona nie zna Gordona Merryweathera - stwierdziła Resina.

- Chyba już miałaś z nim do czynienia, co?

- Jak wszyscy, którzy pracują w tym pociągu - odparła. - Dzięki Tom. Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy. Sama też byś sobie poradziła.

- Naprawdę dostałeś tego Pulitzera?

- Nie. Naprawdę to dostałem dwa Pulitzery.

- O kurczę, podziwiam cię.

- Niespecjalnie jest za co. Wystarczy przez kilka lat jeździć w różne straszne miejsca i opisywać wszystkie możliwe okropności. Cywilizowany świat sobie o tym poczyta i natychmiast zapomni, ale poklepie cię po główce i da nagrodę za to, że niczego nie udało ci się zmienić.

Co powiedziawszy, Tom wrócił do swojego przedziału, żeby się trochę przespać.

## Rozdział 15

Eleanor także wróciła wprost do swojego przedziału, zamknęła drzwi na zamek i zaciągnęła dokładnie kotarę. Usiadła na łóżku, zaścielonym przez Reginę w czasie kolacji, zgasiła światło i siedziała w ciemności. Widziała teraz padający coraz gęściej śnieg za oknem. Cap zbytnio się tym nie przejął, lecz parł z pełną mocą do przodu. Mijali miasteczka o niezbyt okazałej zabudowie, gęste lasy, czasem jakąś przecinającą teren rzeczkę. Z kominów unosił się meandrami dym wypisujący wśród płatków śniegu sekrety, których Eleanor nie potrafiła odszyfrować. Błądziła palcami po chłodnej szybie, rysując na gładkiej powierzchni własne zawile symbole. A potem zwinęła się w kłębek, przyłożyła głowę do poduszki i zaczęła cicho płakać.

Gdy tak się wpatrywała w pejzaż za oknem, w jej wyobraźni wszystko uległo nagle dramatycznej przemianie. Jak przedtem Tom, tak teraz ona przeniosła się do Tel Awiwu tuż przed Gwiazdką. Czowała się tam taka szczęśliwa, a jednocześnie tak zgnębiona, że ten schizofreniczny stan doprowadzał ją niemal do obłędu. I może w końcu faktycznie doprowadził w ten bożonarodzeniowy poranek, kiedy jej przyszłość u boku kochanego mężczyzny nagle gdzieś się rozwiała. Wciąż miała żywo w pamięci moment, gdy obejrzała się i popatrzyła na niego ze schodów ruchomych na lotnisku, a on po prostu odwrócił się i odszedł. Na to wspomnienie łzy znów popłynęły jej z oczu, a cały mechanizm, dzięki któremu panowała nad swoim życiem, obrócił się w proch. Nie przypuszczała, że Tom jeszcze kiedykolwiek będzie zdolny jej to zrobić, a jednak zrobił. Wystarczyło jego spojrzenie i kilka wypowiedzianych słów. Okazała się bezradna.

Rozległo się pukanie do drzwi i Eleanor aż zeszywniała. Nie chciała go znów zobaczyć, nie teraz. A może już nigdy.

- Eleanor? Nie śpisz, prawda? Odetchnęła z ulgą. To nie był Tom, lecz Max.

- Chwileczkę.

Zapaliła światło, przetarła twarz wilgotnym ręcznikiem i sięgnęła po szczotkę do włosów, żeby się przyczesać. Szczotki nie było tam, gdzie ją położyła, więc przeczesала włosy palcami i otworzyła drzwi.

Max wszedł szybko do środka i zasunął drzwi za sobą.

- Jak tam? - zapytał. - Nie za dobrze wyglądasz.

- Chyba jestem zmęczona.

- No więc jeżeli chodzi o wesele, to wszystko już ustalone - oznajmił. - Rozmawiałem z obsługą pociągu, w ogóle nie ma problemu.

- To wspaniale - odrzekła cicho.

- A wam z Tomem jak idzie? Macie już coś ciekawego?

- Materiał jest świetny. Później sobie to wszystko pospisuję.

- Czuje się tego pionierskiego ducha, prawda? Pociągiem się właściwie nie jedzie po to, żeby gdzieś szybko dotrzeć, tylko dla samej podróży. Dla niespodzianek.

- Mnie rzeczywiście spotkała w tym pociągu wielka niespodzianka.

Obrzucił ją czułym spojrzeniem.

- Życie jest pełne takich zabawnych zbiegów okoliczności. Kiedyś poszedłem na lunch do Paula, wiesz, do tej strasznie drogiej włoskiej knajpki niedaleko Rodeo Drive. Wchodzę, patrzę... i kto tam siedzi? Nie jedna, nie dwie, ale wszystkie trzy moje były żony!

- Niesamowite. Przyszły osobno?

- No, nie. Okazało się, że się spotykają co wtorek, żeby sobie opowiadać, jakim okropnym byłem mężem. Taki klub ciekawej książki, tylko że mający na celu ukrzyżowanie niżej podpisanego. Oczywiście żadna nie przyzna, że to dzięki moim alimentom może sobie siedzieć na modnie ubranym tyłku w drogiej restauracji i przez cztery godziny wieszać na mnie psy. - Spojrzał na nią. - Chcesz mi opowiedzieć o tym Langdonie? Jak na mój gust, to łączyło was coś więcej niż dziennikarstwo.

Eleanor bawiła się nerwowo palcami dłoni.

- Pamiętasz, Max, jak zaczynałam dla ciebie pracować? Zapytałeś, co mnie popchnęło do pisania, co to za siła mnie napędza.

- Jasne, że pamiętam. Pytam o to każdego, kto ma pracować nad moimi scenariuszami.

- Odpowiedź brzmi: Tom Langdon.

- Nie rozumiem.

- Kochałam go, Max. Miłością, która chciała dać wszystko, bez ograniczeń. Kiedy nastąpił koniec, pozostała we mnie pustka, próżnia jak po zgasłej gwiazdce. Jedyne, czego się jeszcze potrafiłam uchwycić, to było słowo pisane.

- Z korzyścią dla mnie, ale nie dla ciebie - rzekł cicho Max. - A więc kochałaś go, a jemu najwyraźniej wciąż zależy na tobie. Co się w takim razie stało?

Wstała i przeszła kilka kroków po ciasnym przedziale.

- Dwojgu ludziom może na sobie zależeć - powiedziała w końcu - ale niekoniecznie muszą pragnąć tego samego. I związek przestaje funkcjonować, choćby się nie wiem jak kochali.

- Czego pragnie Tom?

- Nie wiem, czy on sam to wie. Ale wiem, czego nie chce; być uwiązany gdziekolwiek i przez kogokolwiek.

- A ty wiesz, czego sama chcesz?

- Nikt tego nie wie tak naprawdę. Ty wiesz, Max?

- No cóż, ja tu chyba nie jestem dobrym przykładem, wciąż zmieniam zainteresowania. Ale to chyba jest nieodłączna część życia, tak sędzę. Pewnie chciałbym być szczęśliwy, wszyscy za tym gonimy. I każdy znajduje swoje szczęście na swój własny sposób.

- Jeśli znajduje. Wielu się nie udaje, może ja właśnie do takich należę.

- Eleanor, jesteś kobietą sukcesu, inteligentną, utalentowaną, piękną i w najlepszym okresie swego życia.

- Więc może ta kobieta nie potrzebuje do pełnego szczęścia akurat mężczyzny?

Max wzruszył ramionami.

- Może nie. Nie twierdzą przecież, że trzeba koniecznie wychodzić za mąż, żeby być szczęśliwą.

- Co w takim razie twierdzisz? Reżyser wstał.

- Tylko tyle, że tak samo nie powinno się z góry zakładać, że do szczęścia nie potrzebuje się w ogóle nikogo.

Max wyszedł i udał się do przedziału Kristobala, który właśnie wywracał pomieszczenie do góry nogami.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Powers.

- Szukam moich okularów przeciwsłonecznych.

- Po co? Przecież jest noc!

- Ale chyba mi zginęły.

- No to kupisz sobie nowe.

- To są okulary za czterysta dolarów! Max spojrział na niego przeciągle.

- Słuchaj, Kristobal, ile ja ci właściwie płacę? - zapytał.

Młody człowiek przełknął ślinę i spojrział nerwowo na swego szefa.

- Oszczędzałem na te okulary przez cały rok - odparł cicho.

- Aha. Słuchaj, załatwiłem to wesele.



- To wspaniale, szefie. Jest pan geniuszem.

- Ciagle mi to powtarzasz. Wszyscy już macie przydzielone zadania, więc żeby mi nikt nic nie schrzanił.

- Czy ja pana kiedykolwiek zawiodłem, panie Powers?

- Wiem, wiem. Ale nikt nie jest doskonały i nie chciałbym, żeby ten pierwszy raz był akurat teraz. Rozumiesz?

- Oczywiście, proszę pana.

- Dobry z ciebie chłopak, lecz jak wrócimy do Los Angeles, obetnę ci pobory.

- Ale dlaczego, szefie? - zapytał zaskoczony Kristobal.

- Dlatego że nawet ja nie wydałbym czterystu dolców na okulary przeciwsłoneczne.

Tom leżał na łóżku i studiował spód górnej koi nad swoją głową. Trochę pospał, lecz teraz był całkiem przytomny. Wstał i sięgnął po notatnik, nigdzie jednak nie mógł znaleźć długopisu. Przeszukał cały przedział, ale bez skutku. Ten długopis miał dla niego szczególne znaczenie, gdyż dostał go od Eleanor z okazji ich pierwszego wspólnego wyjazdu za granicę. W końcu zaprzestał poszukiwań i, usłyszawszy muzykę, wyszedł na korytarz. Dźwięk dobiegał z przedziału Agnes Joe. Drzwi były otwarte i paliło się światło. Podeszedł bliżej i ostrożnie zajrzał do środka. Agnes Joe, w pełni ubrana, siedziała przy składanym stoliku, na którym stał stary gramofon podłączony do kontaktu. Poznał melodię, to była „Cicha noc”. Kobieta podniosła wzrok, spostrzegła gościa i wydawała się nieco zaambarasowana, że ją tak zaskoczył.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam tą muzyką - powiedziała.

- Skądże, słuchanie kolęd przed gwiazdką to najlepsza rzecz pod słońcem.

- To te śpiewy z Tyrone'em wprawiły mnie w taki nastrój. Zawsze wożę ze sobą ten gramofonik. Należał do mojej matki. Możesz wejść i posłuchać, jeżeli masz ochotę.

Po krótkim wahaniu Tom wszedł i usiadł na kanapce. Wyglądało na to, że Agnes Joe łaknie towarzystwa. Spojrzała nań z sympatią.

- Regina mi opowiedziała, jak jej pomogłeś z tym wstrętnym prawnikiem. Spełniłeś dzisiaj dobry uczynek, Tom; jak prawdziwy anioł stróż.

- Podobno w okolicach Bożego Narodzenia liczba aniołów stróżów wzrasta - odparł.

- Pierwszy raz o czymś takim słyszę. Wymyśliłeś to przed chwilą, prawda?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Ale i tak jest miłe.

Wysłuchali jeszcze kilku podnoszących na duchu kolęd. W przedziale pachniało mydłem fiołkowym i było bardzo schludnie. Tom spostrzegł mocno wypchaną torbę podróżną, wciśniętą między krzesło i ścianę i częściowo zakrytą kocem. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał, że kobieta wpatruje się w niego ze smutnym wyrazem twarzy. Korytarzem przechodziła akurat czwórka pasażerów - tatuś, mamusia i dwoje dzieci. Byli roześmiani, a chłopiec wyciął małego hołubca i omal się nie przewrócił.

- Miło jest w pociągu w czasie świąt - stwierdziła Agnes Joe. - Ludzie są w takich dobrych humorach; dla rodzin to świetny czas na podróżowanie.

- A ty dlaczego nie spędzasz świąt z rodziną? - zapytał Tom.

- Dziewczyny same nie zapraszają do tańca, prawda?

- Czyli nie układa ci się za bardzo z córką?

- Mnie się świetnie układa. To ona najwyraźniej ma jakiś problem ze mną.

- Ojej, przepraszam, Agnes Joe. Naprawdę mi przykro.

- Mam za to mnóstwo przyjaciół w pociągu.

- No tak, ale przyjaciele to przyjaciele, a rodzina to rodzina, jak to powiedziała ta pani w wypoczynkowym.

Agnes Joe się uśmiechnęła.

- Pauline od robótek? A cóż ona wie o czymkolwiek? A ten jej sweter jest chyba najbrzydszy, jaki w życiu widziałam. - Zamilkła na chwilę. - Ja mówię, że rodzina jest tam, gdzie ją znajdziesz. Tylko trzeba się rozejrzeć. Ciebie to też dotyczy.

- Mnie? Co masz na myśli?

- Tę kobietę od filmów, Eleanor. Byłeś z nią kiedyś, prawda? To ta jedyna miłość twojego życia?

- Już nawet nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Ale moglibyście być. I nie tylko.

- Nie, nie. - Pokręcił głową. - Już jest za późno.

- I tu się mylisz. - Ignorując jego zdumienie, Agnes Joe ciągnęła: - Widziałam już niejedno na tym świecie i wiem, że ludzie, którzy potrafią się tak nawzajem udreczyć, muszą się bardzo kochać.

Tom podziękował jej za muzyczny przerywnik i wrócił do swego przedziału. Nie zamierzał jednak marnować czasu na coś, co nie miało najmniejszej szansy na to, by się wydarzyć. Stracił Ellie już raz i to go wystarczająco zdruzgotało, wtórne wstrząsy odczuwał po dziś dzień. Nie miał zamiaru ryzykować, że znów zostanie tak strasznie poraniony.

Przeszłość umarła i zmartwychwstanie nie wchodziło w grę. Uznał, że jest pogodzony ze swoim losem i w tym właśnie momencie w drzwiach pojawiła się głowa księdza Kelly'ego.

- Nie widziałeś gdzieś przypadkiem srebrnego krucyfiks, Tom? - zapytał.

- Zgubił ojciec krucyfiks?

- No, nie wiem; jakoś nie mogę go znaleźć.

- Dziwna sprawa, bo ja nie mogę znaleźć długopisu.

Ksiądz wycofał się, rozkładając bezradnie dłonie. Zadzwoiła komórka Toma. Spojrzał na zegarek; było po północy. Odebrał telefon.

- Halo?

Dzwoniła Lelia z Los Angeles.

- Sprawdziłam rozkład w Internecie - powiedziała. - Powinniście już być w Pittsburghu, zgadza się?

Wyjrzał za okno. Capitol Limited właśnie zwalniał i zaraz miała się pokazać tablica z nazwą stacji. Po chwili ją zobaczył: Connellsville, Pensylwania. Do Pittsburgha jeszcze kawał drogi. Pewnie pociąg znów stał, kiedy on się zdrzemnął.

- Jesteś w Pittsburghu, czy nie? - powtórzyła Lelia.

- Tak, tak, widać stąd nawet stadion. Pamiętasz Steelersów, taką drużynę z lat siedemdziesiątych?

- Nie interesuję się baseballlem. Według rozkładu powinniście być w Pittsburghu.

- Steelersi to futbol, a nie baseball. Czy zdajesz sobie sprawę, że u mnie jest już po północy?

- W pociągu i tak się pewnie nie da spać. Na pewno jest strasznie głośno i trzęsie, mam rację?

- Niekoniecznie. Jazda jest bardzo spokojna i właściwie już zasypiałem - skłamał.

- Możesz się tam rozłożyć, Eriku - powiedziała Lelia.

- Eriku? Kto tam jest?

- To mój TTMO.

- TTMO? To brzmi jak nazwa jakiejś choroby.

- Technik terapeuta masażu ogólnego. To tutaj teraz najnowszy szal.

- Aha, już czuję ten szal. I co ci będzie robił ten Erik w intymnej atmosferze twojego mieszkanka?

- Masaż pleców, lędźwi, ud. Zrobi mi też pedikiur.

- Tylko lędźwie i uda czy może coś jeszcze?

- O co ci chodzi?

- Czy podczas tej operacji jesteś ubrana?

- Nie bądź idiotą. Jestem przykryta ręcznikiem.

- A, skoro tak, to mi ulżyło. Tylko dlaczego ten facet musi to robić u ciebie w domu? Przecież chodziłaś do tego odjazdowego gabinetu odnowy.

- Plecy mi strasznie dokuczają i muszę coś zrobić z paznokciami u nóg. Jutro władam szpilki bez palców.

- No tak, to rzeczywiście podbramkowa sytuacja. A co byś powiedziała na gorący termofor i cążki do paznokci? Całej Ameryce to jakoś wystarcza.

- Ja nie jestem cała Ameryka.

- Skąd znasz tego Erika?

- To mój trener kick boxingu. TTMO tylko dodatkowo. Choć autentycznych entuzjastów kick boxingu nie brakowało, Tom, zajrzawszy kiedyś do Lelii na trening, odkrył, że uczęszczają tam sami prawnicy, finansisci, aktorzy i prezesi, którzy paradują w markowych strojach i od czasu do czasu walą pięściami albo stopami w gumowych opryszków. Dwóch czy trzech średnio groźnych młodocianych chuliganów załatwiłoby ich wszystkich bez problemu.

- Ten niebieskooki adonis ze Szwecji, blondyn, szerokie bary, metr dziewięćdziesiąt, to jest właśnie Erik? I właśnie teraz jest u ciebie w domu, a ty jesteś przykryta mikroskopijnym ręczniczkiem?

- O, zazdrość, to mi się podoba. To zdrowe dla związku. A Erik jest Norwegiem.

- Doskonale. Czy mógłbym zamienić z panem Norwegiem parę słów?

- Po co?

- Chciałbym się z nim umówić na zabiegi. Po tej podróży pociągiem mój kręgosłup na pewno będzie wymagał masażu. Czy mężczyźni też masuje?

- Tak, mężczyźni też. Ale musisz mi przyrzec, że nie będziesz wredny. Wiem, na co cię stać. Przyrzekasz?

- Oczywiście. Plecy mnie bolą jak diabli, naprawdę mi się przyda taki TTMO. - Usłyszał, jak Lelia mówi coś do Erika i podaje mu telefon.

- Ja, tutaj Erik, czym mogę służyć? - zabrzmiał w słuchawce głos norweskiego adonisa.

- Cześć, Erik, mówi Tom Langdon. Zanim się z tobą umówię, chciałbym zapytać, czy stosujesz jakąś procedurę ochrony przed chorobami zakaźnymi?

- Słucham? Ja nie wiem o takiej rzeczy.

- Procedura ochrony przed chorobami zakaźnymi. To teraz najnowszy szal, ale chyba nie w twojej okolicy. Wytlumaczę ci to w bardzo przystępny sposób. Ponieważ masujesz ludzkie ciała, na przykład Lelię, która tam czeka pod ręcznikiem, ponosisz ryzyko zarażenia się jakąś poważną chorobą zakaźną, którą mógłbyś później nieświadomie przenieść na następnych klientów, choćby na mnie. Dlatego zastanawiałem się, jakie podejmujesz środki ostrożności i jaką masz procedurę informowania klientów. Jestem pewien, że Lelia powiedziała ci, że miała zapalenie wątroby typu Z i uświadomiła ci grożące niebezpieczeństwo. Chciałbym wiedzieć, co mówisz na ten temat innym.

- Zapalenie wątroby?

- Ależ bez hysterii. Oczywiście nie ma na to skutecznego lekarstwa, ale nowa terapia działa cuda. Poza tym objawy uboczne nie są zbyt liczne: nudności, wypadanie włosów, odbijanie się, impotencja, chyba niewiele ponadto. Zgon następuje zaledwie w połowie przypadków, oczywiście pod warunkiem wczesnego wykrycia.

Tom usłyszał odgłos upadającego telefonu, a potem tupot stóp po lakierowanym dębowym parkiecie Lelii. Następnie rozległ się jej krzyk: „Erik! Dokąd ty uciekasz?! Wracaj natychmiast!”.

Trzasnęły drzwi i ktoś podniósł telefon. Tom niemal ujrzał oczyma duszy, jak kobiecie, która rozslawiła na cały świat Misia Kuleczkę, dymi się spod czaszki.

- Powtórz teraz, co mu powiedziałaś, Tom! Ale słowo w słowo!

- Chciałem się z nim umówić i zapytałem go o parę rzeczy, a on się nagle zmył.

- Wyraźnie słyszałam jak powiedział „zapalenie wątroby”!

- Wątroby? Lelia, ja powiedziałem „zapalenie dziąseł”. Moja poprzednia masażystka to miała. Bardzo nieprzyjemna sprawa. Wyobraź sobie, że ktoś na ciebie dmucha takim oddechem przez godzinę... Ten Erik chyba słabo zna angielski, co?

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, Tomie Langdonie. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Plecy mi pękają! I co teraz będzie z moimi paznokciami?

- A może by tak pabialgina i pilniczek?

- To wcale nie jest śmieszne! - wrzasnęła.

- Słuchaj, Lelio, jestem padnięty, a komórka ma tutaj kiepski zasięg. Zadzwoń, jak przyjedziemy do Pittsburgha.

- Co? Przecież powiedziałeś, że już tam jesteście! Tom aż się plasnął dłonią w czoło z powodu swojej głupoty. Pod presją sytuacji spała całą genialną rozgrywkę.

- Lelio? - zawołał i postukał palcem w mikrofon komórki. - Lelio, zasięg się kończy, nie słyszę cię!

- Nie waz się stosować wobec mnie tej prymitywnej... Powoli i bardzo głośno, jakby przemawiał do głuchawego idioty, Tom powiedział do telefonu:

- Jeżeli... mnie... słyszysz... zadzwonię... jak... dojedziemy... do... Chicago!

Przerwał połączenie i usiadł. Telefon zadzwonił ponownie, ale nie odebrał. Włączyła się poczta głosowa i znów dzwonienie. Potem po prostu wyłączył komórkę. Uznał, że w sumie końcówka poszła mu nie najgorzej.

Mark Twain był w swoim czasie najczęściej chyba cytowanym człowiekiem Ameryki. Jedno z jego słynnych powiedzonek wyniknęło z nieporozumienia, skutkiem którego świat uwierzył, że wielki pisarz zmarł. Poproszony o komentarz do swego rzekomego przeniesienia się na tamten świat, Twain krotchwilnie stwierdził, że wiadomości o jego śmierci są znacznie przesadzone. Tom natomiast czuł, że gdyby znalazł się teraz nagle w zasięgu rąk Lelii, opis jego gwałtownej śmierci nie wymagałby już żadnych upiększeń.

Capitol Limited ruszył ze stacji, on zaś usiadł wygodnie, zgasił światło i zajął stanowisko obserwacyjne przy oknie. Pociąg jednak toczył się bardzo powoli i Tom dojrzał w ciemności nagrobki małego cmentarza, który właśnie mijali.

Nieco zdeprimowany tak bliską obecnością tylu zagubionych duszyczek, zdecydował się wstać i ruszyć na kolejną przechadzkę. Już dawno tyle nie chodził piechotą.

## Rozdział 16

Tom nalał sobie kawy w bufecie przekąskowym u szczytu schodków i ruszył do wagonu wypoczynkowego. O tej późnej godzinie większość przedziałów była ciemna; na korytarzach także nikogo nie spotkał. Być może we wszystkich ośmiu wagonach sapiącego w noc Capa tylko on jeden jeszcze nie spał. W restauracyjnym też było pusto i ciemno, a załoga, jak sądził, udała się na spoczynek do wagonu służbowego. Światła w wypoczynkowym zostały przygaszone i wyglądało na to, że i tutaj nikogo nie ma. W tym momencie pociąg nagle szarpnął, Tom w celu utrzymania równowagi oparł się o tył najbliższego fotela i niemal krzyknął, bo jego dłoń dotknęła nagiej skóry.

Patrzyła na niego Eleanor, równie jak on przestraszona i także trzymająca w dłoniach kubek kawy.

- Boże, nawet nie słyszałam, jak wszedłeś.

- Też ciągle cierpisz na bezsenność? - zapytał, zerkając na jej kawę. Oboje nękała kiedyś ta przypadłość, efekt zbyt częstej zmiany stref czasowych, podróżowania i opisywania okropności, które wracały potem do nich jako senne koszmary.

Eleanor potarła skronie.

- Dziwne, myślałam, że już mi to przeszło. Ale wróciło, i to całkiem niedawno.

- W porządku, pojąłem aluzję. Poszukam sobie innego miejsca na wypicie kawy i rozmyślenia nad moją zaiste świetlaną przyszłością.

- Nie, nie, to raczej ja sobie pójdę.

- Słuchaj - rzekł Tom - przecież jesteśmy oboje dorośli i chyba możemy jakoś koegzystować w tak dużym pociągu, przynajmniej przez krótki czas.

- Nie posądziłabym cię o tak dojrzałe podejście do sprawy.

- Czasami coś mi jednak wychodzi.

Siedzieli przez pewien czas w milczeniu, a Cap przyspieszał, sunąc po torach z prędkością niemal stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jeszcze nigdy ciemność nie przepływała za oknem z taką nieuchronnością, pomyślał Tom.

- Zastanawiałam się, dlaczego ty tak naprawdę wybrałeś się w tę podróż pociągiem - powiedziała Eleanor. - Zawsze byłeś zwolennikiem jak najszybszego docierania do celu.

- Mówiłem już, chcę napisać reportaż z podróży koleją. Trudno by było to zrobić, gdybym sam się nie przejechał.

- I to wszystko?

- A czemu nie?

- Bo za dobrze cię znam, jak sądzę. Ale nie musisz mówić, nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

Dostrzegł w tych słowach podwójne znaczenie - ona również nie miała obowiązku niczego mu wyjaśniać - lecz nie zgłębiał tematu. Opowiedział jej za to o ostatnim życzeniu ojca i o tym, jak próbuje je spełnić.

- Może nawet twój tato jakoś się o tym dowie? - powiedziała cicho.

- No dobrze - zmienił temat - a teraz, jako rasowy reporter, podejrzliwy zwolennik spiskowej wersji historii, muszę ci wyznać, że twoją obecność w tym pociągu uznaję za czysty zbieg okoliczności.

- Właściwie mieliśmy jechać wczoraj - odparła, zerkając na zegarek. - No, już jest jutro, więc nawet przedwczoraj. Ale potem Max zmienił nagle plany, przyjechał dzień później i musieliśmy wsiąść do tego pociągu.

- Więc może to faktycznie zbieg okoliczności.

- Gdybym wiedziała, że ty też jedziesz, nie wsiadłabym, wierz mi.

- Aż tak źle nam było?

- Po prostu nam nie wyszło, to się zdarza milionom ludzi. Niektórzy zwyczajnie nie nadają się do małżeństwa.

- Ja byłem raz żonaty. Eleanor to zaszokowało.

- Co takiego?

- Słuchaj, to się skończyło tak szybko... znaczy to małżeństwo... że prawie w ogóle tego nie pamiętam.

Wstała, z trudnością powstrzymując wybuch furii.

- No cóż, bardzo się cieszę, że chociaż jedną kobietę kochałeś na tyle, żeby jej zaproponować małżeństwo, nieważne, jak długo ono trwało.

- Ellie, to nie tak. To była najgorsza decyzja mojego życia.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Patrzył za nią, a Cap tymczasem znowu zwolnił i w końcu się zatrzymał.

Tom wstał i przysunął twarz do okna. Właściwie to była druga z najgorszych decyzji mojego życia, pomyślał. A głośno powiedział do siebie:

- Co się, u diabła, dzieje z tym pociągiem? Szybciej bym doszedł do Chicago na piechotę.

- To się dzieje - usłyszał czyjś głos - że przed nami stoi towarowy. Blokuje Capa i tyle.

Tom spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos, i dostrzegł w najdalszym ciemnym kącie wagonu sylwetkę mężczyzny. Gdy tamten wstał i zaczął sunąć w jego stronę, pomyślał, że to na pewno Gwiazdkowy Upiór Przeszłości, który mu zaraz przepowie przyszłość, czyli zagładę.

Mężczyzna podszedł bliżej i stał się widoczny w nikłej poświacie z okna. Tom odetchnął z ulgą. Był wysoki i szczupły, o szpakowatych włosach, około sześćdziesiątki; miał przystojną twarz o rzeźbionych rysach i w młodości musiał nieźle zawrócić w głowie niejednej pannie. Ubrany był w białą koszulę z krawatem i garniturowe spodnie, a na głowie miał czapkę, chyba kolejarską.

- Czy pan pracuje w tym pociągu? - zapytał go Tom, spoglądając na czapkę.

- Kiedyś pracowałem. - Mężczyzna zdjął nakrycie głowy i podał mu dłoń. - Jestem już na emeryturze. Herrick Higgins.

Tom także się przedstawił i usiedli.



- Mówi pan, że przed nami jest pociąg towarowy? To dlaczego go nie usuną gdzieś na bok?

- Wyjaśnienie jest proste - odparł Higgins. - Tor jest własnością firmy spedycyjnej, dlatego ładunki mają pierwszeństwo przed ludźmi.

- Mówi pan poważnie?

- Poważnie. Kolej nie ma na własność żadnych torów poza korytarzem północno-wschodnim i jeszcze kilkoma odcinkami. Prywatne spółki pozbyły się przewozów pasażerskich, ale nie pozbyły się torów. Po prostu przewóz towarów jest bardzo opłacalny, a przewóz osób nie. Amtrak ma podpisane różne umowy z całym mnóstwem firm. Od strony logistycznej to czasem straszny galimatias.

- Nie chcę nikogo obrażać, ale trudno to nazwać dobrym zarządzaniem. To kompletny bezsens - skomentował Tom.

- Amtrak nigdy nie miał wystarczających funduszy na kupno torów albo zbudowanie nowych. Chcąc nie chcąc, musiał więc negocjować z ich właścicielami. No i teraz jak towarowy ma opóźnienie albo się wykołei, osobowe muszą czekać. To się dość często zdarza, ale nic nie możemy poradzić. Przepraszam, ciągle jeszcze mówię „my”, ze starego przyzwyczajenia.

- Długo pan pracował w Amtraku?

- Czasami mi się wydaje, że całe życie. Jak zaczynali, w siedemdziesiątym pierwszym, już byłem kolejarzem. Ja na kolei jestem od urodzenia, jak mój ojciec. Pracował w Union Pacific.

Higgins spojrział z uśmiechem na filizankę Toma.

- Pierwszej nocy w pociągu ciężko jest zasnąć albo wcale się nie da, ale drugą prześpi pan jak zabity. - Wyjrzał za okno. - To dawna linia B&O. Biegnie po starym trakcie rogatkowym. George Washington miał udziały w tej spółce, która pobierała opłaty. Zastanawiałem się często, co by powiedział ojciec narodu, gdyby zobaczył, jak Cap zasuwa w tę i z powrotem po tej samej trasie. Ale chyba już długo nie pojeździ. Przyszłość dalekobieżnych pociągów pasażerskich wygląda dość niewesoło. Słyszałem, że rząd chce ogłosić upadłość przedsiębiorstwa Amtrak, sprywatyzować kolej, wydzielić korytarz północno-wschodni jako osobną spółkę i takie tam sprawy.

- No cóż, Ameryka to wielki kraj i takie długie podróże koleją faktycznie nie mają wielkiego sensu.

Higgins spojrział na niego spod oka.

- Ma pan rację, przy dzisiejszych układach w tym kraju podróże koleją nie mają sensu. Oni mówią, że koleje pasażerskie wysysają pieniądze, że ten rodzaj komunikacji w sumie kosztuje nas więcej niż samochody i samoloty i tak dalej. Tylko dlaczego nikt nie policzy zysku, jaki by dało zdjęcie z szos dziesięciu milionów samochodów albo gdyby samoloty przestały hałasować ludziom nad domami. Czy pan wie, że Stany Zjednoczone wydają więcej na usuwanie z autostrad zabitych zwierząt niż na kolej pasażerską? Przecież to kpiny.

- To prawda, ale jednak przewozy pasażerskie są dotowane, a lotnictwo nie - zauważył Tom.

- A czy linie lotnicze zbudowały jakieś lotnisko? Czy płacą za kontrolę lotów? Prawda jest taka, że linie lotnicze dostały od Wujka Sama miliardy dolarów i wciąż prawie nie przynoszą zysków. Na autostrady przeznaczają się osiemdziesiąt centów z każdego dolara w branży transportowej i efekt jest taki, że ciągle budujemy drogi, ciągle kupujemy paliwożerne samochody, żeby po tych drogach jeździć, i ciągle stoimy w jednym wielkim korku i uzależniamy się od zagranicznej ropy. Gdyby Amtrak dostał tylko jednego centa od galona z podatku paliwowego, zbudowałby kolej pasażerską światowej klasy. Ale oni nie chcą nam tego dać. - Higgins nałożył z powrotem czapkę i wyćwiczonym ruchem dłoni poprawił daszek, żeby tkwił równo nad czołem.

- Słyszałem - ciągnął - że w Boeingu czy gdzieś tam pracują już nad takim samolotem, który ma lecieć z prędkością dwudziestu paru tysięcy kilometrów na godzinę. Można będzie latać codziennie do Europy do pracy.

- No, to jednak robi wrażenie, prawda?

- Pewnie, jeżeli komuś zależy tylko na dotarciu do celu, a nie na samej podróży. Rozumie pan, do tego pociągu na każdej stacji wsiada kawałek Ameryki, kawałek pańskiego kraju, i mówi dzień dobry. Wiem z doświadczenia, że większość osób jeżdżących pociągami najmniej się interesuje celem podróży. Liczy się sama jazda i ludzie, których można spotkać po drodze. Dlatego pociągi robią się takie popularne w okolicach Bożego Narodzenia. Ludzie jadą, bo chcą się spotkać podczas świąt ze swoim krajem. Chcą zawierać znajomości, pogadać z drugim człowiekiem. W pociągu nikomu się nie spieszy, bo tutaj nie o to chodzi. I jak by pan to wycenił w dolarach? Do jakiej rubryki by pan to zaksięgował? - Higgins zamilkł i wpatrywał się w podłogę, pocierając podbródek. W końcu podniósł głowę. - Nie mówię, że jazda pociągiem może odmienić czyjeś życie albo że koleje pasażerskie zaczną kiedyś przynosić wielkie zyski. Ale jeżeli nawet musimy się przemieszczać coraz szybciej, czy nie powinno być też trochę miejsca dla pociągów, gdzie człowiek może się wygodnie rozsiąść, złapać oddech i być przez chwilę ludzki? Chociaż przez małą chwilę. Czy to tak wiele?

## Rozdział 17

Kiedy Tom opuścił Herricka Higginsa, siedzącego samotnie w ciemnym wagonie, i powlókł się z powrotem do części sypialnej, Cap znowu ruszył. Prócz odgłosów jadącego pociągu usłyszał jednak coś jeszcze. Dźwięk, który kazał mu pobiec korytarzem i zejść schodkami na dół, do jego źródła.

Pod ścianą wagonu siedziała Julie, cała zapłakana, a obok niej Eleanor, tuląca młodą kobietę w ramionach.

- Co się stało? - zapytał Tom.

- Właściwie nie wiem - odparła Eleanor. - Tak ją znalazłam.

Julie wyjaśniła im w końcu łamiącym się głosem, że zadzwonili rodzice Steve'a. Dowiedzieli się, co planują młodzi, i zagrozili, że wydziedziczą syna, jeśli ją poślubi. Chłopak zaś najwyraźniej nie bardzo się potrafił zdobyć na stanowczą postawę wobec tego szantażu. Zaczął coś mówić bez ładu i składu i w końcu pokłócili się tak poważnie, że dziewczyna zostawiła go i poszła się wypłakać.

- A gdzie jest Steve? - zapytał Tom. Odparła, że siedzi sam w przedziale.

- Zajmij się nią - zwrócił się do Eleanor - a ja pójdę do niego.

- I co zrobisz?

- Powstrzymam go przed popełnieniem największego błędu w życiu.

Tom istotnie zastał Steve'a w przedziale. Chłopak wpatrywał się samotnie w okno. Przez następne dziesięć minut Tom odczytywał mu akt oskarżenia, przy czym obie strony podnosiły głos i dawały upust emocjom. W końcu starszy z mężczyzn zapytał:

- Czy ty kochasz ją, czy nie? Po prostu odpowiedz.

- Tak - odparł bez wahania Steve.

- Więc ją bierz. Bez żadnych zastrzeżeń, kombinacji i oglądania się na rodziców. Bierz ją ze wszystkimi jej wadami, słabościami, przewrażliwieniem i wymaganiami. Bierz ją bez oceniania i nie pozwól, żeby ktokolwiek inny pociągał za sznurki, bo to właśnie znaczy kochać. Jeśli pozwolisz jej zniknąć ze swojego życia, będziesz durniem. Julie poświęciła tyle samo co ty, a może i więcej. Możliwe, że to jest jedyna twoja szansa w życiu na prawdziwe szczęście. Możliwe, że Julie jest jedyną kobietą na świecie, którą naprawdę będziesz kochał i która może ci to szczęście dać. Jeśli to spieprzysz, Steve, już tego nie odkręcisz, wiem, co mówię.

- Ja naprawdę ją kocham, Tom. Całym sercem.

- I to ci powinno wystarczyć. W zupełności.

Steve spojrzął ponad jego ramieniem. Odwróciwszy się, Tom ujrzał Eleanor i zaczerwienioną od płaczu Julie. Najwyraźniej wszystko słyszały. Julie rzuciła się w objęcia Steve'a. Tom wycofał się z przedziału, zasłaniając za sobą kotarę.

- Zrobiłeś coś bardzo dobrego - powiedziała Eleanor, gdy odchodzili korytarzem. - Jestem pod wrażeniem.

- Jakoś nie mogłem stać spokojnie i patrzeć, jak ktoś marnuje sobie życie.

Kiedy szli przez ciemnawy wagon restauracyjny, Eleanor nagle krzyknęła i pokazała pod jeden ze stołów. Wyzierała stamtąd para jarzących się oczu.

- Co to jest?

W tym momencie wszedł do wagonu Kristobal. Wyglądał na przybitego.

- Boże, Eleanor! - zawołał. - Gdzie ty byłaś? Wszędzie cię szukam. Max chce mi obciąć pensję. Czy mogłabyś mu przemówić do rozsądku?

- A czemu chce to zrobić?

- Z powodu drobnego nieporozumienia na temat okularów przeciwsłonecznych, które zgubiłem.

- Jego?

- Nie, moich. Kosztowały...

Kristobal spojrzął tam, gdzie Tom, i wrzasnął głośniejsze od Eleanor.

- Co to? - krzyknął, wskakując na krzesło.

Tom podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. Po chwili na jego twarz wypłynął uśmiech. Pojawiła się Regina, ubrana w szlafrok.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

Tom przykucnął przed stolikiem, spod którego wciąż błyskała para oczu.

- Chyba mamy pasażera na gapę - odparł. Regina spostrzegła oczka i cofnęła się, zagarniając połę szlafroka.

- Co to jest? - zdumiała się.

- Gapowicz z gatunku gadów. Czy masz może latarkę, jakieś pudło i koc?

Dziewczyna pobiegła do siebie i za chwilę wróciła, niosąc styropianowe pudło, koc i latarkę. Tom wybił w pudle kilka dziur i poświecił latarką pod stół. Stworzenie cofnęło się przestraszone.

- No dobrze - rzucił z uśmiechem. - Kristobal, ustaw się tak, żebyś mógł mu zagrozić drogę, jakby próbował zwać.

- Chyba oszalałeś - odparł tamten, nie ruszając się ze stołu. - Ani myślę się zbliżyć do tego czegoś.

Tom spojrział pytająco na Eleanor.

- W porządku - powiedziała - ale niczego nie obiecuję.

Stała z drugiej strony wagonu i patrzyła wyczekująco.

- Zaczynamy - rzucił Tom. Kocem zagonił stworzenie do pudła, choć mało brakowało, żeby mu się wymknęło. Właściwie wyciągnęło nawet głowę w stronę Kristobala, którego wrzask obudził prawdopodobnie połowę Pensylwanii.

- Co to jest? - spytała Eleanor, która ze swego stanowiska niewiele zobaczyła.

- Boa dusiciel, bardzo młody - wyjaśnił. - Ma pewnie metr dwadzieścia długości. Pięknie ubarwiony.

- Kilku moich znajomych trzyma je jako zwierzątka domowe - powiedziała Eleanor. - Podobno są bardzo uczuciowe.

Kristobal wytrzeszczył na nią oczy.

- Uczuciowe? To jakiś koszmar! Szukałem tylko okularów, a omal nie zostałem zabity przez... tego tu!

- Przecież ty kochasz zwierzęta, Kristobalu - uśmiechnęła się Eleanor. - Sam masz pieska.

- To jest terier rasy Jack Russell, Eleanor. Jak możesz porównywać mojego Hemingwaya do tego gada z piekła rodem!

- Ten wąż musi być czyjś - stwierdziła Eleanor. - Przecież w Pensylwanii nie ma boa dusicieli.

- Pewnie uciekł komuś z klatki - zgodził się Tom - a teraz jest śmiertelnie przerażony.

- Ja się tym zajmę - oznajmiła Regina. - Spróbuję się dowiedzieć, do kogo on należy; w końcu mało kto wozi węże pociągiem. Mam nadzieję - dodała. Nie wyglądała na zbyt szczęśliwą z powodu konieczności zajęcia się gadem. Nagle Tomowi przyszedł do głowy pewien pomysł, który mógł śmiało konkurować z olśnieniami Maxa Powersa.

- Wiesz co, Regino - powiedział - ty idź poszukać właściciela, a wężem na razie ja się zajmę.

- Co chcesz z nim zrobić?

- Mam tu w pociągu pewnego nietypowego przyjaciela, któremu chciałbym go pokazać.

- No dobrze, tylko żeby ci nie uciekł. Tom spojrział na Kristobala.

- Możesz już zejść. - Młody człowiek zsunął się szybko ze stołu. - Mówiłeś, że szukasz swoich okularów, prawda? - Kristobal skinął głową. - Hm, mnie też zginęło pióro, a księdzu Kelly'emu srebrny krucyfiks.

- Moja srebrna szczotka też gdzieś wsiąkła - przypomniała sobie Eleanor.

- Pan Powers mówił, że nie może znaleźć połączanej zapalniczki - dorzucił Kristobal.

- Tej kreaturze Merryweatherowi również zginęły jakieś rzeczy - dodał Tom. - Wygląda na to, że mamy złodzieja na pokładzie.

- Panie Boże, dlaczego mi to robisz? - Regina potarła dłonią czoło. - No, dlaczego? - owinęła się ciasniej szlafrokiem. - Słuchajcie, państwo, będę musiała napisać raport dla policji kolejowej w Chicago. Na pewno będą chcieli z wami porozmawiać, zebrać oświadczenia i tak dalej. Tak mi przykro. To się naprawdę niemal nie zdarza, wiercie mi. Mnóstwo ludzi zostawia wartościowe rzeczy na wierzchu i nic się nie dzieje. Naprawdę bardzo mi przykro.

Kiedy odeszła zmęczonym krokiem, Eleanor zwróciła się do Toma.

- Co ty chcesz zrobić z tym wężem?

- Mówiłem już, chcę go pokazać pewnemu przyjacielowi.

- Kto to taki?

- Zobaczysz. Ty też chodź z nami, Kristobalu, przydasz mi się.

- Nie mam zamiaru pakować się w kłopoty z powodu głupiego węża. To nie ja wymyśliłem tę podróż pociągiem. Przecież pan Powers ma własny odrzutowiec, na Boga!

- Rób tylko to, co ci powiem, a nic złego się nie stanie - powiedział Tom.

Kilka minut później ktoś zajrzał ostrożnie do przedziału Gordona Merryweathera. Prawnik leżał w ciemności na łóżku, w samej bieliźnie w stylu „niebieskie body” i nawet nie zamknął drzwi na klucz.

Tom z Kristobalem podpełzli pod przedział na kolanach i położyli pudło na boku. Tom wcześniej opowiedział Kristobalowi o Merryweatherze i chłopak, choć z ociąganiem, zgodził się mu pomóc. Dziennikarz powoli odsunął drzwi i uniósł pokrywę pudła. Razem przechylili karton i boa wpełzł do przedziału. Tom wsunął do środka rękę i pstryknął wyłącznikiem przy urny walce. Rozbłysło jasne światło, a on szybko zasunął drzwi.

Kristobal zwał, zanim Merry weather zaczął wrzeszczeć. Tom i Eleanor pobiegli w drugą stronę i skryli się za rogiem korytarza. Coś grzmotnęło w drzwi, które się zaraz otworzyły, i prawnik wyskoczył na korytarz. Przewrócił się, wstał, upadł ponownie i na poły potoczył się, na poły odpełzł korytarzem. Gdy tylko zniknął im z oczu, Tom dość łatwo zapakował węża z powrotem do pudła. Biedny gad był najwyraźniej zszokowany widokiem grubasa w niebieskich gatkach i koszulce.

Następnie Tom z Eleanor popędzili za przerażonym prawnikiem i dogonili go. Kiedy się odwrócił, Eleanor wrzasnęła przeraźliwie, zakrywając oczy.

- To on! - zawołała.

- W moim przedziale jest wąż! Olbrzymi! - krzyknął Merryweather, chwytając Toma za rękaw. - Pokażę panu. Jest straszny! Mógł mnie zabić!

- Wąż? W pociągu? - zapytał sceptycznie dziennikarz.

Przybiegła Regina.

- Co się znów dzieje, na Boga?

- Ten pan twierdzi, że ma w przedziale węża - odparł Tom. - Podobno chciał go zaatakować. - Puścił do niej oko. Regina natychmiast pojęła, o co chodzi.

- Zobaczyłam, że ten gość biegnie półnagi po korytarzu - dołączyła się Eleanor. - Zajrzał do mojego przedziału, byłam przerażona!

- Zajrzał do pani przedziału? - zdziwiła się Regina. - To znaczy, podglądał panią?

- Chyba tak. Myślałam, że jest całkiem nagi! - Eleanor westchnęła jęklonie i chwyciła się za serce, niczym rasowa aktorka. - Potem ten pan mi pomógł - wskazała na Toma. - Poszedł ze mną, żeby go zatrzymać.

- Inni pasażerowie też już się skarżyli na coś takiego - powiedziała Regina i odwróciła się do zbaraniałego Merryweathera. - Co pan wyprawia, na Boga? Co pan sobie wyobraża? Że ma pan prawo biegać po pociągu półnagi i straszyć kobiety, tylko dlatego że jest pan jakimś znanym adwokatem? Tak? No to niech się pan dowie, że Amtrak na pewno nie puści panu tego płazem! Przekona się pan, jak tylko dojedziemy do Chicago!

- Ja... ja... - bełkotał Merryweather. Tom wyjął długopis i notes.

- Jak się pisze pańskie nazwisko? - zapytał. - Tak, jak się czyta? I proszę mi podać dokładną nazwę pańskiej kancelarii.

- W moim przedziale był wąż! - zaszlochał prawnik. - Nie jestem ekshibcjonistą ani żadnym zboczeńcem!

- O właśnie, ekshibcjonista, nie mogłem znaleźć słowa - mruknął Tom, notując pospiesznie.

- Chodźcie, to wam pokażę! - Merryweather poprowadził ich korytarzem do swego przedziału. Jak się okazało, zupełnie pustego. - Był tutaj, przysięgam! - zawołał, zupełnie zbaraniały. - Przecież widziałem!

- Czy pan spał? - zapytała Eleanor.

- Tak, spałem i nagle obudziło mnie światło.

- A może pan nie zgasił światła, zasnął i ten wąż się panu przyśnił? Nie przyszło to panu do głowy? - zapytała Eleanor.

Spojrzenie Merryweathera mówiło, że nie, nie przyszło mu to do głowy.

- Narobił pan zamieszania w całym pociągu - dorzuciła Regina. - Wezwę kierownika. Sądzę, że policja będzie mogła się panem zająć już w Pittsburghu.

- Nie! - krzyknął Merryweather. - Zrujnujcie mi reputację! Stracę klientów!

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim pan zaczął biegać po pociągu i straszyć ludzi tymi chudymi nóżkami - powiedział Tom.

- Błagam, nie róbcie mi tego! Zgodzę się na wszystko! Eleanor, Regina i Tom wymienili spojrzenia.

- No cóż, jest Boże Narodzenie... - zaczął Tom po dłuższej chwili ciszy, przerywanej jedynie łkaniem mistrza procesów o zniesławienie. Regina, tupiąc niecierpliwie stopą o podłogę, popatrzyła na prawnika z obrzydzeniem i wymierzyła palcem w jego twarz.

- Więc dobrze - powiedziała. - Jest noc, a ja jestem zmęczona. Powiem ci tylko jedno, panie mecenasie: jeżeli jeszcze kiedykolwiek będę miała przez pana jakieś problemy, koniec z panem. Zrozumiano? Wszyscy się dowiedzą. Czy to jasne?

- Oczywiście. Oczywiście. - Prawnik zerknął smętnie na notatnik Toma.

- No dobrze - rzekł Tom, bardzo powoli chowając notes do kieszeni. - Ale tylko dlatego, że jest Boże Narodzenie. I niech pan pamięta, że mogę o tym napisać nawet za rok. Mam dość świadków.

- Tak, tak, rozumiem.

- I proszę się przyodziać - rzuciła ostro Regina. Merryweather zniknął w swoim przedziale i zamknął drzwi.

- No to pięknie - rzekła konduktorka, klepiąc ceremonialnie Toma i Eleanor po ramionach. - Od tej chwili jesteście oficjalnie honorowymi członkami Klubu Capitol Limited. Nie mam pojęcia, jak właściwie załatwiliście tego faceta, ale czekałam na coś takiego od bardzo dawna.

- Przepis jest następujący - powiedział Tom. - Wziąć boa dusiciela, dwoje współników i sześć tysięcy ton nocnego pociągu. Podgrzać, stale mieszając, i podać.

Wkrótce potem Regina odnalazła właścicieli węża i oddała im gada, instruując, żeby trzymali go pod przykryciem do końca podróży i nikomu o nim nie wspominali.

W drodze powrotnej Tom się roześmiał.

- Całkiem jak w dawnych czasach - rzekł do Eleanor. - Pamiętasz, jakie robiliśmy dowcipy za granicą, kiedy nic się nie działo i było nudno?



- Pamiętam raczej dowcipy, które ty robiłeś - odparła. - I nie przypominam sobie, żebym się nudziła. Przeciwnie, wrażeń było aż za wiele.

Zatrzymał się i ona też stanęła.

- Hej, przecież nie zaprzeczysz, że było świetnie; może nie?

- Było inaczej. - Tylko na tyle zdołała się zdobyć.

- Chcę ci powiedzieć, że wybrałem się w tę podróż nie tylko ze względu na mojego tatę. Chciałbym też popatrzeć trochę wstecz na moje życie i zdecydować, co dalej.

- Niech zgadnę. Skłaniasz się raczej ku Bejrutowi niż ku zabytkowym meblom.

- No cóż, niektórzy mają po prostu włóczęgę we krwi. Nie potrafię być szczęśliwy, siedząc ciągle w tych samych czterech ścianach.

- I z tą samą osobą?

- Zaraz, zaraz, czyżbyś mi chciała powiedzieć, że nie bawiłaś się najlepiej w swoim życiu, kiedy pracowaliśmy razem?

- Bawiłam się przez pewien czas. Potem zabawa się skończyła.

- No pięknie! Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć ludzi, którzy przeżyli i widzieli tyle, co my. Wiesz, jakie historie będziesz mogła opowiadać swoim dzieciom i wnukom?

- Nie mam dzieci, wnuków tym bardziej.

- Skoro to było takie kiepskie, to po jaką cholerę tak długo w tym siedziałaś?

- Wiesz, jak to mówią: zakochani są zdolni do różnych głupstw.

- A ja wciąż nie wiem, co poszło nie tak. Nie wydaje mi się, żebym się nagle jakoś zmienił.

- Nie, Tom, ty się nigdy nie zmieniasz. To raczej ja. Dobranoc.

- Ellie... Odwróciła się.

- Teraz jestem dla ciebie Eleanor. To też się zmieniło. Tom wrócił do wagonu wypoczynkowego i siedział tam skapcianią, patrząc na umykający krajobraz. W Pittsburghu pociąg nabrał wody, a on nie zadzwonił do Lelii, bo choć radził sobie doskonale z węzami i nadętymi prawnikami, zabrakło mu odwagi, by znów usłyszeć głos wściekłego Misia Kuleczki. Usiłował nie myśleć o Eleanor i oczywiście myślał o niej przez cały czas. Pociąg nadrobił trochę stracony czas, lecz wciąż miał dwie godziny opóźnienia. Tom w końcu zasnął znużony.

O wpół do szóstej rano ożył głośnik i rozległ się głos Tyrone'a, który zanucił frazę z Presleya, powiedział jego głosem „Dziękuję państwu, dziękuję państwu bardzo”, a następnie

obwieścił, że pociąg ma opóźnienie, lecz śniadanie będzie podane o czasie, wraz z mieszanką świątecznych przebojów Elvisa, wliczoną oczywiście w cenę.

Tom wolał skorzystać z prysznic na dolnym poziomie i musiał poczekać, aż skończy kąpiel inny pasażer. Mężczyzna zostawił w przebieralni zegarek, ale Tom zauważył go i zdążył oddać właścicielowi. Potem zjadł śniadanie z księdzem Kellym, który mimo straty krucyfiks był w całkiem dobrym nastroju. Duchowny spytał go półgłosem, czy widział może mężczyznę, który biegał po pociągu prawie nagi. Tom wyparł się jakiegokolwiek wiedzy na temat dziwnego incydentu i delikatnie zasugerował księdzu, że chyba się jeszcze dobrze nie wyspał.

Wjeżdżali do Toledo, obserwując wspólnie świt. Toledo Rick wysiadł i na peronie powitała go żona z dwójką dzieci. Później, na rozległych polach północnej Indiany.

Tom zobaczył w chmurach śniegu rodzinę jadącą saniami zaprzężonymi w konia. Przypomniało mu to pewien szczególny dzień spędzony razem z Eleanor.

Zjeżdżali na nartach po najtrudniejszych trasach Europy, wtedy jednak, w Austrii, chcieli odpocząć od śmigania po stoku i wynajęli sanie z woźnicą, po czym udali się na całodniową wycieczkę po terenach pokrytych dziewiczym śniegiem. Zjedli lunch przy wesoło płonącym kominku w bardzo przyzwoitym zameczku, a w drodze powrotnej świecił im księżyc w pełni. Był to niezapomniany dzień, inny od wszystkich. I nie do powtórzenia. Tom wiedział, że raczej już nigdy nie pojedzie saniami z tą kobietą.

Capitol Limited dotarł wreszcie do Chicago o jedenastej trzydzieści czasu centralnego. Wcześniej, ze względu na opóźnienie, podano pasażerom dodatkowy posiłek. Odczepiono wagon pocztowy i pociąg wtoczył się na stację. Tom wysiadł z bagażami, podziękował Reginie i wręczył jej suty napiwek.

- To chyba ja powinnam zapłacić tobie - powiedziała i wzięli się w objęcia. - Przedstawię cię potem w poczekalni mojej mamie, przed odjazdem Chiefa.

- Jeśli choć trochę przypomina cię, bardzo chciałbym ją poznać.

Z pociągu wysiadł Heniek Higgins i Tom wskazał go Reginie.

- To bardzo ciekawy człowiek - oznajmił. - Szkoda, że przeszedł na emeryturę, bo naprawdę kocha kolej.

- Herrick nie przeszedł na emeryturę, lecz został zwolniony - odparła. - A razem z nim dwustu innych z dyrekcji. Cięcia budżetowe. To głupie; ten facet wie o pociągach prawie wszystko. Teraz jeździ na własny koszt. Jak jest miejsce, to dajemy mu łóżko w sypialnym dla personelu. Strasznie to wszystko smutne. Tom ujrzał Maxa z Kristobalem i podszedł do nich.

- Podobno miałeś bardzo ciekawy wieczór - rzekł Max.

- Nie nazwałbym go ciekawym - rzucił Kristobal.

- A gdzie Eleanor? - zapytał Tom.

- Już na dworcu. - Max był poirytowany. - Chyba chce kupić bilet na samolot. Bardzo mi się to nie podoba. Czy mógłbyś z nią porozmawiać?

Tom się roześmiał.

- Jeżeli chcesz, żeby naprawdę się przesiadła na samolot, to mogę porozmawiać. W przeciwnym razie lepiej, żebym się tym nie zajmował.

Śnieg sypał z nieba jeszcze mocniej. Ruszyli ku budynkowi Union Station w Chicago. Podróż legendarnym Capitol Limited dobiegła końca. Teraz czekała ich jazda pociągiem Southwest Chief, trasą liczącą trzy i pół tysiąca kilometrów, czyli trzykrotnie dłuższą niż ta, którą właśnie przebyli, z dwudziestoma sześcioma przystankami po drodze. O dziwo, Tom czuł, że jest gotów na wszystko. I jak się później okazało, bardzo słusznie.

## Rozdział 18

Dworzec Union Station w Chicago był odpowiednim symbolem ogromnego miasta, w którym go postawiono. Potężny kompleks miał wiele różnych poziomów, z licznymi biurami wynajmu samochodów, sklepikami z jedzeniem i innymi towarami, a po całym terenie śmigały długie wózki golfowe, wożące pasażerów. Skierowali się do poczekalni Metropolitan Lounge, znaleźli wolne miejsca i rozsiedli się. Tom zapadł w śpiączkę, Kristobal ciągle telefonował, a Max rozmawiał z Julie i Steve 'em oraz innymi osobami, ustalając ostatnie szczegóły ślubu. Eleanor się nie pokazała i w końcu Max kazał Kristobalowi ją znaleźć.

Regina przyprowadziła detektywów z policji pracującej dla centrali Amtrak. Zebrali oświadczenia wszystkich okradzionych i poinformowali, że cenne przedmioty zginęły bardzo wielu pasażerom i że poszukiwania złodzieja, czy złodziei, są w toku. Zdaniem policji przestępców mogło być kilku, z uwagi na liczbę poszkodowanych i rozmiary hipu. Najprawdopodobniej, stwierdzili detektywi, cały gang opuścił pociąg jeszcze przed Chicago. Tom miał więc niewielką nadzieję, że jeszcze kiedyś ujrzy swój długopis. Co istotniejsze, miał równie nikłą nadzieję, że jeszcze kiedyś ujrzy Eleanor.

Dlatego też zaskoczył go kompletnie jej widok, kiedy godzinę później wkroczyła do poczekalni z Kristobalem. Opadła na fotelik obok Maxa.

- O której masz samolot? - zapytał reżyser.

- O żadnej. Wszystko wykupione. W tej chwili najszybciej można się dostać do Los Angeles pociągiem. Cóż za ironia losu.

Max odchylił się na oparcie i przymknął oczy, lecz na jego ustach zaigrał uśmiezek zadowolenia.

- No to bardzo mi przykro - powiedział. - Chyba nie masz wyjścia i będziesz się nadal musiała zadawać z nami, kolejowymi włóczęgami. - Puścił oko do Toma.

- Na to wygląda - odparła skrzywiona.

- Może cię pocieszy to, co powiem - rzekł Tom. - Mam zakaz latania samolotami na liniach krajowych. - Kristobal spojrział na niego dziwnie i trochę się odsunął. Tom szybko wyjaśnił: - Chodziło o drobne nieporozumienie podczas kontroli bezpieczeństwa na La Gardii.

- Wcale mnie to nie pocieszyło - powiedziała Eleanor. Po kilku minutach wróciła Regina. W kobiecie, którą ze sobą przyprowadziła, Tom domyślił się jej matki, chociaż, z wyjątkiem oczu, nie było między nimi podobieństwa. Agnes Joe - o ile to w ogóle było możliwe - wyglądałaby przy niej jak mała dziewczynka. Tomowi skojarzyła się z Arethą Franklin, tylko dużo obszerniejszą. Jak się po chwili okazało, nieprzeciętna osobowość tej kobiety robiła większe wrażenie niż jej masywna figura.

- To moja matka Roxanne - zdążyła ją jeszcze przedstawić Regina, zanim zadudnił potężny głos przybyłej. Wszystkie głowy w przestronnej Metropolitan Lounge obróciły się w ich stronę.

- Na pewno, kochaniutcy, jesteście zmarznięci, wymęczeni i jeszcze do tego was okradli! Ojoj! Tak nie może być! Dobry Bóg z pewnością by sobie nie życzył takiego obrotu spraw - oznajmiła Roxanne.

Wkrótce zostali zaopatrzeni w górę koców, poduszek, przekąsek i rozmaitych niezbędnych drobiazgów, które przyjęli z wielką wdzięcznością. Nawet Eleanor poprawił się humor.

Roxanne zasiadła pośrodku całej grupy, niczym królowa wśród złaknionego jej łask dworu.

- Boże drogi, cóż to był za dzień! Czekam na ważnych pasażerów z Nowego Jorku. Trzeba się nimi zająć, bo sobie nie poradzą. - Wskazała palcem Maxa. - A tego tu człowieka znam, w tym ostatnim filmie to pan powinien być mnie zatrudnić, kochaniutki. W tym musicalu z chudziutką białą dziewczyną. Musi pan sobie znaleźć nowego spec'a od obsady. Trzeba się znać na towarze pierwszej klasy. Dobre płuca powinny mieć dobrego kopa. -

Roxanne nagle wydobyła z siebie dźwięk na nutę tak wysoką i głosem tak potężnym, że Tom aż ścisnął mocniej kubek z kawą, obawiając się, że wibracja go rozbije.

Maxowi szczęka opadła prawie na pierś.

- Na pewno będę o pani pamiętał, robiąc następny film - wykrztusił.

- I bardzo dobrze, kochaniutki. Moi ludzie omówią wszystko z pańskimi ludźmi. Chociaż ja nie mam właściwie żadnych ludzi, tylko dwóch wnuków, nastolatków, co noszą buty jak kajaki i jedzą za sześciu. Niech Bóg wszechmogący ma mnie w swojej opiece albo niech chociaż nakarmi tych chłopaków, jak odejdę. - Spojrzała na córkę - A ty, Regina, nie powinnaś się czasem zająć swoim pociągiem? Myślisz, że stary Cap sam sobie poradzi bez twojej czulej rączki? Amtrak ci chyba nie płaci za to, żebyś tu sobie siedziała i słuchała, jak mama miele jadaczką, córeczko?

- Idę już, idę - odparła z uśmiechem Regina. Spojrzenie, jakim Roxanne obrzuciła córkę, uświadomiło Tomowi, jak bardzo jest z niej dumna.

- Regina mi mówiła - ciągnęła Roxanne - że mamy w pociągu parę, która będzie się chajtać. Podobno stara dobra Misty, ta wróżka, też z nami jedzie. Słyszałam też o jakiejś historii z wężem i gołym prawnikiem. Jaka szkoda, że mnie przy tym nie było! Bez gołego prawnika mogę się obejść, ale ten boa dusiciel! W takiej długiej podróży pociągiem nic lepiej nie rozgrzeje człowiekowi stóp niż dobry boa, rozumiecie, nie? Mój drogi mąż nieboszczyk, Junior, kochał mnie, a jakże, ale mi nigdy nie rozgrzewał stóp, bo mężczyźnie coś takiego nie przyjdzie do głowy. Z punktu widzenia kobiety nie ma nic lepszego od kochającego faceta i zgrabnego wężyka, wtedy dopiero jest komplet. Dzięki ci Panie! A teraz niech ktoś mi wszystko opowie. Muszę to usłyszeć.

Tom opowiedział i wszyscy zdrowo się pośmiali na koszt Gordona Merryweathera.

- Niech to będzie przedgwiazdkowy prezent dla firmy Amtrak - zakończył Tom.

- A ja myślałam, że ty już siedzisz w pociągu do Nowego Orleanu i jedziesz do domu - powiedziała Roxanne.

Wszyscy się odwrócili i ujrzeni, że mówi to do Misty, która stała przed nimi w swym kostiumie do pracy, z kompletem insygniów. Wróżka wzniosła ręce do sufitu.

- Przeczucie mi powiedziało, że moim przeznaczeniem jest w te święta podróż na wschód, a nie na południe. Prawda, kochanie? - Zatrzepotała rękami, patrząc na Maxa.

- Jeszcze nikt nigdy nie przepowiedział mi przyszłości z taką precyzją i animuszem jak ostatniej nocy - odparł z uśmiechem reżyser.

- Jestem tylko pokorną służką tajemnych sił rządzących gwiazdami, Max.

Eleanor wytrzeszczyła ze zdumienia oczy na ewidentnie zadurzonego reżysera, a potem spojrzała na Kristobala, który zdołał tylko wzruszyć ramionami i szepnąć: „Czyż jestem stróżem szefa mego?”.

- Jak się masz, Misty - powiedziała Roxanne. - Pamiętasz ty, dziewczyno, co mi ostatnio przepowiedziałas?

- Wróżba specjalna numer sto pięćdziesiąt trzy, głosząca, że w twoim życiu pojawi się mnóstwo młodych facetów?

- Dokładnie. No i sprawdziło się, kochanie.

- Wątpiłaś w to?

- Jeżeli nawet, to już nie wątpię. Chociaż, szczerze powiedziawszy, złotko, miałam nadzieję na trochę mniejszą różnicę wieku między nami. - Roxanne wskazała drzwi do poczekalni, którymi wlewał się akurat tłumek czarnoskórych chłopców w mundurkach. - Oto Chór Ośrodka dla Chłopców w Los Angeles - oznajmiła, wstając. - Mieli występ w Carnegie Hall, a teraz wracają do domu na święta, a moja skromna osoba ma za zadanie dopilnować, żeby dotarli w jednym kawalku. Państwo wybaczą, że się oddalę.

Oddalając się, wpadła na Agnes Joe.

- Jak sprawy, Agnes Joe? - zawołała na jej widok. - Twój stały przedział w Chiefie już gotowy. Wiesz co, jak cię widzę, to aż mi głupio. Jeżeli jeszcze trochę stracisz na wadze, dziewczyno, to już w ogóle nie będzie cię widać.

Patrzyli, jak podchodzi do grupki rozbrykanych chłopców i ich opiekunów, którzy robili wrażenie nieco zrezygnowanych, a potem stara się przemówić do dzieciaków, jednakże bez większego efektu. Młodzi chórzyci wyglądali na znużonych, znudzonych i zdolnych do wszystkiego poza słuchaniem poleceń kolejnego dorosłego.

Zamieszanie ucichło jednak jak nożem uciął, kiedy Roxanne dobyła z siebie potężny ryk. Chłopcy natychmiast ustawili się w ciasnym dwuszeregu. Mieli tak wystraszone miny, że w przekonaniu Toma nie padli wszyscy na podłogę tylko dlatego, że się nawzajem podpierali. Roxanne poprowadziła ich w kąt poczekalni, gdzie wygłosiła półgłosem jakąś przemowę.

Po minucie odwróciła się i zapytała głośno:

- Kto ma ochotę posłuchać śpiewu? Na pewno państwo chętnie posłuchacie, zamiast się nudzić, prawda?

Tłum w poczekalni składał się głównie ze starszych osób i Tom pomyślał, że niektórzy może nawet nie dosłyszają, choć nie dosłyszeć Roxanne byłoby niezwykle trudno. Tak czy inaczej, wszyscy zgodnie potwierdzili, że z przyjemnością posłuchają śpiewu.

Roxanne stanęła przed swymi młodymi podopiecznymi, zrobiła im krótką wokalną rozgrzewkę, a potem poprowadziła chór w kilku klasycznych piosenkach bożonarodzeniowych, utrzymując swój głos na takim poziomie, że ani razu nie zdominował pięknych chłopięcych falsetów.

- Są niesamowici - powiedział Max. - Ona zresztą też.

Misty przysiadła obok niego na poręczu kanapki.

- Roxanne prowadzi chór w największym kościele baptystów w Chicago - powiedziała - i jest tam kimś w rodzaju świeckiego duszpasterza. Ja mieszkam w Nowym Orleanie, ale jeszcze nie słyszałam nikogo, kto by śpiewał bluesa i gospels lepiej od niej. Każdy pasażer z poczuciem rytmu, który z nią jechał Chiefem, wysiada z pociągu jako lepszy człowiek. Nawet nie trzeba być wróżką, żeby to zobaczyć.

Ostatnia piosenka dobiegła końca i Roxanne poprowadziła chór w „wężu” w rytmie conga, z jednoczesnym naśladowaniem odgłosów pociągu, przy głośnym aplauzie publiki. Urzędnicy kolejowi powychodzili ze swoich biur i z uśmiechami na twarzach klaskali do rytmu razem ze wszystkimi.

Tom zaciągnął Kristobala do barku kawowego.

- Chciałem ci podziękować za pomoc przy boa - powiedział.

- Ależ proszę bardzo, to nic takiego - odparł z sarkazmem młody człowiek, lecz jego ton nagle złagodniał. - Właściwie to było nawet fajnie. Ojciec mojej byłej dziewczyny jest takim samym wrednym dupkiem jak ten prawnik. Ona go nienawidzi.

- No widzisz? I pomyśleć, że mogła cię ominąć taka zabawa.

- Nie rozumiem.

- Słyszałem, że mieliście jechać wcześniejszym pociągiem. Ellie nie wiedziała, dlaczego to się zmieniło. Powiedziała mi tylko, że Max tak chciał.

- Nie, nie - Kristobal pokręcił głową. - To ja kupowałem bilety na ten wcześniejszy pociąg, tylko idiotka w kasie pomyliła daty. Chciałem to odkręcić, ale nie było już miejsc w slipingach, a pan Powers nie pojechałby na siedząco, mowy nie ma. Dlatego przylecieliśmy dzień później. Zawiadomiłem Eleanor, ale nie widziałem powodu, żeby jej wyjaśniać szczegóły. I tak musiała siedzieć przez cały tydzień w Waszyngtonie.

Tom miał rozczarowaną minę.

Szkoda - powiedział. - Miałem cichą nadzieję, że to specjalnie zostało tak załatwione, żebyśmy się spotkali w pociągu, ze względu na naszą przeszłość i w ogóle...

- Nawet nie wiedziałem, że wy się znacie - odparł Kristobal. - A to ja organizuję wyjazdy, a nie pan Powers.

- Jasne, rozumiem. Tak czy inaczej, dzięki za pomoc.

Wciąż nie do końca przekonany, jak na rasowego reportera przystało, Tom odszukał jednak Reginę i poprosił ją, żeby to sprawdziła. Zniknęła w czeluściach dworca i po niedługim czasie wróciła.

- Sprawdziłam w rezerwacji - powiedziała. - Mają zanotowane, że ekipa pana Powersa chciała jechać wcześniejszym pociągiem, ale kasjerka się pomyliła i już nie było miejsc w sypialnych, więc pojechali późniejszym. Czy coś się stało?

- Nie, nic takiego. - Tom starał się ukryć smutek. - Byłaś wspaniała, wiesz? Już nigdy nie pojedę Capem, jeżeli ty nie będziesz na służbie. A twoja mama... to jest dopiero numer! Naprawdę oryginalna osoba.

Wróciwszy do poczekalni, Tom zastał Steve'a i Julie ogarniętych paniką. Okazało się, że ksiądz już przybył, natomiast świadkowie, zaprzyjaźnione małżeństwo ze studiów, właśnie zadzwonili. Mieli wypadek samochodowy na zaśnieżonej szosie gdzieś w Michigan. Drużba wylądował w szpitalu ze złamaną nogą, a jego żona oczywiście nie chciała go zostawić samego.

- Nie mamy drużby i druhny! - jęknęła Julie. - Wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie. - Wtem jej spojrzenie padło na Eleanor. - Będiesz moją druhną? Proszę! Pochodzimy z tych samych stron, wiem, że mogę na ciebie liczyć. Zgadzasz się?

Eleanor się zawahała. Po chwili jednak skinęła głową, jakże bowiem mogłaby odmówić? Teraz z kolei Steve spojrzał na Toma.

- Gdyby nie to, co mi powiedziałaś w pociągu, może w ogóle nie doszłoby do ślubu - powiedział. - Zostaniesz moim drużbą?

Tom zerknął na Eleanor i w końcu też się zgodził, na co ona wstała i odeszła na bok.

- A ja mogę poprowadzić pannę młodą - włączył się Max Powers. - Mam samych chłopaków i żaden jeszcze nie znalazł sobie żony. Nie rozumiem tego.

- No cóż, szefie, może nauczyli się czegoś o życiu od swego ojca, trzykrotnego rozwodnika - stwierdził Kristobal, najpewniej jeszcze rozgoryczony obcięciem mu gaży.

- Trzy rozwody! - wykrzyknęła Misty. - To tak jak ja! Wiedziałam, że łączy nas coś szczególnego, Max. Numerologia jednak nie kłamie!

Tom uznał całą tę sytuację za idiotyczny wybryk losu. Oto po latach miał się jednak znaleźć na ślubie wraz z Eleanor. Tylko że to był cudzy ślub. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać, czy wskoczyć do jeziora Michigan. W końcu po prostu usiadł wygodnie w oczekiwaniu na odjazd pociągu Southwest Chief.



## Rozdział 19

### *Southwest Chief*

#### *(Z Chicago do Los Angeles)*

Southwest Chief był bardzo długim pociągiem z wieloma piętrowymi wagonami typu superliner i ze lśniąącym pługiem śnieżnym na przodzie lokomotywy. Tom jednakże odkrył ku swemu zdumieniu, że jego luksusowy przedział zmniejszył się do slipingu drugiej klasy w efekcie jakiejś pomyłki, której nie dało się już naprawić z powodu braku wolnych miejsc. Grantowi i Evie Marie Saint coś takiego nigdy by się nie przytrafiło. Wcisnął się do przydzielonego mu pomieszczenia ze świadomością, że przez trzy i pół tysiąca kilometrów będzie musiał korzystać ze wspólnej toalety i wspólnego prysznica. Perspektywa kłótni z obcymi osobami na temat czasu korzystania z łazienki była zaiste pokrzepiająca. Zaczynał powoli zazdrościć Markowi Twainowi, który mógł sobie po prostu zeskoczyć z wozu i załatwić co trzeba za jakimś kaktusem. Dwoje drzwi dalej po drugiej stronie korytarza był przedział Misty. Wisiała już tam zasłona z koralików, a zapach kadzidła rozchodził się po całym wagonie, drażniąc nozdrza.

Zjawił się mężczyzna imieniem Barry, konduktor opiekujący się tym wagonem. Był po trzydziestce, a jego potężna postura świadczyła o godzinach spędzanych w siłowni. Bardzo uprzejmy i profesjonalny, w porównaniu z Reginą, a szczególnie z Roxanne, stanowił jednak pewne rozczarowanie.

Tom postanowił zadzwonić w końcu do Lelii. Nie odebrała, za co był bardzo wdzięczny losowi. Spojrzał na zegarek. W Los Angeles było wczesne popołudnie. Zostawił wiadomość, że przeprasza za nieporozumienie z Erikiem w kwestii zapalenia dziąseł oraz że żał mu jej biednych paluszków u nóg, i rozłączył się.

Żeby odpocząć od własnych problemów, zaczął rozmyślać o kradzieżach w Capitol Limited. Ograbione zostały niemal wszystkie przedziały pierwszej klasy, co miało sens. Był jednak pewien wyjątek: Agnes Joe. Nie podeszła do policjantów, gdy spisywali oświadczenia, a więc widocznie złodziej ją pomiął. Ale dlaczego? Może dlatego, że to ona kradła? Nie, to by było głupie, pomyślał, okradać wszystkich, z wyjątkiem siebie.

Zaraz jednak spojrzał na to inaczej. A może właśnie była to genialna zagrywka? Przecież większość pasażerów, i policja również, pomyśli właśnie tak jak on przed chwilą. A w przedziale tej pani widział mocno wypchaną torbę, w dodatku przykrytą kocem. Agnes Joe w ogóle się nie rozpakowała.

Gdy tak rozmyślał, Chief ruszył ze stacji w Chicago. Spojrzał na zegarek: trzecia piętnaście, dokładnie o czasie. No, ale Cap też wystartował punktualnie.

Przyszedł Kristobal z kamerą wideo w ręce.

- Pan Powers prosił, żebym nakręcił trochę scenek z pociągu, ludzi i tak dalej. Powiedział, że może wyjdą z tego później jakieś ciekawe wątki - oznajmił.

- No i można by sfilmować wesele - rzekł Tom.

- To też mi kazał zrobić - westchnął Kristobal. - Czyja po to studiowałem w szkole filmowej, żeby skończyć na filmowaniu wesel? Gdybym był wielką gwiazdą, z osobną przyczepą na planie, to już w tym momencie poszedłbym do siebie, zadzwonił do mojego agenta i więcej się nie pokazał. Aha - dodał - Eleanor prosiła, żebym zapytał, w co pan się ubierze na ten ślub.

- Prosiła, żebyś zapytał? Świetnie, przekaz jej, że będę w garniturze od Armaniego. Zawsze wkładam ubranie od Armaniego na śluby w pociągach, przecież powinna o tym wiedzieć.

Kristobal się rozpromienił.

- Super. Ja też wystąpię w garniturze od Armaniego. - Powiódł kamerą po otoczeniu i oddalił się.

Chief mknął po torach w kierunku mniej więcej południowo-wschodnim i zatrzymawszy się krótko na czterech stacjach w Illinois, przejechał ponad potężną Missisipi długim, dwupoziomowym mostem obrotowym z 1927 roku. Znaleźli się w stanie Iowa. Pociąg stawał tu tylko w Fort Madison, o godzinie siódmej trzydzieści. Pojechali dalej w kierunku Missouri, a Tom udał się do wagonu restauracyjnego, gdzie zjadł posiłek w towarzystwie księdza Kelly'ego i Misty. Przy następnym stoliku siedzieli Steve i Julie, rozprawiający w kółko o zbliżającym się ślubie.

Eleanor, Max i Kristobal gdzieś zaginęli w akcji, a Agnes Joe w ogóle jeszcze się nie pojawiła.

- Ty z Maxem chyba się macie ku sobie, prawda? - zwrócił się do Misty. - A wydawałoby się, że taki facet musi mieć mnóstwo przyjaciółek.

- Ależ, mój drogi, to tylko tymczasowe. Pociąg zbliża ludzi, często bardzo różnych, lecz gdy podróż się kończy, zauroczenie mija. A ja bynajmniej nie zamierzam łamać sobie serca z powodu mężczyzny, jeśli o to ci chodzi.

- Właśnie o to chodzi i cieszę się, że tak mówisz.

- Mogłabym godzinami opowiadać historie o męskiej niewierności. - Misty zerknęła na ojca Kelly'ego. - I opowiedziałabym, gdyby księdza tu nie było. - Uszczypnęła go w policzek, on zaś wydawał się zachwycony jej zainteresowaniem.

- Muszę wam powiedzieć - zwrócił się do Steve'a i Julie - że jeszcze nigdy nie widziałem ślubu w pociągu. Wasz chyba będzie pierwszy w historii, co?

- Nie będzie pierwszy.

Spojrzeni wszyscy ku stolikowi, przy którym jadł samotnie kolację Herrick Higgins.

- Był już taki ślub - powiedział. - W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, w pociągu Texas Eagle. Też jeździ z Chicago do Los Angeles, ale przez Teksas, czyli jeszcze dłuższą trasą niż Chief. Ludzie nazywali go „Love Train”, pociąg miłości.

- Pociąg miłości? Dlaczego? - chciała wiedzieć Julie. Higgins rozprostował nogi w poprzek przejścia i zaczął opowiadać, popijając kawę.

- W Eagle pracował legendarny konduktor nazwiskiem Zeb Love. To był gość z klasą. Miał szczerozłote serce i potrafił zabawić ludzi jak najlepszy estradowiec. Przebierał się za Mikołaja i rozdawał dzieciom prezenty kupione za własne pieniądze. Wygłaszał prelekcje w szkołach, propagując podróże koleją, i był jednym z najlepszych niemianowanych rzeczników firmy Amtrak... w całej jej historii. Szczególną jego specjalnością było jednak sprawianie radości pasażerom Texas Eagle. Zachęcał ich, żeby się poznawali, rozmawiali ze sobą, odkrywali, co porusza innych. Charles Kuralt nawet zrobił o nim program. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, czwartego lipca, pewna para wzięła w Texas Eagle ślub i Zeb Love oczywiście w tym uczestniczył. Zaprosili go nawet na przyjęcie weselne, kiedy dojechali do Fort Worth. To był naprawdę wyjątkowy gość.

- Chciałabym, żeby nasz ślub też był taki fajny - powiedziała Julie.

- Oczywiście, że będzie - odparł Higgins. - Podobno Roxanne Jordan ma się zająć oprawą muzyczną, a przy tej kobiecie zdarzają się same dobre rzeczy. Możecie mi wierzyć.

Tymczasem na północnym zachodzie, nad Pacyfikiem, zachodziło zjawisko meteorologiczne wielkiej wagi. Konkurowały ze sobą obszary wysokiego i niskiego ciśnienia, zderzały się ciepłe i chłodne fronty, podnosiło się wilgotne powietrze znad morza, a w górnych warstwach atmosfery wiatry nabierały niesamowitej prędkości. Wszystko to razem mieszało się, wirowało i zaczynało przesuwac w kierunku wschodnim. Podobna konfiguracja czynników pogodowych uformowała się niemal w tym samym regionie przed stu czterdziestu laty, podczas jednej z podróży Marka Twaina przez Nevade. Jej efektem była gwałtowna lodowata powódź, a następnie zamieć śnieżna, jakiej nie widzieli jeszcze nigdy mieszkańcy

tej niepewnej klimatycznie krainy. Jeżeli wierzyć relacji szacownego autora - co w wypadku Marka Twaina niesie zawsze ze sobą pewne niebezpieczeństwo - zdarzenia tego omal nie przyplącił życiem.

Obecna śnieżycą, chociaż właściwie niewykryta jeszcze przez krajowych synoptyków, skierowała się tymczasem ku południowi, gdzie zderzyła się z twardą ścianą północnej partii Gór Skalistych, po czym spłynęła wzdłuż kręgosłupa gór niczym woda ściekająca po kablu elektrycznym w budynku. I chociaż nikt nie potrafiłby jeszcze przewidzieć, gdzie ostatecznie sztorm skieruje całą swą dziką zimową moc, wyglądało na to, że stanie się to dokładnie na drodze pociągu Southwest Chief, w dodatku w bardzo interesującym miejscu. Był to odludny, złowieszczy wręcz zakątek na południowym wschodzie stanu Kolorado, o nazwie Raton Pass. Przełęcz ta stanowi najwyższy punkt na całym dystansie z Chicago do Kalifornii i jest najtrudniejszym ze wzniesień na trasach pasażerskich w kraju. Nawet przy dobrej pogodzie Southwest Chief pokonywał ją ze sporym wysiłkiem, a teraz, w tak kiepskich warunkach, obciążenie mogło nawet przekroczyć jego możliwości.

Tej samej nocy odziana na czarno postać znów myszkowała po wagonach sypialnych. Złodziej był jeszcze ostrożniejszy, ze względu na podwyższoną czujność obsługi i pasażerów, i wciąż się upewniał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Jego wysiłkom sprzyjał jednakże fakt, że wiele osób jadło kolację w wagonie restauracyjnym bądź też uczestniczyło w szczególnym wydarzeniu w wagonie wypoczynkowym. Złoczyńca słyszał dochodzące stamtąd odgłosy, które niosły się przez kilka wagonów. Pasażerowie ekspresu Southwest Chief zabawiali się na całego, a w takich chwilach ludzie nie mają głowy do pilnowania swoich rzeczy. Złodziej wypowiedział bezgłośnie „dziękuję” i dalej bez przeszkód uprawiał swój nieczyny proceder, rabując kolejnych towarzyszy podróży.

## Rozdział 20

Wagon wypoczynkowy istotnie aż się kołysał, a przyczyną tych wibracji nie były bynajmniej nierówności torów, z którymi Chief miał do czynienia na co dzień. Na środku pomieszczenia stała Roxanne z mikrofonem w dłoni, chociaż jej głos z pewnością nie potrzebował wzmocnienia. Intonowała jedną piosenkę za drugą, a każda kolejna płynęła z większym animuszem i ładunkiem emocji, wprost z trzewi. Ciasno stłoczona publiczność wlepiła w śpiewaczkę oczy, chłonąc każdą nutę. Nawet chłopcy z chóru, którym pozwolono

zostać trochę dłużej, słuchali jak urzeczeni prawdziwej artystki, śpiewającej z samej tylko miłości do śpiewu. Obserwowanie i słuchanie Roxanne Jordan w jadącym pociągu stanowiło dla tych młodych ludzi wielką życiową lekcję.

Tom siedział w odległym kącie wagonu, nucąc do wtóru melodii wykonywanych przez Roxanne. Po skończonym występie zgotowano jej wielką owację, a potem wszyscy jeszcze długo i głośno dzielili się wrażeniami z tego, co właśnie usłyszeli i zobaczyli.

Na dolnym poziomie, w palarni, Max i Misty oddawali się przyjemności palenia cygar zakupionych w Chicago, a wróżka czytała z dłoni wszystkim, którzy chcieli poznać swą przyszłość. Z uwagi na świąteczny czas, utrzymywała swoje przepowiednie w optymistycznym tonie, w liniach na wyciągniętych dłoniach odnajdując widoki na gwiazdkowy cud.

Eleanor siedziała sama w przedziale, usiłując robić notatki do przyszłego scenariusza. Nie potrafiła się jednak skupić. Poza tym to zadanie różniło się od poprzednich. Do tej pory otrzymywała gotowy materiał od innych i majstrowała przy nim, nie musząc tworzyć niczego od zera. Rysowała więc machinalnie w notatniku, aż nagle zdała sobie sprawę, że wykonała napis „Tom Langdon”, grubymi, trójwymiarowymi literami. Podarła kartkę i wyrzuciła ją, po czym położyła się na łóżku, z dłonią na oczach.

- Problemy?

Spojrzała ku drzwiom. Stała tam Roxanne, ocierając wilgotnym ręcznikiem pot z twarzy po wysiłkach wspaniałego występu.

- Nie, nie. Ale jestem trochę skołowana - odparła Eleanor, siadając.

- Przegapiłaś piękny występ w wagonie wypoczynkowym, że tak nieskromnie powiem.

- Nie całkiem. Puścili to przez głośniki do przedziałów. Byłaś niesamowita. Najlepsza na świecie.

Roxanne spojrzała na podłogę usłaną zgniecionymi kartkami z notatnika.

- Jak tam scenariusz? - zapytała. - Może ten przebój Maxa Powersa o gwiazdkowym pociągu pomoże też i nam, kolejarzom. Może społeczeństwo i rząd zwrócą wreszcie uwagę na nasze problemy?

Eleanor uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Muszę przyznać, że sama niewiele wiem na ten temat. Ostatnio jechałam pociągiem jeszcze na studiach, w każdym razie w Ameryce. Nie wiem, czy taka jedna podróż da mi dość wiedzy, żebym potrafiła oddać kolejom sprawiedliwość.

Roxanne przysiadła na skraju rozkładanego łóżka.

- Wiesz co, ja pracuję na kolei dłużej niż inni i też wszystkiego nie wiem. Pewnie dlatego tak lubię tę pracę, bo codziennie jest coś nowego. Czasem dobrego, czasem złego, ale przynajmniej jest ruch, trzeba pracować głową i, jakby na to patrzeć, to są plusy tej pracy.

- Jak długo już pracujesz w tym pociągu, Roxanne?

- Och, ja i Chief mamy się ku sobie już od dwudziestu trzech lat. W tę i nazad, w tę i nazad. Znam każdy krzak w Nowym Meksyku, każde pole pszenicy w Kansas; nawet niektórych rolników znam z imienia. Macham do nich z okna po drodze. Mogłabym poprowadzić pociąg z zamkniętymi oczami, choć oczywiście Amtrak nie pozwala na takie rzeczy.

Eleanor wzięła nową kartkę i zaczęła notować.

- A oni też do ciebie machają? - zapytała.

- Dziewczyno, przez ostatnie dwa lata dostałam trzy propozycje małżeństwa! Jeden z panów przywiązał do traktora transparent z napisem „Wyjdiesz za mnie, Roxanne?” i jechał za pociągiem.

- Bardzo pomysłowe. To chyba miłe, taka popularność?

- A pewnie. Farmerzy lubią, jak kobieta ma trochę ciała na sobie, dlatego na mnie lecą. - Roxanne wstała. - Jeżeli nie przychodzą ci fajne pomysły do głowy, może byś chciała pójść ze mną na obchód po wagonach? Gwarantuję, że zaraz ci przybędzie weny.

Po występie Roxanne, kiedy chłopcy z chóru wrócili już do swojej kwatery, w wagonie wypoczynkowym zjawił się ksiądz Kelly i wdał się w pogawędkę z Tomem. Przyłączył się do nich Max. Okazało się, że duchowny i reżyser mają wiele ze sobą wspólnego.

- Ja też chciałem być księdzem - powiedział Max. - Dokładniej mówiąc, to moja matka tego chciała. Nawet poszedłem do seminarium. Ale nie wytrzymałem; to jednak nie moja bajka. No i za bardzo lubiłem kobiety. Niech mi ksiądz wybaczy, lecz taka jest prawda. Tak więc decyzja nie była trudna. Chociaż, gdybym jednak przyjął święcenia, oszczędziłbym miliony na alimentach. Zamiast tego wstąpiłem do marynarki i zacząłem boksować, nawet zdobyłem Złote Rękawice. Po wojsku wsiadłem do pociągu do Kalifornii, coś tam próbowałem kręcić na własną rękę, potem zacząłem w jednym studiu na samym dole i nagle, proszę bardzo, jestem reżyserem.

- Ja też się krótko zastanawiałem nad stanem duchownym - rzekł Tom. - A ty nie chciałeś nigdy być księdzem? - Spojrzył na Kristobala.

- Jasne, że tak. Jak każdy Żyd.

Tom bąknął „przepraszam” i zajął się swoim drinkiem.

- Ja z kolei jestem zaprzysiężonym kinomanem - powiedział ksiądz Kelly. - I autentycznie cenię twój talent, Max. Znam całą klasykę i zawsze uważałem, że kręcenie filmów to bardzo zajmujący sposób spędzania czasu, ale pewnego dnia poczułem powołanie, bardzo mocno, no i to mi związało ręce, że się tak wyrażę. Lecz nigdy nie wierzcie, panowie, że ksiądz nie lubi popatrzeć na ładną dziewczynę. Lubi, daje jednak pierwszeństwo względem wyższej natury.

Weszła Agnes Joe i dołączyła do nich. Miała ubranie w świątecznych kolorach, które dość dobrze pasowały do jej okazałej sylwetki. Kiedy opróżnili szklaneczki, zaoferowała się, że przyniesie im następną kolejkę. Po kilku minutach wróciła z nowymi drinkami.

Mężczyźni sięgnęli do kieszeni, żeby jej zwrócić pieniądze, lecz pokręciła głową.

- Ja stawiam. W ramach prezentu pod choinkę.

- Nie cię Bóg błogosławi, Agnes Joe - rzekł ksiądz Kelly - za to, że się tak nami opiekujesz.

Tom zerknął na Higginsa, który siedział kilka foteli dalej, wpatrując się w noc. Wyglądał na bardzo zajętego.

- Herrick - zaczęł go - trzymam cię za słowo, że dzisiaj łatwiej mi będzie zasnąć.

- Na pewno. - Kolejarz uśmiechnął się i wskazał za okno. - Chief to najszybszy pociąg na Zachodnim Wybrzeżu - powiedział. - Tylko on dorównuje prędkości jazdy tym ze wschodu. W niecałe czterdzieści godzin dociera do Los Angeles, o dziesięć krócej od pozostałych.

- Czterdzieści godzin! - Kristobal aż podskoczył. - Istna błyskawica! W tym czasie doleciałbym do Australii i z powrotem, i to dwa razy. - Zakończył swoją wypowiedź dziarskim: „Czufe, czufe!”.

Higgins uśmiechnął się dobronnie.

- No cóż, przydałby się na tej trasie superszybki pociąg. Niestety na płaskim terenie pojedzie bez problemu, ale po drodze jest kilka trudnych wzniesień, a rząd nigdy nie da na to pieniędzy. Inne duże kraje już dawno zrozumiały korzyści z poprowadzenia kolejowych korytarzy szybkiego ruchu. Ale do tego trzeba mieć wizję, trzeba zobaczyć, jakie to opłacalne przedsięwzięcie, a w „wizji” naszych przywódców kolejnictwo się raczej nie mieści. - Wskazał za okno. - Chief teraz jedzie przez większość drogi starą trasą Santa Fe. Częściowo przez dość dzikie tereny. I przez Dodge City... pamiętacie ten serial „Gunsmoke”? To właśnie tam się działo.

- Gunsmoke? - zdziwił się Kristobal.

- No, ty chyba jesteś za młody, żeby to pamiętać.

- Chyba tak.

- Potem wjedziemy bardzo wysoko - wyjaśniał dalej Higgins. - Przełęcz Raton, dwa i pół tysiąca metrów, potem trochę niżej przełęcz Glorieta, a później zjedziemy do kanionu Apache, ale to dopiero za Las Vegas.

- Las Vegas? - wykrzyknął ksiądz Kelly. - Nie wiedziałem, że jedziemy przez Las Vegas. Czy postoiimy tam dość długo, żeby można było wysiąść? - Spojrzał po ich twarzach. - Nie to, żebym się pasjonował hazardem, o nie, ale czasami lubię pograć na automatach.

- To nie jest to słynne Las Vegas, proszę księdza - wyjaśnił Higgins. - To stacja zaraz za Raton, Las Vegas w stanie Nowy Meksyk. Nie ma tam ani jednego neonu, nie mówiąc już o kasynie.

Duchowny wyglądał na bardzo rozczarowanego.

- No cóż, widocznie pewne rzeczy nie są mi pisane - westchnął.

- Proszę posłuchać, *padre* - powiedział Max Powers. - Mamy tu coś lepszego. Nie tylko jutrzejsze wesele w pociągu, ale i pana młodego, któremu trzeba przecież urządzić wieczór kawalerski. I ja go urządzę, a wy wszyscy jesteście zaproszeni. Właściwie to obecność obowiązkowa.

- To brzmi dość obiecująco - przyznał ksiądz. - Jak rozumiem, będą serwowane trunki?

Max puścił do niego oko.

- *Padre*, mój przedział to istny bar na kółkach! A więc za dwie godziny u mnie, panowie.

- Ja przyjdę - powiedział Tom, wstając.

- Jeżeli chcesz już zacząć, idź i się częstuj - zaproponował mu Max. - My jeszcze tutaj posiedzimy i pogadamy.

- Nie, nie, idę się trochę przejść.

- Po pociągu? - zdziwił się Kristobal. - A co tu może być ciekawego?

- Zdziwiłbyś się - odparł Tom i opuścił wagon.

Szedł korytarzem. Wagon wypoczynkowy był pełny, w restauracyjnym podawano ostatni posiłek tego dnia, pasażerowie byli w biesiadnych, przyjaznych nastrojach i większość przedziałów sypialnych była pusta. Wymarzony czas do działania dla złodzieja. Tom chciał się zorientować, czy rabusiowi z Capitol Limited udało się też dostać do pociągu Southwest Chief. A pewne konkretne miejsce zamierzał przeszukać dokładniej.



Zapukał i, nie usłyszawszy odpowiedzi, wsunął głowę do przedziału Agnes Joe. Na szczęście drzwi nie dawało się zamknąć od zewnątrz. Przedział był pusty. Na składanym stoliku, tak jak poprzednio w Capie, stał stary gramofon. Panował tu porządek, a łóżko, też tak jak w Capie, było nierozścielone. U wezłowania leżały dwie wypchane poduszki, a obok starannie złożony koc. Pod ścianą stały dwie walizki, lecz one Toma nie interesowały. Chodziło mu o torbę wciśniętą między krzesło i ścianę, tak samo jak w Capie. I tak samo częściowo zakrytą kocem. Wyrzwał na korytarz, zaciągnął kotarę i otworzył torbę zamykaną na zamek błyskawiczny. Lecz zamiast złodziejskiego łupu znalazł w niej coś dziwnego. Była to wielka kula ze zgniecionych gazet, podobna do tej, którą w Capie znalazła w śmietniku Regina. Przyjrzał się tytułom; wszystkie pochodziły ze Wschodniego Wybrzeża. Nic z tego nie wynikało. Pomyszkował jeszcze trochę po przedziale, ale nie znalazł nic obciążającego ani nawet ciekawego poza zdjęciem Agnes Joe z kobietą, w której domyślił się jej córki. Nie był tego pewien, obie kobiety bowiem były kompletnie do siebie niepodobne. Córka była wyższa od matki i Tom uznał ją za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział, wręcz olśniewającą. Miała na sobie strój cyrkowy, więc chociaż ta część historii Agnes Joe okazała się prawdą. Na zdjęciu nie było daty, lecz starsza z kobiet wyglądała mniej więcej tak samo jak teraz, czyli zrobiono je niedawno. Sprawiały wrażenie szczęśliwych, a w każdym razie zaprzyjaźnionych ze sobą. Ciekaw był, co się takiego mogło wydarzyć od tamtego czasu, że teraz matka nie spędzała z córką nawet Bożego Narodzenia.

Nie chcąc już dłużej ryzykować, odłożył zdjęcie na miejsce i wysliznął się na korytarz. Przeszedł kawałek dalej, schował się w wolnym przedziale i wysunął ostrożnie głowę. Ujrzał Agnes Joe wychodzącą właśnie z jednego z przedziałów. Rozejrzała się, tak jak przedtem on, czy nikt jej nie widzi. Niczego przy sobie nie miała, lecz mogła ukrywać coś w kieszeniach. Poszła w przeciwnym kierunku. Tom pobiegł do przedziału, z którego wyszła, i zajrzał do środka. Trudno było powiedzieć, do kogo on należał. Chciał wejść, żeby się tego dowiedzieć, ale usłyszał nadchodzących ludzi i wycofał się. Zapamiętał jednak oznaczenie przedziału i wiedział, że zidentyfikować właściciela nie będzie trudno.

Wrócił myślami do samotnej kobiety o dziwnej przeszłości i towarzyskim usposobieniu, kobiety, która miała w zwyczaju wypychać swój bagaż starymi gazetami i myszkować po cudzych kwaterach w pociągu. Jego podróż w głąb własnej duszy w poszukiwaniu siebie zmieniała się powoli w wyprawę tropiciela, który miał rozwikłać zagadkę współczesnego złodzieja kolejowego, imieniem - być może - Agnes Joe. Jednakże z wielu powodów miał cichą nadzieję, że starsza pani jest niewinna.

Przechodząc przez wagon wypoczynkowy, ujrzał znowu Herricka Higginsa patrzącego z pewnym niepokojem w okno.

- Co się dzieje? - zapytał. - Wygląda pan na zdenerwowanego.

- Nic takiego. Patrzę sobie, jak śnieg pada. - Higgins uśmiechnął się, lecz Tomowi wydawało się, że ten uśmiech nie był zbyt szczery.

- Pociągowi chyba śnieg nie zaszkodzi? Tym razem Higgins się nie uśmiechnął.

- W La Juncie dołączamy trzecią lokomotywę przed przejściem przez przełęcz Raton - powiedział tylko.

- Czy to rutynowa praktyka, czy ze względu na śnieg?

- To normalne. Widzi pan, podejście jest dość strome, więc trzecia lokomotywa dodaje jednak pewności. - Higgins odwrócił wzrok ku szybie, a jego twarz znowu spoważniała.

Tom poszedł dalej, oglądając się nerwowo na starego kolejarza i usiłując przeniknąć jego myśli, lecz bez powodzenia.

## Rozdział 21

Chłopcy z chóru jechali w zwyczajnym wagonie z miejscami siedzącymi, nie w slipingu. Wchodząc do niego, Roxanne wyjęła pojemnik z odświeżaczem powietrza i zaczęła psikać naokoło.

- No tak - stwierdziła. - Co my czujemy w tym wagonie? Prawdziwy podróżny odorek! I niech nikt tu nie próbuje oszukać pani Roxanne, która ma pięciu synów i czterech wnuków i mogłaby pisać doktorat na temat, jak to sama lubi nazywać, „czynnika smrodliwości u młodych mężczyzn”. Ten numer w moim pociągu nie przejdzie. Rozumiemy wszyscy? - Odpowiedziało jej kiwanie głowami. - Bardzo dobrze. Panowie, mam dla was zarezerwowane dwa prysznicze na całą godzinę i wykorzystamy je jak się patrzy, prawda? - Chłopcy znów przytaknęli, a ona ustawiła ich w dwuszeregu. - Trzy minuty na jednego chłopaka - oznajmiła - bo nasz pociąg wiele potrafi, ale na pewno nie produkuje wody z powietrza. A więc szampon na głowy i wymyć mi się porządnie za uszami, między palcami i wszędzie, bo będzie kontrola, a jakże! A jak dobry Pan Bóg spojrzy na was z góry i zobaczy takich czyściutkich młodych mężczyzn, ześle wam specjalne, gwiazdkowe błogosławieństwo. - Dla podkreślenia wagi swych słów odśpiewała fragment piosenki rozślawionej przez Billie Holiday, po czym opiekunowie poprowadzili chłopców do łazienek.

- Jak to się stało, że zaczęłaś prowadzić chór, Roxanne? - zapytała Eleanor. - Rozumiem, sama śpiewasz i tak dalej, ale czy jest jakaś inna przyczyna?

- To są dobre dzieciaki, mają wielki potencjał, ale i wiele przeszkód na drodze, szczególnie tam, dokąd wracają. Nigdy się nie pogodzę z tym, że pięćdziesiąt procent z nich, czy dwadzieścia, a nawet niech to będzie tylko dziesięć, może nie dożyć dojrzałego wieku. Wszyscy mają dożyć, co do jednego! Odłożyłam trochę pieniędzy, latem biorę urlop na cały miesiąc i ruszamy w trasę. Pośpiewamy tu i tam, a chłopcy zobaczą takie rzeczy, że aż się będą skręcać, żeby wyjść w życiu na porządnym ludzi. Odkryją w sobie marzenia, o których nawet nie mieli pojęcia, a stara Roxanne będzie ich trzymać za ręce dopóty, dopóki już nie będą potrzebowali mamusi.

- Bardzo ambitne zadanie sobie wyznaczyłaś.

- Są tego warci, nie uważasz?

- Z całą pewnością są tego warci, a nawet jeszcze więcej - odparła Eleanor z uśmiechem.

Weszły do następnego wagonu z miejscami siedzącymi. Przejściem podążał w ich stronę mężczyzna o nieco nieobecnym spojrzeniu. Roxanne zniżyła głos.

- Przekonasz się, jakie to ciekawe miejsce, zwyczajny wagon w dalekobieżnym pociągu. Jeżeli szukasz ciekawych historii, to nie ma lepszej metody, jak rozlokować się tutaj.

- Witaj Erneście - rzuciła głośno. - Jak tam się dzisiaj mamy, kochaniutki?

- Demony, Roxanne, wszędzie pełno demonów - brzmiała odpowiedź. - Za oknem, w moich rzeczach, w jedzeniu. Widziałem kilka w puszcze z pepsi!

- Wiem, wiem, Erneście, ale posłuchaj. Spodziewałam się, że pojedziesz z nami, i przyniosłam ci trochę proszku przeciwko demonom. To jest środek z gwarancją, załatwia wszystkie demony, włącznie z największymi. Na twoim miejscu posypałabym się od razu. Tylko nie dawaj nikomu, bo więcej nie mam.

- Dziękuję, Roxanne, bardzo ci dziękuję. Tylko ty jedna mnie rozumiesz.

Ernest poszedł dalej, posypując się po drodze proszkiem.

- Chyba przydałby mu się specjalista - stwierdziła Eleanor.

- Ja też tak myślałam - odparła Roxanne - ale on przede wszystkim chce być zauważony. O ile wiem, jest bardzo samotny. Jeździ tym pociągiem od lat i nigdy nikogo nie skrzywdził; po prostu chodzi sobie i gada różne głupoty. Ale ja nigdy nie wierzyłam w to jego wariactwo. Ubrany jest jak menel, ale jakiego menela stać na bilet na ekspres Southwest Chief? Znam kilku, wiem, co mówię. Dowiedziałam się zresztą, że jest inżynierem w pewnej firmie z Arizony. Należy do tego rodzaju osób, które nigdy nie mają wielu przyjaciół, a teraz

jest już pod pięćdziesiątkę i pewnie nie wie, jak ich znaleźć. Rozmawiałam z nim wiele razy. Jest inteligentny i wygadany, tylko ma w głowie trochę inaczej poukładane niż ty czy ja. Jak wsiada do pociągu, zawsze zaczyna od tego numeru z demonami. Załatwiamy to i potem już jest spokój.

- Jak myślisz, czemu tak często podróżuje pociągiem?

- Nikt nie chce być sam, a już szczególnie w święta. Na pewno słyszałaś, że najwięcej samobójstw jest właśnie w okolicach Bożego Narodzenia. O tej porze roku Chief staje się raczej czymś w rodzaju klubu towarzyskiego dla ludzi poszukujących przyjaciół.

Nagle podbiegła do Roxanne rozgorączkowana kobieta, wymachując biletem.

- Rany boskie, dokąd ja jadę? - zawołała.

- A dokąd by pani chciała jechać, kochaniutka? Zaczniemy może od tego, a potem zobaczymy.

- Do Denver.

- Do Denver? To powinna pani jechać Zephyrem, a nie Chiefem. Ten pociąg jedzie do Los Angeles i bynajmniej nie przez Denver. Skąd się pani w ogóle tutaj wzięła?

- Chyba źle wsiadłam w Chicago.

- No tak, Zephyr też rusza z Chicago.

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknęła kobieta. - Miałam jechać do córki na święta. Proponowała mi, że przyleci i pojedzie ze mną, bo ja nie lubię samolotów, a mąż już nie żyje. Powiedziała, że jestem za mało przytomna, żeby jechać sama koleją, i chyba miała rację.

- Jakoś starczyło pani przytomności, żeby się zwrócić o pomoc, prawda?

- Tak, ale jak nie dojadę na czas, ona się o wszystkim dowie i potem przez całe święta będą mi z zięciem powtarzać: „A nie mówiłam? A nie mówiłem?”.

- A kto powiedział, że pani nie dojedzie na czas?

- Jak to, przecież jestem w niewłaściwym pociągu!

- Na razie tak. Ale przesadzimy panią do właściwego.

- Nie rozumiem. Mówiła pani, że ten jedzie do Los Angeles, to inna trasa.

- W Kansas City złapie pani lokalne połączenie do Omaha. Zephyr staje w Omaha, a pani tam będzie dużo wcześniej, więc bez problemu dotrze pani do Denver. Zajmę się tym i przyjdę po panią przed Kansas, dobrze? - Podziękowaniom nie było końca. Kiedy poszła, Roxanne dodała: - Ludzie przychodzą do mnie bez przerwy; źli, skołowani, ciągle się o coś martwią. Trzeba umieć odczytać, co mówią ich ciała, rozwiązywać ich problemy, zainteresować podróżą, włączyć w ten cały proces. Jeżeli jadą rodzice z dziećmi, rozmawia się z dziećmi wprost, a nie przez rodziców. Maluchy to doceniają, czują się ważne i zaczynają

śluchać. Na początku nie powinno się być zbyt nachalnym. Oczywiście do niektórych pasażerów w ogóle nie da się dotrzeć, ale do większości jednak tak. Trzeba być cierpliwym; albo człowiek rządzi robotą, albo robota nim. Cały czas to powtarzam mojej córce, wbijam jej to do głowy.

- Regina jest świetna, wspaniale ją wychowałeś, Roxanne.

- Jest wyjątkowa, to prawda. Mamusia jest z niej dumna.

- A ty mówisz jak zawodowy psycholog.

- No i jestem nim nieoficjalnie. Pacjentów mi nie brakuje.

- A nie jesteś przypadkiem aniołem, którego Bóg posłał z nieba do pociągu Southwest Chief? Jesteś tak dobra, że to aż trudne do uwierzenia. I mówię to z ogromnym szacunkiem dla ciebie.

- Wiesz co, kochaniutka, ja mam sześćdziesiąt trzy lata. Jestem gruba, mam odciski, nadciśnienie i początki cukrzycy. Za wiele czasu mi nie pozostało i mogę albo jęczeć i narzekać na to, co mi w życiu nie wyszło, albo robić to, co kocham, i przy okazji pomagać ludziom. Postanowiłam, że będę harować, dopóki sił starczy.

Zatrzymały się przy jednym z foteli. Roxanne ujęła się pod boki.

- Przepraszam bardzo, a co to za striptiz?

W fotelu rozparł się młody, może dwudziestoletni mężczyzna, zupełnie nagi. Na szczęście miejsce obok niego było wolne, a wagon przyciemniony na noc i nikt jeszcze tego nie zauważył, przynajmniej na razie.

- I po co się tak gorączkować - powiedział.

- To chyba tobie jest gorąco, skoro tak siedzisz bez gatek i bez niczego.

- Ja jestem z Arizony, u nas wszyscy tak śpią.

- O, naprawdę? - rzekła Roxanne. Eleanor odwróciła wzrok, lecz jej przewodniczka usiadła przy chłopaku. - Zaraz ci coś wyjaśnię, mądralo. Nie jesteśmy w Arizonie, tylko w Missouri i chociaż mówią, że to stan niedowiarków, nie musisz mi niczego udowadniać. To, co tu prezentujesz, widziałam już nieraz. Jeżeli mi się natychmiast normalnie nie ubierzesz, wysiądziesz z tego pociągu jeszcze przed Kansas City, rozumiemy się?

- A, mam cię! - Młodzian się roześmiał. - Minęliśmy La Platę i przed Kansas City już nie ma żadnej stacji.

- Zgadza się, nie ma żadnej stacji - odparła Roxanne, patrząc na niego znacząco. Chłopak powoli zaczął rozumieć.

- Chyba mnie nie wysadzicie w szczerym polu? Nie możecie tego zrobić! - wyrzucił z siebie.

- Ejże, środek stanu Missouri to nie jest szczerze pole, prawda Eleanor?

- Oczywiście, że nie - pokręciła głową zapytana.

- To nie pustynia, ludzie tu mieszkają - ciągnęła Roxanne. - To prawda, że gospodarstwa są rzadko rozrzucone, że mamy grudzień i jest zimno nie do wytrzymania, ale szczerze pole? Bez przesady. Wsiądziesz, przespacerujesz się góra czterdzieści kilometrów na południowy zachód, nie, chyba na północny wschód, i powinieneś trafić na motel, jeżeli pamięć mnie nie zawodzi. Chyba że go zburzyli, był bardzo stary.

- Czterdzieści kilometrów! Przecież zamarznę na śmierć!

- Jak włożysz gacie, to nie. Trochę pozytywnego podejścia do życia, młodzieńcze. Nie znoszę mazgajów. Jesteś młody, silny, prawdopodobnie przeżyjesz.

- Prawdopodobnie? - Wybałuszył na nią oczy. Roxanne wyjęła radiotelefon, lecz nie nacisnęła guzika nadawania. Eleanor to widziała, ale chłopak nie.

- Tu szefowa obsługi pociągu, do kierownika i maszynisty. Ogłaszam czerwony alarm, sytuacja jeden-cztery-dwa, powtarzam, jeden-cztery-dwa. Proszę zatrzymać, wysadzamy pasażera. Bez odbioru.

- Chwileczkę! - zawołał w panice młodzian. - Co to jest jeden-cztery-dwa?

- Nic takiego, kochaniutki, to taki nasz kolejowy szyfr, oznacza uciążliwego pasażera. W samolocie mogliby cię najwyżej związać, bo przecież nie otworzą drzwi dziesięć kilometrów w górę. - Uśmiechnęła się słodko. - Ale w pociągu nie ma z tym problemu, rozumiesz chyba, koleżko? Możemy cię kopnąć w twój niegrzeczny tyłeczek, gdzie nam się tylko zechce. Dostaniesz nawet kompas i latarkę, żebyś się nie zgubił. Wszystko zgodnie z regulaminem kolejowym, a to jest bardzo dobry regulamin. - Roxanne popatrzyła na okno. - O rany, znowu zaczęło sypać, to już istna zawieja. - Włączyła radiotelefon. - Szefowa obsługi się zgłasza w sprawie tego jeden-cztery-dwa. Proszę dostarczyć łopatę, zestaw pierwszej pomocy i maść na odmrożenia. Dziękuję.

- Już się ubieram! - wrzasnął młodzian, najwyraźniej chcąc, żeby go usłyszano na drugim końcu linii. - Wkładam wszystko! Możecie już odwołać to wasze jeden-cztery-dwa.

Roxanne spojrzała nań z powagą i pokręciła powoli głową.

- Obawiam się, że rozpoczętej procedury nie da się zatrzymać - odparła. - Poza tym czeka nas długa podróż, a skąd ja mogę wiedzieć, czy znowu ci nie strzeli do głowy jakiś idiotyzm? A jakby cię tak jakieś dziecko zobaczyło? Albo starsza osoba?

- Przysięgam! - błagał młody człowiek, ubierając się gorączkowo. - Już nigdy niczego nie zdejmę! Będę spał w ubraniu, niech mi pani uwierzy!

- No, nie wiem. Czujesz? Już zwalniamy; maszynista by się wściekł, gdybym mu teraz powiedziała, że odwołane. Masz pojęcie, ile kosztuje nieplanowy postój takiego wielkiego pociągu?

- Błagam panią, już się nie będę rozbierał! Roxanne westchnęła ciężko.

- Ponownie szefowa obsługi. Odwołuję, powtarzam, odwołuję jeden-cztery-dwa. - Spojrzała na młodego człowieka z pewną siebie miną. - Posłuchaj no, kochaniutki. Jeżeli jeszcze raz zobaczę chociaż kawałeczek czegoś, czego nie powinnam, wylatujesz z tego pociągu. Nieważne, czy to będzie pustynia, czy góry, i to bez ostrzeżenia. Rozumiemy się?

Chłopak skinął potulnie głową i naciągnął koc pod brodę.

- Spij grzecznie, Arizona - zakończyła Roxanne. Zeszły teraz na dolny poziom, gdzie Roxanne dokonała inspekcji kąpiącego się chóru. Zadowolona z efektów, poprowadziła Eleanor do wagonu wypoczynkowego. Usiadły przy wolnym stoliku.

- Chór chłopięcy, proszek przeciw demonom i na dodatek goły facet z Arizony. Miałaś pracowity wieczór, Roxanne - stwierdziła Eleanor.

- O, kochana, było całkiem spokojnie. Czego ja już tutaj nie widziałam...

- Chętnie bym posłuchała.

- Wiesz co, a może mogłybyśmy się spotkać poza pociągiem?

Eleanor zastanawiała się już wcześniej nad namówieniem Maxa, żeby zatrudnił Roxanne jako konsultantkę. Nagle pociąg zaczął wyraźnie zwalniać.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie, na tym odcinku torów jest po prostu ograniczenie prędkości. Niestrzeżone przejazdy i takie tam różności. Chodź, pokażę ci coś bardzo fajnego. To jest możliwe tylko w pociągu, w samolocie nie ma takich atrakcji.

Zaprowadziła Eleanor do przedsionka wagonu i otworzyła okno w górnej części drzwi wyjściowych, wpuszczając do środka podmuch odświeżająco zimnego powietrza.

- Boże, ależ to cudowne - powiedziała Eleanor.

- Przychodzę tutaj kilka razy dziennie - rzekła Roxanne. - Nawdycham się powietrza, popatrzę sobie na świat przez okno szyby i od razu mi się przejaśnia w głowie. - Przez kilka minut wpatrywały się w umykający krajobraz, a kiedy Chief przyspieszył, zamknęła okno. - Nauczyłam Reginę, żeby też to robiła co jakiś czas. Pomaga się rozluźnić, naładować baterie.

- Ile masz dzieci poza Reginą?

- Dziewięcioro, wszystkie już dorosłe. I dwadzieścioro troje wnuków.

- Zupełnie nie wyglądasz na tyle lat. - Eleanor pokręciła głową.

- No cóż, wcześniej zaczęłam, chyba za wcześnie. - Roxanne zerknęła na nią spod oka.

- A ty masz dzieci?

- Nigdy nawet nie byłam mężatką.

- Jak to możliwe, że taka piękna, inteligentna kobieta nie natrafiła nigdy na dobrego mężczyznę, który by ją pokochał?

- Może wcale nie jestem piękna i inteligentna.

- Kochaniutka, spójrz tylko w lustro. I wątpię, żeby ktoś taki jak Max Powers chciał z tobą pracować, gdybyś nie miała talentu i dobrze poukładane pod sufitem.

- Czasami po prostu tak już jest, że ludzie są sami. Każdemu się może zdarzyć.

- Oczywiście, że może. I zawsze jest jakaś przyczyna. Chcesz mi opowiedzieć, jak to było z tobą?

Eleanor odwróciła wzrok, bawiąc się palcami, a Roxanne przyjrzała się jej uważnie.

- Momencik, niech sama zgadnę. Spotkałaś dobrego człowieka, który cię pokochał, tylko że nigdy nie zadał tego najważniejszego pytania, na które kobieta tak bardzo chce odpowiedzieć „tak”. I w końcu wasze drogi się rozeszły. Aż do chwili kiedy go znów spotkałaś, w tym pociągu - dodała cicho.

Eleanor obrzuciła ją ostrym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Ty i Tom Langdon odnosicie się do siebie w taki sposób, że wszystko widać jak na dłoni - wyjaśniła Roxanne. - Poza tym w starym Chiefie wciąż świetnie funkcjonuje plotkarska gorąca linia.

Eleanor oblała się rumieńcem.

- Mój Boże, gdybym tylko wiedziała, że to aż tak widać. No cóż, bardzo mi miło, że tylu ludzi, których nawet na oczy nie widziałam, zna szczegóły mojej romantycznej historii, czy może lepiej by było powiedzieć porażki.

- Nie chcę być wścibska, kochanie, ale ja naprawdę potrafię słuchać.

Eleanor w końcu odetchnęła głęboko i spojrzała Roxanne w oczy.

- Tom Langdon to urodzony włóczykij, zawsze taki był i zawsze będzie. On się żywi przygodą, żywi się zmianą, tak jak inni ludzie jedzeniem. Nie byłby w stanie związać się na stałe, nawet gdyby zależało od tego jego życie. I rzeczywiście nigdy mnie nie poprosił o rękę.

- Ale nie widzieliście się kilka lat, prawda? Może się zmienił.

Eleanor pokręciła głową.

- Tacy jak on się nie zmieniają. Wrócił do Stanów, jeździ sobie i pisuje o bzdurach zamiast o wojnie na drugiej półkuli, ale to długo nie potrwa. Znam jego sposób myślenia. - Przerwała na chwilę. - Poza tym ma dziewczynę, jedzie do niej do Los Angeles.



- Myślisz, że mógł się jej oświadczyć?

- Raczej wątpię.

- To znaczy, masz taką nadzieję? Eleanor spojrzała na podłogę.

- Idź za głosem serca, dziewczyno - powiedziała Roxanne. - Jeżeli go jeszcze kochasz, na twoim miejscu dałabym mu szansę. To także twoja szansa, może jedyna, żeby być szczęśliwą.

- A jeżeli uczucia się przez ten czas zmieniły? Jeżeli już się nie jest tą samą osobą?

- Kochaniutka, miłość jest jak drewno, im starsza tym mocniejsza. Posłuchaj kogoś, kto jej zaznał i stracił dopiero wtedy, gdy dobry Bóg uznał, że czas się z nim podzielić moim Juniorem. Wiem, że to staroświecko brzmi, ale jeżeli dwoje ludzi jest razem, nic innego nie ma sensu. Tylko to naprawdę się liczy.

## Rozdział 22

Kansas City było jedną z ważniejszych stacji na całej trasie. Wiele osób wsiadało tu i wysiadało, a pociąg stał dość długo, uzupełniając paliwo i zaopatrzenie. Roxanne zaprowadziła na odpowiedni peron kobietę, która jechała do Denver. Tom tymczasem także wyszedł z pociągu zaczerpnąć trochę powietrza przed wieczorem kawalerskim.

Pomny na słowa Herricka Higginsa, przyglądał się, jak do pociągu wsiadają kolejne „kawałki Ameryki”, gotowe snuć ciekawe opowieści, dzielić się doświadczeniami i zawierać - jakkolwiek przelotne - znajomości.

Śnieg sypał gęsto, Tom schronił się więc pod daszkiem. Wtem ujrzał zaskoczony, że Eleanor także wysiada i zmierza w jego stronę.

- Trochę ciasno w tym pociągu - wyjaśniła.

- No właśnie.

Stali przez dłuższą chwilę w niezręcznym milczeniu. Wreszcie odezwała się ona.

- Nie masz pojęcia, jaki to dla mnie był szok, kiedy cię zobaczyłam.

- Przez te wszystkie lata miliony razy myślałem, żeby się z tobą skontaktować. I nigdy tego nie zrobiłem. Nazwij to, jak chcesz... dumą, zawziętością, głupotą, nie wiem.

- Biorąc pod uwagę, jak to się skończyło, trudno cię winić.

Tom przysunął się do niej.

- Wierzysz w zaczynanie jeszcze raz od początku? - zapytał.

Eleanor się odsunęła.

- Nie zniosłabym takiego cierpienia po raz drugi, Tom. Mam dość.

- To ty mnie zostawiłaś, pamiętasz?

- Po tylu latach należało po prostu albo się zadeklarować, albo rozejść - odparła wprost.

- Potrzebowałam pewności, ale jej nie miałam. Dla ciebie praca była ważniejsza niż wszystko inne.

- Ludzie się zmieniają, Ellie.

- Już to słyszałam. Naprawdę myślisz, że długo wytrwasz w postanowieniu pisania o zabytkowych meblach? Poza tym masz dziewczynę, jedziesz do niej na święta. Masz zamiar się oświadczyć?

- To nie jest tego rodzaju związek.

- Oczywiście, bo ty nie jesteś tego rodzaju człowiekiem. - Pokręciła głową i zapatrzyła się w przestrzeń.

Tom chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- To nie jest tego rodzaju związek - powiedział dobitnie - ponieważ ja jej nie Kocham.

Istnieje tylko jedna kobieta, którą naprawdę kochałem, Ellie. Dobrze o tym wiesz.

- Tom, nie rób mi tego, proszę.

- To dlaczego wysiadłaś? Jest mróz.

- Ja... nie wiem.

- Nie wierzę. Myślę, że dobrze wiesz.

- Może i tak.

- Nigdy nie zaznałem w życiu niczego lepszego niż to, co przeżyłem z tobą. Nigdy!

Szukałem przez wszystkie te lata, ale bez skutku.

- Ja też szukałam. I też nie znalazłam.

- To nie może być przypadek, że znaleźliśmy się oboje w tym pociągu. To znak z nieba, nie widzisz tego? Tak miało się stać.

- Mówisz jak Misty. Miłość w ten sposób nie funkcjonuje. To nie jest żaden czarodziejski proszek, nad uczuciem trzeba pracować dzień po dniu.

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i spojrzenie jej szmaragdowych oczu uderzyło go z pełną siłą. Przestało się liczyć, czy dzieje się to teraz, czy przed dziesięciu laty. Jej wzrok w świetle peronowej latarni miał w sobie taki hipnotyczny magnetyzm, jakiego Tom nie doświadczył jeszcze nigdy. Zdawało mu się, że cofa się o krok, gdy tymczasem przysunął się bliżej. Zobaczył własną dłoń odsuwającą z jej twarzy jeszcze jeden niesforny kosmyk kasztanowych włosów. Jego palce delikatnie pogłaskały jej policzek. Nie oponowała.

- Może przyszedł właśnie czas, żebyśmy rozpoczęli tę pracę - powiedział cicho.

Odetchnął głęboko, rozejrzał się po peronie i nagle otworzył szeroko usta na widok zmierzającej w jego kierunku postaci. Potrząsnął z niedowierzaniem głową, był to już bowiem drugi poważny szok, jaki go spotkał w ciągu jednej tylko doby. Ile takich gromów z jasnego nieba mógł jeszcze przetrwać?

W stronę pociągu szła Lelia Gibson, a za nią ekipa bagażowych w czerwonych czapkach, taszcząca pokaźny bagaż. Ta kobieta nie potrafiła podróżować zjedną walizką. Pakowanie się z niespożytą wręcz zaciekłością stanowiło jedną z jej pasji. Planowała dokładnie, która rzecz jej się przyda na danym etapie podróży, taksując kolejne akcesoria krytycznym okiem, niczym wybitny generał przewidujący przebieg bitwy.

Tom cofnął się o krok. Eleanor zastygła z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi wargami, czekając na jego usta, których się nie doczekała.

- Ellie...

Otworzyła oczy i przesunęła dłonią po jego policzku. Tom cofnął się jeszcze o krok.

- Co się stało?

- Przypomnij sobie, ale błyskawicznie, najgorszą sytuację w swoim życiu, kiedy zrobiłaś coś kompletnie nie w porę.

- Co takiego? - zdumiała się.

Tom spojrzał ku Lelii. Zbliżyła się. Jeszcze go chyba nie zauważyła, lecz było to tylko kwestią czasu. Doskonale wiedziała, że go znajdzie w tym pociągu.

- Kiedy wybrałaś najgorszy moment na załatwienie jakiejś ważnej sprawy? Przypomnij sobie, proszę. I myśl o tym.

- Powiedziałabym, że to ty właśnie wybrałaś najgorszy moment na zadanie tego pytania - odparła Eleanor.

- Błagam, przypomnij sobie!

- Dobrze, dobrze.

- Masz?

Zastanawiała się przez chwilę.

- No mam, a co? Tom odetchnął głęboko.

- Właśnie cię pokonałem. I to o kilka długości. Jestem po prostu mistrzem w robieniu niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym czasie. - Skinął ku nadchodzącej Lelii. - To właśnie moja tak zwana dziewczyna z Los Angeles. Lelia Gibson we własnej osobie. Eleanor odwróciła się i przyjrzała nadchodzącej grupce.

- Wiedziałeś, że ona ma tu wsiąść? - zapytała.

- Nie. To jest numer z gatunku grom z jasnego nieba i zawał serca w jednym, wierz mi.

Eleanor zaplotła ręce na piersi i cofnęła się o kilka kroków. Lelia właśnie spostrzegła Toma i pomachała do niego żwawo. Sunęła ku swemu celowi niczym czołg, Eleanor zaś odeszła, zmieniając się w cień w mrocznym tle. Tom spoglądał za nią, czując, jak wraz z odchodzącą kobietą uchodzi zeń życie. Odwrócił się w stronę Lelii. Niewielkie pocieszenie dawała mu świadomość, że gorzej być już nie może. Zresztą, miało być gorzej.

## Rozdział 23

Krajowe służby meteorologiczne wydały komunikat dla środkowego i południowego zachodu, ostrzegając przed możliwością srogiej burzy śnieżnej, przesuającej się na południe wzdłuż grzbietu Gór Skalistych. Pełną moc przyszłej nawałnicy maskowała na razie dość skutecznie sytuacja meteorologiczna, panująca nad północnym zachodem. Owa osłona miała się jednak rozproszyć, kiedy cała konfiguracja przesunie się poprzez Wyoming w kierunku Kolorado. Furia sztormu objawi się wówczas w pełni przy granicy między Kolorado a Nowym Meksykiem i będzie za późno na kolejne ostrzeżenia. Pozostanie już tylko czytanie o śnieżycy dziesięciolecia w gazetach i opowiadanie o niej przyciszonym głosem przyszłym pokoleniom.

Herrick Higgins wykorzystał długi postój w Kansas City na pogawędkę z maszynistą Chiefa. Omówili prognozy pogody, nadsyłane przez centralną dyspozytornię. Choć Higgins nie pracował już oficjalnie na kolei, to jednak każdy, dla kogo pociągi pasażerskie stanowiły źródło utrzymania, z ochotą słuchał jego mądrych uwag i rad. Z maszynistą Chiefa przyjaźnił się od dwudziestu lat i kiedy mu powiedział, że ta pogoda nie wróży nic dobrego, szczególnie że czeka ich jazda przez Kolorado, tamten przyjął to z poważną miną. Higgins doradził mu również, żeby zatankował maksymalną ilość paliwa.

- Zachowajmy czujność - powiedział maszynista. - Jak tylko przyjdzie coś nowego od dyspozytora, dam ci znać.

Higgins wrócił na swoje miejsce w wagonie wypoczynkowym. Kończono ładować zaopatrzenie, wsiadali ostatni pasażerowie. Podczas swej długiej kariery widział już chyba wszystkie możliwe awarie sprzętu, błędy personelu i niespodzianki aury. W podobnych okolicznościach nauczył się ufać instynktowi, wyostrzonemu przez trzydzieści lat pracy. Niepokoił go wygląd chmur i charakter wiatru. Nie podobał mu się ostry kąt, pod jakim sypał

śnieg. Wpatrywał się więc z niepokojem w niebo, którego wygląd zwiastował wyłącznie kłopoty.

- Skąd ty się tutaj wzięłaś, Lelio? - zapytał Tom.

- Przeleciałam przez pół Ameryki, żeby ci zrobić niespodziankę, i tylko tyle masz mi do powiedzenia? Czy wiesz, że nie ma bezpośrednich lotów z Los Angeles do Kansas City? Nie rozumiem tego. Musiałam lecieć przez Denver. To był koszmar. A teraz jeszcze słyszę „Skąd ty się tutaj wzięłaś?”. - Objęła go i pocałowała, a Tom miał wyrzuty sumienia, bo w końcu przecież stanowili parę. Spotykali się, mieli spędzić razem święta nad Tahoe. Ponowne zetknięcie się z Eleanor sprawiło jednak, że prawie o tym wszystkim zapomniał.

- Przepraszam, ale kompletnie mnie zaskoczył twój widok. Myślałem, że się ciężko obraziłaś po tej historii z Erikiem.

- Nie bądź głuptasem. Porozmawiamy o tym w pociągu. Wszystko ci wytłumaczę.

- Wszystko? To znaczy co?

- Wsiądźmy najpierw, dobrze? Muszę się rozpakować. - Wręczyła swój bilet bagażowemu i poleciła mu wnieść torby do pociągu. Obdarzyła go przy tym zarówno sutym napiwkami, jak i zniewalającym uśmiechem. Ubrana była po hollywoodzku, czyli drogo i krzykliwie. Tom był pewien, że po ujrzeniu Lelii Batalion Czerwonych Czapek z dworca w Kansas City już nigdy nie będzie taki sam. Prawdopodobnie bagażowi sami chętnie by zapłacili za przywilej dźwigania skórzanych toreb od Gucciego i przebywania w pobliżu takiej kobiety.

Kiedy szli w stronę wejścia do wagonu, Lelia wsunęła rękę pod ramię Toma.

- Czy mówiłam ci, że jeszcze nigdy w życiu nie jechałam pociągiem? W święta może to być całkiem miła podróż. Czy oni mają tu masażystę? A może jest salon kosmetyczny, jak na statkach wycieczkowych?

- Obawiam się, że nie. Ale w każdym przedziale jest szachownica, tylko trzeba mieć własne figury. Aha, no i w barku jest duży wybór alkoholi. Szczerze mówiąc, doszedłem właśnie do wniosku, że to jest największy plus tego pociągu.

- A może ty mi zrobisz masaż? Zabrałam to nieprzyzwoite body... - dodała półgłosem, tuląc się do niego.

Gdy wsiadali, Tom kątem oka dostrzegł Eleanor. Obserwowała ich uważnie. Był to jeden z nielicznych momentów w jego życiu, kiedy czuł się kompletnie bezradny. Weszli do wagonu, a po chwili Chief ruszył. Pożegnali Missouri i pociąg popędził w zapadającym zmroku ku równinom Kansas.

Lelia rozlokowała się w swoim przedziale; nie obeszło się jednak bez narzekania na jego ciasnotę i pytań o możliwość wynajęcia salonki wykładanej mahoniową boazerią, najlepiej z osobną obsługą. Konduktor Barry, zadurzywszy się w niej beznadziejnie od pierwszego wejrzenia, układał na półce jej bagaże, prężąc mięśnie i nadymając pierś. Jednocześnie serwował garściami pociągowe ciekawostki; Lelia jednak nie okazała zainteresowania i zachowała dystans. Dała mu jednakowoż do zrozumienia, że jeśli zostanie poczęstowana herbatą i będzie otrzymywać posiłki do przedziału, obdarzy go czasami uśmiechem, a może nawet pokaże łydkę lub skrawek kształnego uda. Barry odszedł, zdecydowany spełnić wszystkie jej zachcianki.

Kiedy się już rozpakowała, zajrzał do jej przedziału Tom.

- Fajnie się tutaj urządziłaś - powiedział z uśmiechem.

- A ty gdzie mieszkasz?

- Kawalek dalej, w przedziałach dla biedoty.

- Możesz dzisiaj spać u mnie.

Tom usiadł na skraju rozkładanego łóżka.

- Słuchaj, Lelio, chciałbym ci coś powiedzieć - zaczął. - Nie myślałem, że to się stanie w pociągu, ale skoro tak wyszło, powiem ci to teraz.

- Chyba wiem co. - Przykryła jego dłoń swoją. - Dlatego właśnie pokonałam taką odległość.

- Naprawdę? - zdumiał się. Jakim cudem Lelia dowiedziała się o Eleanor? - No to mów.

- Po tym numerze z Erikiem byłam na ciebie autentycznie wściekła. Ale było mi też przyjemnie, że jesteś zazdrosny i w ogóle.

- To świetnie. Cieszę się, że mogłem coś dla ciebie zrobić.

- Zaczęłam więc nad tym wszystkim przemyśliwać. Już jakiś czas jesteśmy ze sobą i trzeba się w końcu na coś zdecydować.

- Zgadzam się z tobą w pełni.

- Ja już się zdecydowałam, lecz nie chciałam ci tego mówić przez telefon i nie chciałam też czekać aż do świąt, bo to może zmienić nasze plany.

Tom odetchnął z ulgą.

- Jak widzę, nasze myśli biegły dokładnie tym samym torem.

Lelia nachyliła się i położyła mu obie ręce na ramionach.

- Tom, ja chcę wyjść za mąż - oznajmiła.

- Z kim? - zdołał tylko wykrztusić.

- Za ciebie, głupku. I mówi się „za kogo”, a nie „z kim”. No, ale to ty jesteś redaktorem.

- Chcesz za mnie wyjść? I przyleciałaś specjalnie po to, żeby mi to powiedzieć? - Zerwał się zdenerwowany z miejsca i... wyrznął głową w szybę, niczym ptak rozpaczliwie usiłujący wydostać się z zamknięcia. - Lelio, to nie to samo, co spotkanie się kilka razy do roku dla rozrywki i przyjemności. To jest na całe życie, dzień w dzień, na dobre i na złe.

- Sądysz, że tego nie wiem?

- Czy zapisałaś się może na jakiś nowy kurs? - Uniósł ostrzegawczo palec. - Jakies nowe psychodeliczne wudu czy inne parapsychologiczne gównno w rodzaju New Age?

Lelia wstała.

- Nie. Tu chodzi o mnie. Nie robię się coraz młodsza, Tom. Mój zegar biologiczny tyka coraz szybciej. Budzik już dzwoni, a guzik dosypiania wcisnęłam tyle razy, że przestał działać.

- To znaczy, że chcesz mieć dzieci, tak?

- A ty nie?

- Pytasz mnie, czy chcę mieć dzieci?

- Chyba nie jesteś głuchy?

Skąd mam wiedzieć, czego chcę? Nie spodziewałem się, że się tu zjawisz z tą propozycją. Daj że człowiekowi złapać oddech, dobrze? Objęła go za szyję.

- Wiem, że to się stało trochę nagle. Ale jest nam dobrze razem, Tom, naprawdę dobrze. Mam mnóstwo pieniędzy, możemy robić, co nam się żywnie spodoba. Możemy sobie pojeździć po świecie, nacieszyć się życiem, a potem osiąść gdzieś i mieć wielką rodzinę.

- Wielką? To znaczy jaką?

- No, wiesz, ja mam siedmioro rodzeństwa. Przyjrzał się jej drobnej sylwetce.

- Słuchaj Lelio, gimnastykujesz się po sześć godzin dziennie i chcesz mi wmówić, że się zgodzisz, żeby twoje ciało nadęło się jak balon osiem razy? Jeśli nawet byś rodziła tylko raz na dwa lata, ostatni radosny tłumoczek wyskoczy z ciebie, jak będziesz miała sześćdziesiątkę.

- Myślałam raczej, że urodziłabym jedno, a resztę byśmy adoptowali... za jednym zamachem. I rodzina gotowa.

Tom przesunął dłonią po włosach, mając właściwie ochotę wyrwać je sobie z głowy.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- A co ty myślałaś? Że będziemy ciągnąć tę zabawę na odległość aż do twojej albo mojej śmierci? Tak nie wygląda trwały związek, Tom.

- Zgadza się. Nie jest trwały.

- Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Przemyśl sobie wszystko spokojnie, mamy jeszcze dwa dni jazdy. Zastanów się, a potem mi odpowiesz.

- Dwa dni? Mam w ciągu dwóch dni zdecydować, czy chcę się ożenić i mieć ośmioro dzieci?

- No, wiesz, jak już się zdecydujesz, możemy mieć mnóstwo spraw do załatwienia, więc szybkość działania byłaby wskazana.

Pocałowała go w policzek, po czym ujęła jego dłonie w swoje.

- A teraz ty. Co chciałeś mi powiedzieć?

Tom tylko wybałuszał na nią oczy, niezdolny się odezwać. Jego słowa rozpuszczały się w kwasie, który przeżerał mu krtań. Topiły się niczym śnieg na gorącej blasze. Odwrócił się do wyjścia.

- Dokąd idziesz?

- Do baru - udało mu się wykrztusić.

- A kiedy wrócisz?

- Za dwa dni.

## Rozdział 24

Tom maszerował do wagonu barowego, pragnąc się wzmocnić tyłoma szklaneczkami tequili, ile zdoła w siebie wlać, Chief natomiast pędził ku Lawrence w Kansas, znanego niegdyś jako siedziba uniwersytetu stanowego. Mieli tam dotrzeć o pierwszej trzydzieści w nocy, następnie zaś o drugiej do Topeki, a potem w krótkich odstępach czasowych do Newton, Hutchinson, Dodge City i Garden City - ostatniej stacji przed granicą z Kolorado. La Junta, miejsce ślubu, była drugą stacją w tym stanie. Dwie godziny później Chief miał rozpocząć wspinaczkę na przełęcz Raton.

Burza rozszalała się. Pędzona wściekłymi górnymi wiatrami parła na południe, odbijając się po drodze od niewzruszonego masywu Gór Skalistych. Zima w tym regionie już wcześniej przyniosła obfite opady śniegu i na szczytach gór leżały grube białe czapy. Wichura rozwiewała część tego śniegu po dolinach, lecz nie odnotowano jeszcze żadnych szkód. Synoptycy uważnie obserwowali przemieszczające się masy wirującego powietrza i wilgoci, nie mieli jednak powodu przypuszczać, że nawałnica różni się czymś od wielu poprzednich.



Southwest Chief miał się wspiąć ku przełęczy, przejechać pod nią niemal kilometrowej długości tunelem i zatrzymać się na leżącej niżej stacji w Raton. Wyjeżdżając z tunelu, pociąg opuszczał automatycznie Kolorado i wjeżdżał do Nowego Meksyku. Tutaj także napadało sporo śniegu, który okrywał szczyty wielometrową stwardniałą warstwą, topniejącą dopiero latem. Na najwyższych wierzchołkach białe czapy utrzymywały się zresztą przez cały rok. Wiele by trzeba, żeby te miliony ton śniegu poruszyć z miejsca.

Eleanor snuła się po pociągu, usiłując nie wybuchnąć płaczem. Zajrzała do księdza Kelly'ego, który siedział w przedziale i czytał Biblię. Zaprosił ją do środka.

- Nie może ojciec zasnąć? - zapytała.

- Odpoczywam sobie przed tym wieczorem kawalerskim, który urządza Max - odparł.

- Kiedy jeszcze prowadziłem parafię, pracowałem po szesnaście godzin na dobę i spałem jak zabity przez osiem. Nie miałem żadnych zmartwień, dzięki Niemu i dzięki temu, że w ciągu dnia zrobiłem, co się dało. Teraz jestem, że tak powiem, „poza służbą” i nie pracuję nawet w połowie tak ciężko, więc i snu potrzebuję mniej. Poza tym pociąg to takie spokojne miejsce; dobrze się w nim czyta i rozmyśla. Przez tyle lat poświęcałem cały swój czas i uwagę problemom moich parafian, a nie dość się chyba zastanawiałem nad własnymi. Ale w moim wieku już chyba trochę późno na takie wnioski, nie sądzisz?

- Lepiej późno niż wcale - odparła.

- Widziałem Toma z tą panią - rzekł dyplomatycznie duchowny. - Wygląda, że bardzo dobrze się znają.

- Jak najbardziej. Właściwie to są parą, proszę księdza.

- Ach, rozumiem.

Eleanor spojrzała na Biblię na jego kolanach.

- Czy znajdzie się tam jakaś rada na złamane serce?

- Na wszystko, co cię gnębi, moja droga.

- Chodzę regularnie na mszę, ale zaniedbywałam studiowanie Pisma. Może powinnam wreszcie coś z tym zrobić.

- No cóż, lepiej późno niż wcale - odparł ksiądz z uśmiechem. - Porozmawiam z Nim później i na pewno nie zapomnę poprosić o błogosławieństwo dla ciebie. Nawet o podwójne.

- Bardzo będę księdzu wdzięczna.

- Powiadają, że w tygodniu bożonarodzeniowym zdarzają się wszelakie cuda. Jako ksiądz wierzę oczywiście, że cuda możliwe są w każdym czasie, ale być może rzeczywiście w rocznicę narodzin Jezusa pojawia się więcej pozytywnej energii.

- To bardzo krzepiące - odparła bez przekonania Eleanor.

- Może sytuacja nie wygląda w tej chwili najlepiej - powiedział duchowny - lecz w sprawach sercowych wszystko może się błyskawicznie zmienić.

- Tego się właśnie obawiam.

- Tam gdzie jest wiara, nie ma lęku. Uśmiechnęła się słabo.

- To słowa z Biblii?

- To, moja droga - poklepał ją po dłoni - jest rada księdza Paula Josepha Kelly'ego. Wliczona w cenę biletu.

Podczas ostatniego obchodu Roxanne zawędrowała do wagonu wypoczynkowego i zastała tam Herricka Higginsa, wciąż wpatrującego się w okno. Usiadła obok niego.

- Czemu nie idziesz spać, Heniek? Przygotowałam ci wolną koję w służbowym.

- Dzięki, Roxanne. Niedługo się położę.

Podążyła za jego spojrzeniem za okno, na sypiący gęsto śnieg.

- W Kansas City kazałam załadować więcej żywności.

- Mądra z ciebie kobieta. Ostrożności nigdy za wiele.

- Hola, panie Herricku Higginsie, czyżby się pan jeszcze denerwował, po tylu latach na kolei?

- Może tylko wymyślam problemy, żeby się czuć potrzebnym? - Stary kolejarz wzruszył ramionami.

Roxanne położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie powinni byli pana zwalniać - powiedziała. - Jak się to rozniosło, wszyscy na całej trasie poczuli to samo. Niektórzy pracują na kolei z przypadku, pierwszego biorą pensję i nic ich nie obchodzi, ale pan jest inny. Tacy ludzie jak pan potrafią tchnąć duszę w te wielkie bryły stali.

- I tacy jak ty także, Roxanne. Chief toczył się dalej.

- Robię to już od tylu lat, Heniek. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy człowiek powinien wysiąść na ostatniej stacji i powiedzieć: „pociąg skończył bieg”.

- Postaraj się, żeby to było na twoich warunkach, Roxanne, a nie narzuconych ci z góry.

- Za dziesięć lat już może nie być pociągów. I co wtedy?

- Wtedy - uśmiechnął się Higgins - będziemy opowiadać wnukom, jak cudownie się nimi podróżowało.

Po drodze do wagonu wypoczynkowego Tom natknął się na Maxa i Misty.

- Muszę się napić - poinformował ich. - Jeżeli się natychmiast nie napiję, nie odpowiadam za swoje czyny.

- Mam w przedziale alkoholu, ile dusza zapagnie - oświadczył Max - i jeszcze skrzynkę schłodzonego wina. Po prostu zacznijmy już ten wieczór kawalerski. Aha, i uznałem, że nie ma co się ograniczać do facetów, dziewczyny też są zaproszone.

- Właściwie - wtrąciła Misty - to był mój pomysł.

- Jak ty załatwiłeś tę całą gorzałę? - zapytał Tom.

- On się nazywa Max Powers - rzekła Misty.

- Po prostu zadzwoniłem do Kansas City i zamówiłem - wyjaśnił reżyser. - To nie jest jakaś wielka filozofia, dziecko.

- Uwielbiam, jak mówi na mnie „dziecko”. Od razu się czuję młodziej - powiedziała Misty.

- Jutro będzie ślub w pociągu, a ty, Tom, Eleanor i jeszcze parę osób macie kluczowe role do odegrania - stwierdził Powers. - Dlatego podczas imprezy musimy zrobić próbę.

- Nie wiem, Max, czy to jest taki dobry pomysł akurat teraz - zauważył Tom.

- Nie wygłupiaj się. Wierz mi, wiem, co mówię. Ja z tego żyję. Jeżeli nie poćwiczymy, to schrzanimy sprawę. Steve'owi i Julie należy się porządna ceremonia. Przecież wiecie, dzieci, że wujek Max i tak postawi na swoim.

Reżyser pobiegł korytarzem dosłownie w podskokach, wielce z siebie zadowolony. Misty podążyła za nim i Tomowi nie pozostało nic innego, jak powlec się z rezygnacją za swawolną parą.

Max kazał Kristobalowi odszukać Steve'a, Julie, Eleanor, Roxanne i księdza, który miał dawać ślub. Ten ostatni, wysoki, schludny mężczyzna o krótkich szpakowatych włosach, mądrej twarzy i dobrych oczach, wyglądał jak wzorcowy model duchownego. Tom wolałby jednak na jego miejscu księdza Kelly'ego, który był także obecny. Próbował zresztą konwersować z kolegą po fachu, ale ten zachowywał się z rezerwą i Kelly w końcu dał sobie spokój.

Przedział Maxa Powersa składał się z dwóch pomieszczeń, połączonych w obszerny apartament. Tom przyglądał się w zdumieniu tym luksusom.

- Jak to załatwiłeś? - zapytał.

- On się nazywa Max Powers - stwierdziła ponownie Misty.

Reżyser stanął na środku i rozdał wszystkim kartki z wydrukowanym tekstem.

- Słuchajcie, to jest scenariusz na jutro, rozpisany na sceny, to znaczy, chciałem powiedzieć, kolejne części ceremonii ślubnej.

Tom przemieścił się bliżej Kristobala, który obsługiwał urządzony w kącie przedziału barek.

- Masz szkocką? - zapytał.

- Obawiam się, że tylko słodową macallans, dwudziestopięcioletnią. Pan Powers ją uwielbia.

- No to mnie także musi wystarczyć - stwierdził Tom.

- Przepisywałem ten scenariusz przez całe popołudnie - poskarżył mu się Kristobal. - Max oczywiście bez przerwy wprowadzał zmiany, jak zwykle. Ten facet jest genialny, trzeba mu to przyznać.

Tom pociągnął łyk szkockiej i rozejrzał się za Eleanor. Miał wrażenie, że starannie unika nawiązywania kontaktu wzrokowego z innymi, a z nim w szczególności. Trudno było mieć jej to za złe. Studiowała pilnie scenariusz, podczas gdy Max gromkim głosem udzielał wszystkim kolejnych wskazówek.

Tom właśnie zebrał się na odwagę, żeby do niej podejść gdy nagle przypałała się Lelia i przysunęła boczkiem do niego.

- Okazuje się, że mój pan Langdon zapomniał mnie poinformować o wieczorze kawalerskim - oznajmiła, a jej spojrzenie spoczęło na Po wersie. Ujrzawszy ją, reżyser natychmiast próbował się skryć za plecami Misty.

- Max, to ty? Mój Boże, to naprawdę ty! - Lelia poprawiła włosy i obciągnęła sukienkę, choć były w nienagannym stanie.

Max odwrócił się do niej, udając zaskoczonego.

- Lelia, cóż za niespodzianka!

- To wy się znacie? - zapytał Tom.

- Och, to już tyle lat... - rzekł cicho reżyser.

- A ja mam wrażenie, jakby to było wczoraj, Max - stwierdziła Lelia. - Staralam się o rolę w jego filmie, zupełnie drugorzędną rolę. Sporo lat temu, ale już wtedy był legendą - dodała z udawaną nabożną czcią.

- Daj spokój - rzucił nerwowo Max. - Mam już wystarczająco rozdęte ego.

- Nie dostałam tej roli. - Lelia jakby go w ogóle nie słyszała. - Pamiętasz, co to był za film, Max?

- Nie, dziecko, naprawdę nie pamiętam. Od tamtej pory obumarło mi mnóstwo komórek mózgowych.

- „U schyłku lata”, o dwojgu młodych, którzy zakochali się w sobie, a potem odkochali, podczas letnich wakacji.

- A tak, tak; masz rację.

- Do dziś nie rozumiem, dlaczego właściwie nie dałeś mi roli najlepszej przyjaciółki głównej bohaterki.

- Po prostu popełniłem wielki błąd, Lelio. W początkach mojej kariery zdarzało się to dość często.

- No, ale miałeś na tyle przyzwoitości, że zaprosiłeś mnie któregoś wieczoru na kolację.

- Na kolację? No tak, pamiętam; było cudownie.

- Kolacja zakończyła się w rezultacie śniadaniem. Mniemam, Max, że nie zapomniałeś tej części przesłuchania. - Lelia uniosła brwi i wyduła usta.

- Drodzy państwo, może polejemy? - zawołał Max. - I ruszajmy z tą próbą, bo szkoda czasu!

Tej nocy wszyscy mieli okazję podziwiać reżyserskie umiejętności Maxa, połączone z obsesyjną dbałością o szczegóły. Kazał im ćwiczyć wciąż od nowa kolejne czynności.

Wreszcie Tom zażądał przerwy, a protesty reżysera zostały zagłuszone.

Lelia podeszła do Eleanor. Tom oczekiwał z przerażeniem nieuchronnego starcia obu kobiet.

- Ty jesteś drużną, a Tom drużbą - powiedziała Lelia. - Jak to zabawnie się złożyło i jak korzystnie dla ciebie, prawda?

- Tak uważasz? Akurat te określenia nie przyszły mi do głowy.

- Jedziemy z Tomem na święta nad Tahoe - oznajmiła Lelia.

- Przyjechałaś z Los Angeles do Kansas City tylko po to, żeby wsiąść do pociągu z powrotem do Los Angeles i pojechać nad Tahoe? To chyba trochę okrężna droga, nie uważasz?

- To prawda, ale chciałam zapytać Toma o coś bardzo ważnego.

- Ach tak? O cóż to?

- Czy się ze mną ożeni.

Eleanor obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Lecz Lelia nie zamierzała na tym poprzestać.

- Podobno byliście kiedyś razem? - zapytała. - Chyba nie chorowałaś na zapalenie wątroby? - dodała, szczerząc się kpiąco do Toma.

- Co takiego? - zdumiała się Eleanor.

- Wiesz, to bardzo zabawne... Eleanor, tak? Zdaje mi się, że tak masz na imię? No więc to bardzo zabawne, że Tom nigdy nie wypowiedział przy mnie twojego imienia. Wasz związek chyba nie bardzo zapadł mu w pamięć.

- Myślę, że wypowiedział - odparła Eleanor. - Prawdopodobnie jak byliście razem w łóżku.

Szczęka Lelii opadła tak nisko, że Tom mógł dojrzeć jej migdałki.

- Może dolać komuś drinka? - zawołał z desperacją. Na nic więcej nie było go stać.

Eleanor rzuciła mu jeszcze jedno jadowite spojrzenie.

- Nie martw się, kochanie, możesz go sobie wziąć - zwróciła się do Lelii i ruszyła do wyjścia. Tom chciał pójść za nią, lecz został pochwycony przez pannę Gibson.

- Słyszałeś, co ona do mnie powiedziała? - syknęła. Tom stał i patrzył za Eleanor znikającą w głębi korytarza. - Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?

W końcu spojrzał na nią.

- Lelio - powiedział.

- Co?

- Zamknij się.

Podczas gdy świat walił mu się na głowę, Roxanne dyskutowała z Maxem.

- No dobra, kochaniutki, wracamy do akcji. - Uniosła wydruk scenariusza. - Podoba mi się to, ale będę potrzebowała trochę luzu na improwizację.

- Luzu? Improwizację? - Maxa wyraźnie to zaniepokoiło.

- No jasne. Rozumiesz, działanie pod wpływem chwili, gra na energii publiczności.

- Ależ, Roxanne, to jest ślub. Dokładne przygotowanie takiej ceremonii to klucz do sukcesu. Chcę mieć spisane wszystkie twoje piosenki, w kolejności wykonania.

Steve i Julie przyglądali się tej ożywionej wymianie zdań z niepokojem.

- Ja się przygotowuję, Max - ciągnęła Roxanne - nie możesz jednak zamykać dzikiego ptaka w klatce; musisz pozwolić mu latać, kiedy zechce, bo inaczej umrze.

- Ale...

- Słuchaj, kochaniutki, masz do mnie zaufanie? - Położyła mu dłoń na ramieniu.

- No mam, ale...

- To mi w zupełności wystarczy. - Roxanne odwróciła się do młodej pary. - Wy się teraz porządnie wyśpijcie. Jutro cały pociąg będzie hulać na waszą cześć. I mogę wam jedno obiecać: Roxanne Jordan i podróży pociągiem Southwest Chief nie zapomnicie do końca życia.

Ludzie zaczęli powoli wychodzić. Tom stał w zupełnym oszołomieniu, nie wiedząc, co począć. W końcu podszedł do niego Max.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował się jeszcze napić - stwierdził. Przyrządził dwa koktajle i obaj usiedli. - Świetna jest ta Roxanne, co?

- No, świetna - odparł Tom nieobecny tonem. Max klepnął go w udo.

- Szkoda, że na wieczorze kawalerskim nie było tortu z dziewczyną w środku - powiedział. - Uznałem jednak, że w obecności kobiet nie wypada. Poza tym kolejarze też chyba się na to nie zgodzili.

Tom wreszcie skupił spojrzenie na reżyserze.

- Nie wiedziałem, że ty i Lelia... chodziliście ze sobą.

- Nie nazwałbym tego chodzeniem, Tom. To był tylko ten jeden raz, jeśli dobrze pamiętam. Pamięć już mi szwankuje. A właśnie, czy ja dobrze słyszałem, że ona ci zaproponowała małżeństwo?

Tom skinął głową.

- Kurczę, kobiety często robią takie rzeczy w dzisiejszych czasach. Czy to znaczy, że w razie rozwodu ona będzie płaciła alimenty tobie?

- Niczego nie będzie płaciła, bo nie zamierzam się z nią żenić.

- Słuchaj, nie chcę ci włożyć z butami w życie, ale Lelia to piękna kobieta. I podobno robi świetne pieniądze w filmach rysunkowych?

- Tak, między innymi w „Misiu Kuleczce”.

- Kuleczka... To udana rzecz. Zdaje się, że wnuk jednej z moich byłych żon za tym przepada. No więc dziewczyna ma kasę i chce za ciebie wyjść. Dlatego spokojnie się zastanów, chłopie, bo druga taka szansa może ci się nie trafić. Nie obraż się, jesteś przystojnym facetem i bardzo cię lubię, ale pierwszą młodość masz już raczej za sobą...

- Masz rację, Max. Jest piękna, jest bogata... lecz ja jej nie kocham.

Max napił się, oparł wygodnie i głęboko westchnął.

- Ja zrobiłem to czterokrotnie, Tom. A kto wie, czy mnie nie czeka jeszcze piąty raz.

- I kochałeś je wszystkie?

Reżyser pochylił głowę i nagle spowaźniał.

- Pierwsza była Patty - zaczął. - Pobraliśmy się zaraz po maturze. Wstąpiłem do wojska, a jak wyszedłem, przeprowadziliśmy się do Kalifornii. Mieliśmy dwójkę dzieci. Biedni byliśmy jak myszy kościelne, ale ona się nigdy nie skarżyła. Potrafiła wiązać koniec z końcem jak nikt inny. Potem wystartowałem w filmie. I akurat jak zaczęło mi się powodzić, Patty umarła. - Max umilkł, wpatrując się w krajobraz za oknem. - Tak, bardzo ją kochałem -

powiedział w końcu. - A pozostałe trzy? - Wzruszył ramionami. - No cóż, ożeniłem się, były jakieś dzieci, czasem bywało nawet miło, potem rozwód i tyle. Też je kochałem na swój sposób. Ale nie tak jak Patty. Gdyby żyła, nawet bym nie spojrzął na inną kobietę. Myślę, że pierwsza miłość ma w sobie zawsze coś wyjątkowego.

Teraz po prostu sobie żyję, staram się dobrze bawić, lecz nie bardzo mam z czego być dumny. Nie mam nic trwałego, Tom. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

- A ty byłeś kiedyś żonaty? - Reżyser spojrzął na niego spod oka. Tom skinął głową. - Kochałeś ją?

- Może ujmę to tak: to nie była Patty.

Max przysunął się do niego i rzekł cichym głosem:

- Jak już mówiłem, nie chcę się wtrącać, ale czy mógłbyś mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

- Chyba tak.

- Dlaczego nie jesteś z Eleanor?

- Przecież widziałeś, co było. Wypadła stąd jak bomba.

- No, wiesz, trudno się jej dziwić. Twoja dziewczyna przyleciała specjalnie aż z Los Angeles, żeby ci się oświadczyć. Może nie jestem specem od spraw sercowych, lecz to chyba nie jest najlepszy sposób na odzyskanie miłości swego życia.

- Lelia zrobiła to z własnej inicjatywy, Max. To nie moja wina. Naprawdę się starałem odzyskać Eleanor.

- Wiesz co?

Tom spojrzął na niego pytająco.

- Jeżeli ona jest rzeczywiście twoją Patty, to postaraj się jeszcze bardziej - powiedział Powers.

## Rozdział 25

Eleanor była w swoim przedziale. Miała właśnie połknąć olbrzymich rozmiarów tabletkę nasenną, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Idź sobie! - krzyknęła.

- Eleanor, to ja.



Przez chwilę trwała w otepieniu, usiłując zmusić skołatany mózg do rozpoznania głosu.

- Julie? - Zaskoczyła wreszcie i otworzyła drzwi. Przyszła panna młoda stała za nimi ze łzami w oczach. W ręce trzymała długi pokrowiec na ubranie.

- Co się stało? - spytała Eleanor. - Znów zadzwonili rodzice Steve'a?

Dziewczyna pokręciła głową.

- I moi też nie zadzwonili - powiedziała.

- Nie bardzo rozumiem. - Eleanor zrobiła zdziwioną minę.

- Mogę wejść na chwilkę?

- Co? A tak, jasne. - Eleanor wrzuciła tabletkę do kieszeni. - Ale jest bardzo późno, ciebie zaś czeka jutro wielki dzień. Naprawdę powinnaś odpocząć.

Obie kobiety przysiadły na skraju łóżka.

- No więc twoi rodzice nie zadzwonili i jesteś smutna, bo... - zaczęła łagodnym głosem starsza z nich.

- Chyba każda dziewczyna ma taką wizję, że rodzice są przy niej, kiedy wychodzi za mąż, prawda? - odparła Julie. - Większość moich koleżanek miała kompletnego hopla na punkcie swojego ślubu, pilnowały każdego szczegółu. Ale nie powiem, że bym się czuła bezradna czy coś takiego. Tylko że człowiek jednak sobie wyobraża, jak to ojciec oddaje swoją małą dziewczynkę, jak mama cię uspokaja, że wszystko będzie dobrze, i tak dalej. Ja tego nie będę miała.

Julie wybuchnęła płaczem i szlochała przez pewien czas w objęciach Eleanor. W końcu przestała i otarła oczy.

- Przepraszam - odezwała się zakłopotana. - Jestem dorosła i powinnam sobie jakoś z tym radzić, lecz czuję się taka samotna.

Eleanor przyniosła jej zwilżony ręcznik do wytarcia twarzy.

- Masz absolutnie prawo tak się czuć - powiedziała. - A ze mnie jest okropna druhna.

- Ależ nie. Poproszono cię w ostatniej chwili. Właściwie wcale mnie nie znasz.

- To nie jest takie istotne. Jesteśmy kobietami, a ty masz jutro wziąć ślub. To mi powinno wystarczyć.

- Czy byłaś kiedyś mężatką?

- Nie - odparła cicho Eleanor - ale sporo o tym myślałam. I też wyobrażałam sobie wszystkie szczegóły, włącznie z rodzajem przekąsek i ustawieniem kwiatów na stole. Teraz już coraz rzadziej o tym marzę.

- Dlaczego?

- To chyba kwestia upływu czasu. Lata mijają i prawdopodobieństwo tego wydarzenia stale się zmniejsza.

- Wystarczy tylko, żeby ktoś cię pokochał, oczywiście z wzajemnością.

Eleanor się uśmiechnęła, choć tak naprawdę miała chęć zapłakać jeszcze rzewniej niż Julie przed chwilą.

- Wystarczy, to prawda - odparła. - Co w tym jest? - Wskazała pokrowiec na ubranie, leżący na łóżku.

Dziewczyna popatrzyła na nią speszona.

- To moja suknia ślubna. Jeszcze jej ani razu nie przymierzyłam po kupieniu. Pomyślałam sobie... no, wiesz...

- Cudowny pomysł!

- A może ci przeszkadzam? Sama powiedziałaś, że jest późno; na pewno jesteś bardzo zmęczona.

- Właściwie byłam. Ale już nie jestem.

Eleanor pomogła Julie włożyć suknię, prostą, acz elegancką, w kolorze kremowej bieli. Kiedy sięgnęła po welon, dziewczyna sama go wzięła i nałożyła swej druhnie na głowę. Stały obie przed wysokim lustrem.

- Ślicznie wyglądasz - powiedziała Eleanor.

- Ty też. - Julie wybuchnęła niepohamowanym śmiechem i Eleanor w końcu przyłączyła się do niej.

Później, gdy przyszła panna młoda się przebrała i poszła do łazienki, jej druhna ponownie nałożyła welon i przytrzymując na sobie suknię, przeglądała się w lustrze.

- Ellie?

Spojrzała w stronę drzwi, które uchyliły się trochę pod wpływem szarpnięć pociągu. Przez szparę zaglądał Tom. Eleanor zastygła, niezdolna się poruszyć, i stała tak w milczeniu, przesłonięta ślubną suknią innej kobiety.

- Ellie?

Z łazienki wyszła Julie i zobaczyła ich oboje.

- Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłam - szepnęła.

Eleanor opuściła suknię, zdjęła welon i spakowała wszystko do pokrowca. Wręczyła go Julie, przytuliła ją i powiedziała z uśmiechem:

- Śpij dobrze. A rano twoje życie się zmieni, i to na lepsze.

Dziewczyna pocałowała ją w policzek i wyszła, mijając Toma, wciąż tkwiącego przy drzwiach, ze zmieszaną miną.

- Czego chciałeś, Tom? - spytała Eleanor.

- Pięknie wyglądałaś w tej sukni.

- Jest już późno; chyba powinienes być z Lelią?

- Ja jej nie kocham, Ellie!

- No, ale ona najwyraźniej kocha ciebie. Musiałeś jej okazać jakiś afekt albo inaczej się zdeklarować. Nie wierzę, żeby kobieta przyleciała z tak daleka, by ci się oświadczyć, tylko z czystej przyjaźni albo dobroci. Szczerze mówiąc, nie wygląda na tego rodzaju osobę.

- Zrozum, to nie był taki związek, jak myślisz!

- Naprawdę? To jaki był? - Założyła ręce na piersi i spojrzała na niego wyczekująco.

- Nie wiem, dlaczego ona to zrobiła. Jest pokręcona.

- Od jak dawna się spotykacie?

- Od trzech lat - wybąkał Tom. - Ale z doskoku.

- Z doskoku? Od trzech lat?

- Tak!

- I myślałeś, że ona się tym zadowoli? Spoglądał na nią bez słowa, z tępym wyrazem twarzy.

- A więc ona chciała stałego związku, a ty nie. Tobie oczywiście bardzo odpowiadało to spotkanie się z doskoku, dzielenie się tylko przyjemnościami, a nie przykrościami, i solowe akcje, kiedy ci przyszła na to ochota.

- To nie tak, Ellie. Ja już nie jestem taki.

- Akurat. Nie zmieniłeś się ani na jotę!

- Z inną kobietą byłoby inaczej. Eleanor potarła skronie.

- Słuchaj, jutro mamy wystąpić na ślubie. Nie naszym. Chciałabym się przespać.

- Nie możemy tego tak zostawić.

- Oczywiście, że możemy. I zostawimy.

Tom wyciągnął ręce, chcąc ją wziąć w objęcia, lecz odepchnęła go zdecydowanie.

- Jutro zrobimy, cośmy obiecali, potem dojedziemy do Los Angeles i każde pójdzie w swoją stronę. Tym razem już na dobre.

- Ellie!

- Dobranoc, Tom. - Eleanor stanowczym gestem zasunęła drzwi.

## Rozdział 26

Ponad płaskowyżem Kolorado w pobliżu granicy z Nowym Meksykiem wstawał świt. Słońce jednak zniknęło całkowicie za zasłoną ciemnych, groźnych chmur. Ziemię zalegała gruba pokrywa śniegu, który zasypał wszechobecne kępy krzewów bylicy. Większość pasażerów zjadła wczesne śniadanie, bo wieść o ślubnej uroczystości rozeszła się lotem błyskawicy. Ogólna ekscytacja rosła w miarę zbliżania się do La Junty. Niemal wszyscy pasażerowie i załoga pociągu stłoczyli się w wagonie wypoczynkowym, gdzie ledwie starczyło miejsca dla weselnego orszaku, składającego się z panny młodej, pana młodego oraz drużny i drużby, którzy w ogóle nie patrzyli na siebie. Chociaż szli pod rękę, czuło się, że rozdziela ich jakaś niewidzialna siła.

Sama ceremonia przebiegła bez szczególnych zakłóceń. Wynajęty przez Maxa zespół muzyczny, który wsiadł do pociągu wcześniej rano, odegrał tradycyjny marsz weselny i kilka innych melodii. Kristobal wszystko filmował, a Max starał się reżyserować, przy czym większość publiki nawet nie wiedziała, że całość jest dziełem słynnego twórcy filmów. Eleanor i Tom odegrali przydzielone im role, chociaż ten ostatni zagubił się trochę i najpierw nie mógł znaleźć obrączki, a potem zamiast wręczyć ją Steve'owi, omal jej nie nałożył na palec Eleanor. Dalej wszystko potoczyło się już jak należy i Tom mógł stanąć z tyłu, by poroztrzasać w skrytości ducha najróżniejsze warianty samobójstwa.

Młoda para pocałowała się dokładnie w chwili, gdy Southwest Chief stanął w La Juncie. Julie wzniosła do góry zaciśniętą pięść i zakrzyknęła: „Tak!”.

Ze stacji powinno być wyraźnie widać wysoki Pike's Peak, lecz nawet tę strzelistą skałę spowily tego dnia gęste chmury. Podczas całej uroczystości Herrick Higgins siedział w swoim kącie, obserwując złowrogie niebo.

Wszyscy rzucali ryż, a za oknem robili to samo pracownicy stacji w La Juncie. Białe ziarenka znikwały wśród wirujących płatków śniegu.

Zgodnie z planem doczepiono tutaj Chiefowi trzecią lokomotywę, żeby ułatwić mu przejazd przez przełęcz. Kiedy pociąg opuszczał stację, widzowie na peronie wznosili okrzyki na widok transparentu z napisem „Świeżo po ślubie”, wywieszzonego na ostatnim wagonie wraz z klekoczącym łańcuchem z uwiązanych na linie pustych puszek. Takiego ślubu można było tylko pozazdrościć.

Następnie rozpoczęło się przyjęcie weselne; gwoździem programu była sfinansowana przez Maxa wielka wyżerka. Podczas gdy goście się opychali, a wynajęty fotograf robił pamiątkowe zdjęcia, w wagonie zjawiała się Roxanne w wyjątkowo strojnym kostiumie, z pewnością nienależącym do jej służbowego wyposażenia. Za nią tłoczyli się chłopcy z chóru, również odświętnie wystrojeni. Goście się uciszeli, muzycy stanęli w gotowości i Roxanne

wraz chórem rozpoczęli występ. Śpiew był potężny, a jednocześnie delikatny i piękny. Odśpiewała klasyczne pieśni, następnie bluesa, trochę hip-hopu i wreszcie zestaw popularnych przebojów, od Nat King Cole'a po Sinatrę. Potem zmusiła Steve'a i Julie do „Think... Think...”, i po brawurowym „Chain of Love”, wcielając się po mistrzowsku w Arethę Franklin, wykonała sztandarowy kawałek królowej soulu, „Respect”. Słuchacze tak się już rozochocili, że skandowali chórem wraz z nią każdą literę: R-E-S-P-E-C-T! Głos pieśniarki niósł się donośnie, a ona sama poruszała się wymyślnym tanecznym krokiem, z gracją i lekkością przeczącą jej okazałej posturze. Pot spływał po twarzy i szyi Roxanne, a kiedy wykrzykiwała serię finałowych „Amen!”, wyglądała niczym nawiedzona przez niebiańską moc.

Max rozsiadł się wygodnie, z uśmiechem na twarzy. Na oczach Roxanne podał ceremonialnym gestem kartki ze scenariuszem, a ona pociągnęła go do tańca, a potem przyłączyli się do nich pozostali goście. Capitol Limited miał już okazję oglądać takie widowiska, lecz w pociągu Southwest Chief była to zupełna nowość.

Lelia chwyciła za rękę Toma, udało mu się jednak wywinąć pod pretekstem nudności, co nie do końca było udawane. Miał za sobą naprawdę ciężką noc, spędzoną głównie w ogólnej toalecie na zwracaniu alkoholu, który w siebie wlał. Biedna, opuszczona Lelia rozejrzała się i spostrzegła Kristobala pakującego sprzęt wideo.

- Zatańczysz? - zapytała przystojnego młodzieńca. Ten podniósł głowę i zrobił wielkie oczy na widok jej świetnej figury i stroju. - Pracujesz dla Powersa, prawda? - spytała, a on skinął głową. - Jestem Lelia Gibson.

Kristobal zrobił jeszcze większe oczy.

- Lelia Gibson, głos Misia Kuleczki? - wykrztusił.

- Znasz ten serial? - spytała zaskoczona.

- Czy znam? To był mój ukochany film w dzieciństwie! Mój młodszy braciszek wciąż go ogląda. Wszyscy siostrzeńcy i bratankowie też za nim przepadają. Jesteś rewelacyjna. Widziałem cię wczoraj na imprezie, lecz nie usłyszałem nazwiska. A znam cię przecież tylko z głosu, rozumiesz? Lelia wyglądała na lekko zbulwersowaną.

- Oglądałeś „Misia” jako dziecko? O rany, to ja już tak długo w tym występuję?

Kristobal był tak oszołomiony, że całkiem zapomniał o masce opanowania i profesjonalnej wyniosłości.

- „Wiewiórka Chrupka”, „Fretka Fredzia”, „Piotruś Pomarańczowy Okruszek”... to wszystko już klasyka. Pamiętam, że płakałem, kiedy Piotruś wpadł pod rynnę i zmył się z niego cały kolor. Jakaż głębię przeżyć potrafiłaś wydobyć z tej sceny! Nie mogłem się potem

uspokoić całymi tygodniami. Słuchaj, nie będę już się rozwodził, po prostu nie mogę uwierzyć, że jedziesz tym pociągiem. Czy mógłbym cię poprosić o autograf? Moja rodzina nie uwierzy, jak im opowiem. Braciszek dostanie wariacji!

- Ależ oczywiście, że dam ci mój autograf, ee...

- Ojej, gdzie moje maniery. Kristobal Adams - przedstawił się i potrząsnął jej dłonią tak gwałtownie, że omal nie wyrwał drobnej kobiety z jej obłędnie drogich szpilek na dziesięciocentymetrowym obcasie.

- Wiesz co, Kristobalu? Podpiszę ci wszystko, co zechcesz, jeżeli ze mną zatańczysz - powiedziała Lelia.

Zdumiony młody człowiek skłonił się głęboko i ruszyli w tany.

Podczas gdy wszyscy byli zajęci ślubem i późniejszą zabawą, niemal dwadzieścia przedziałów znów zostało ograbionych z różnych wartościowych rzeczy, od zegarków i pierścionków po bransoletki, a nawet buty od Magliego, własność Maxa Powersa. Złodziej ponownie umknął niezauważony, choć w głębi korytarza zamajaczył mu ktoś, kto mógłby ewentualnie nabrać podejrzeń. Alarm jednak nie został wszczęty i złoczyńca wmieszał się z powrotem w tłum imprezowiczów. Wór z łupem był wypchany jak nigdy dotąd, a rabusiowi została jeszcze doba do planowego przyjazdu do Los Angeles.

Burza zawisła w nocy nad granicą Kolorado z Nowym Meksykiem. Chmury zostały wręcz uwięzione w miejscu przez obszary wysokiego ciśnienia i zrobiły się tak ciężkie od wilgoci, że coś musiało w końcu puścić. I puściło około trzeciej nad ranem, osiem godzin przed przyjazdem Chiefa. Przyrządy do pomiaru opadów napełniły się śniegiem w ciągu godziny. Niezwykle mocne mierniki szybkości wiatru przewracały się po trzydziestu minutach. Samolotom pasażerskim polecono omijać ten obszar szerokim łukiem, a wszystkie okoliczne ośrodki narciarskie zostały zamknięte.

Przełęcz Raton doświadczyła już tego roku pięciu zimowych nawałnic. Śniegowe czapy na szczytach gór utrzymywały się tam dzięki minusowym temperaturom i własnemu ciężarowi. Teraz gdy rozpętała się kolejna zawierucha, wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy: temperatura, o dziwo, wzrosła o kilka stopni, śnieg zaś padał tak gęsto i szybko, że nie zatrzymywał się na tym starym, lecz tworzył zaspę ześlizgujące się kolejno w dół górskich stoków. W niezwykle krótkim czasie cały ten proces nabrał ogromnego rozpędu. Około siódmej rano warunki stały się niemal tragiczne. Później, o dziewiątej trzydzieści, burza nagle przycichła. Synoptycy uznali, że front atmosferyczny się wyczerpał i wkrótce się rozproszy, a potężne wiatry przepędzą nawałnicę ku północy i wschodowi.

Ktoś powiedział kiedyś przy Marku Twainie, podczas nagłej ulewy, że chciałby, żeby przestało padać. Pisarz odparł na to, że szanse są spore, ponieważ zawsze przestaje. Zauważył przy tym, że pogoda w ogóle nie naraża nikogo na niewygodę. Jeżeli nie podoba nam się ta, która jest, wystarczy poczekać, a z pewnością się zmieni. Twain niezbyt sobie cenił prognozy pogody, uznając dość sensownie, że próba naukowego przewidywania zamiarów Matki Natury to w najlepszym razie próżny trud, a w najgorszym głupie ryzyko.

Od jego czasów niewiele się zmieniło, gdyż obserwujący burzę meteorolodzy, wyposażeni w satelity, radary i inne nowoczesne wynalazki, zrobili to, co często im się zdarza: pomylili się. Zawierucha tylko odpoczywała. Miliony ton wilgotnego powietrza i porywiste szkwały znad Pacyfiku już się szykowały, żeby umieścić ją w podręcznikach historii.

## Rozdział 27

Goście weselni rozeszli się w końcu do swoich przedziałów, lecz Max z Misty, Kristobal, Lelia i Herrick Higgins postanowili pozostać jeszcze w wagonie wypoczynkowym. Tom i Eleanor wyszli osobno zaraz po zakończeniu występu Roxanne i odtąd się nie pokazali. Roxanne zajęła się swoimi obowiązkami oraz chłopcami z chóru, którzy wrócili po ciężkiej pracy do swego wagonu. Nowożeńcom przydzieliła natomiast jeden z wolnych luksusowych apartamentów, gdzie mogli - bez wątplenia z wielkim animuszem - rozpocząć swój miodowy miesiąc.

Southwest Chief minął jakiś czas temu Trinidad w stanie Kolorado i kierował się już bezpośrednio ku przełęczy Raton. Pasażerowie pilnie obserwowali jego wspinaczkę. W miarę jak rosła stromizna i przybierało na sile basowe buczenie trzech lokomotyw, zaczął narastać ich niepokój. Na każdym zakręcie torów widzieli masy śniegu, odgarniane na boki przez pług pierwszej lokomotywy. To, że maszynista w ogóle cokolwiek widział poprzez wirującą biel, wydawało się graniczyć z cudem.

- A co by się stało, gdyby któryś wagon się odczepił? - zapytał Kristobal. - Polecielibyśmy w przepaść?

- Nie - odparł Higgins. - Zadziałałby automatyczny układ hamulcowy. Technika kolejowa poszła trochę do przodu przez te wszystkie lata. - Pokazał za okno. - W najwyższym punkcie znajdziemy się na wysokości dwóch tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza.

- Bardzo wysoko - stwierdził młody człowiek.

- To nie jest jeszcze najwyższy punkt na trasach kolejowych w kraju. Najwyżej, bo aż na dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt metrów, wjeżdża California Zephyr po minięciu Denver. Ale to jeszcze nic. W Ameryce Południowej, nie pamiętam kraju, pociąg dociera tak wysoko, że pasażerom rozdaje się maski tlenowe. Przejedziemy przez ośmiusetmetrowy tunel pod przełęczą i znajdziemy się w Nowym Meksyku. Dalej już jest zjazd na wschodnią stronę gór Sangre de Cristo, do stacji w Raton. Raton leży na dwóch tysiącach metrów, więc zjazd jest dość stromy, za to nie trwa zbyt długo.

Misty chwyciła Maxa za ramię, wyraźnie poruszona.

- Powiedział pan dwa tysiące metrów? - zwróciła się do Higginsa.

Kolejarz spojrział na nią znad filiżanki z kawą.

- Tak jest, szanowna pani.

- Jest pan pewien, że dokładnie tyle?

- Oczywiście. Te pomiary są bardzo precyzyjne.

- O mój Boże! - zakrzyknęła wróżka.

- Co się stało, dziecko? - zapytał Max.

- Nie rozumiecie? Przecież to sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć stóp! Najgorsza z możliwych kombinacji cyfr, jeszcze gorsza od trzech szóstek.

Max nagle pobladł.

- Masz rację, znak szatana plus jeszcze jedna szóstka. Okropnie zła karma.

- Czy to naprawdę taki problem? - zapytał nerwowo Kristobal.

- W moim fachu uważamy, że gorzej już być nie może - rzekła z emfazą Misty. - Czy można zatrzymać ten pociąg?

- Powinna być taka linka do hamowania, widziałam w jakimś filmie - powiedziała Lelia. Siedziała przy Kristobalu, wczepiona trwożliwie w jego ramię.

- No nie, tego się już nie stosuje - odparł Higgins. - Spokojnie, drodzy państwo, wszystko będzie dobrze... - Zerknął na zegarek. - Już niedługo wjedziemy do tunelu.

- Czy tam jest ciemno? - dopytywał się Kristobal.

- Jak to w tunelu, synu - odparł rzeczowo Higgins. - Ale to długo nie potrwa. Wjazd, wyjazd i jesteśmy w Raton.

Tom przyglądał się trzymanemu w dłoni pierścionkowi z diamentem. Należał do jego matki i od jej śmierci zawsze miał go przy sobie. Właściwie omal nie wyciągnął go przez pomyłkę na ślubie i nie wręczył Steve'owi zamiast obrączki. To z kolei zbiło go z tropu i



sprawiło, że ze złotym kółkiem zwrócił się ku Eleanor, zamiast przekazać je panu młodemu, żeby nałożył na palec narzeczonej.

Wrzucił pierścionek do kieszeni, przejrzał się w lustrze, przyglądał włosy, poprawił krawat pożyczony od Kristobala na uroczystość, wziął głęboki oddech i powtórzył sobie po raz setny, że zrobi dokładnie to, co zamierzał.

Kilka minut później zapukał do drzwi przedziału Eleanor. Odsunęła kotarę, zobaczyła go i zasunęła ją z powrotem. Usłyszał szcęk zatraskiwanego zamka. Zapukał ponownie.

- Ellie! - zawołał. - Naprawdę muszę z tobą porozmawiać!

- Odejdź w tej chwili!

- Chcę cię o coś zapytać, i to właśnie teraz. Otworzyła drzwi tak gwałtownie, że metal zadzwonił o metal.

- Chyba już jaśniej nie mogę się wyrazić, prawda? - rzuciła ze złością.

Tom sięgnął do kieszeni po pierścionek i na drżących nogach zaczął osuwać się na klęczki.

Kiedy Chief wjechał do tunelu, wewnątrz pociągu pograżyło się w ciemności. Potem wypadki rozegrały się w przerażającym tempie. Pokrywa śnieżna, zalegająca południową część górskiego łańcucha, od strony torów, rozerwała się pod naporem potężnych porywów wichury i ton świeżo spadłego śniegu. Według oficjalnych danych lawina zsunęła się o jedenastej piętnaście. Runęła z olbrzymią prędkością, niosąc tyle śniegu, że stopiony mógłby utworzyć spore jezioro o niemałej głębokości. Na dole uderzyła w płotek oporowy, który osłaniał linię kolejową od strony górskich zboczy, a poza tym miał wbudowany system sygnalizacji zagrożeń na torach. Siła uderzenia była taka wielka, że nie tylko przewróciła stalowe ogrodzenie, lecz wyrwała je razem ze wspornikami, ciskając niżej.

Kolizja spowodowała automatyczne wysłanie sygnału do dyspozytora ruchu linii kolejowych Amtrak, a ten polecił maszyniście Chiefa natychmiast zatrzymać pociąg i czekać na rozwój wypadków.

Pociąg w tym momencie wyjechał właśnie z tunelu pod przełęczą Raton. Maszynista włączył hamulce błyskawicznie, tak jak wymagała tego powaga sytuacji. Właściwie nie potrzebował nawet ostrzeżenia z centrali, gdyż widział przerażający spektakl przez przednią szybę lokomotywy, choć z dużej odległości. Olbrzymia masa śniegu i kamieni rozlała się tymczasem na boki i pokaźna odnoga lawiny zsuwała się wprost na Chiefa. Jej śmiertelny potencjał był tak wielki, że maszynista, który jeździł na tej trasie już od czternastu lat, zaczął się w duchu żegnać z żoną i dziećmi. Podczas swej pracy na kolei przeżył już niejedno, lecz

nic nie dorównywało żywiołowi, który za chwilę miał runąć na pociąg. Zamknął więc oczy, gdyż w wyobraźni widział już Chiefa i jego pasażerów pogrzebanych.

Kiedy pociąg zatrzymał się z nagłym szarpnięciem, wszyscy od razu zrozumieli, że nie jest to zwyczajny postój. A kiedy zaczął drzeć, jakby pod wpływem trzęsienia ziemi, byli już tego pewni. Na szczęście nie musieli oglądać widoku, który ujrzał maszynista, do ich uszu dotarł jednak narastający huk, rozpoznany od razu przez kilka osób, które już kiedyś słyszały taki odgłos.

- To lawina! - krzyknął Tom, patrząc w okno. Eleanor zbladła jak papier.

- O mój Boże.

Tom zerwał z łóżka materac, rzucił ją na podłogę, nakrył materacem i przycisnął go własnym ciężarem. Pociąg wciąż trząsał się i wibrował, a odgłos zsuwającej się śnieżnej pokrywy stawał się ogłuszający.

Pasażerowie w wagonie wypoczynkowym pochowali się pod stołami. Niektórzy spisywali na serwetkach ostatnią wolę, inni usiłowali mamrotać dawno zapomniane modlitwy. Max i Misty przyłgnęli do siebie. Lelia z Kristobalem zrobili to samo, a jego długie ramiona zamknęły ją w opiekuńczym uścisku. Herrick Higgins także schował się pod stół, lecz patrzył w okno. Jego najgorsze obawy ziściły się z nieoczekiwaną gwałtownością.

Jakimś cudem impet lawiny wyczerpał się, zanim zdążyła zrzucić pociąg z torów. Jednakże gdy maszynista otworzył w końcu oczy, ujrzał przed sobą jedynie nieprzeniknioną ścianę śniegu. Udało mu się skomunikować z dyspozytornią i dowiedział się, że druga lawina zerwała ogrodzenie przy przeciwległym krańcu tunelu. Gdyby stało się to minutę czy dwie później - lub wcześniej - Chief znalazłby się na dnie wąwozu, a żaden z pasażerów nie musiałby się już zajmować nadchodzącymi świętami. Mielicie szczęście, poinformował maszynistę dyspozytor, chociaż ten pierwszy widział to przecież na własne oczy. Pociąg jednakże został uwięziony i nie mógł ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Zawierucha zaś dopiero rozkręcała się na dobre.

Synoptycy ogłosili zaktualizowaną prognozę, tym razem rzetelniejszą. Region nawiedziła burza śnieżna, jakiej nie oglądano tu od trzydziestu lat. Poprzednia kosztowała życie ponad sześciuset osób, z których część, zupełnie odcięta od kontaktu z cywilizowanym światem, zmarła po prostu z głodu. Ludzie ci mieszkali w odległych, trudno dostępnych partiach gór. Southwest Chief także stał teraz bezradnie w podobnej okolicy.

Higgins spoglądał w niebo. Górne wiatry zaczęły schodzić w dolinę, tłukąc o pociąg z taką siłą, że aż odchyłał się niebezpiecznie na resorach. Mężczyzna po raz pierwszy w swej kolejarzkiej karierze znalazł się w takiej sytuacji. Patrząc przez okna z lewej strony, można

się było przekonać, jak głęboka jest przepaść. Jako że śnieg wciąż padał, możliwa była kolejna lawina. Tym razem Chief mógł runąć w dół razem z nią.

## Rozdział 28

Po godzinie Roxanne nadała przez radiowęzeł oficjalny komunikat, wyjaśniając pasażerom, co się wydarzyło i jakie poczyniono kroki, by pomóc uwięzionemu Chiefowi. Właściwie nie poczyniono ich prawie wcale, gdyż niewiele można było w tym momencie zrobić. Tory zostały zablokowane zarówno w kierunku Los Angeles, jak i w powrotnym, do Chicago. Pociąg tkwił między dwiema górami śniegu, wokół szalała zamieć i najlepszym wyjściem było w tej sytuacji zachowanie spokoju i pozostanie w swoich przedziałach. Pasażerowie nie bardzo jednak potrafili się zastosować do tych wskazówek i błąkali się po korytarzach, w nadziei na dalsze informacje.

Herrick Higgins przeszedł się do lokomotywy i po rozmowie z maszynistą powrócił w jeszcze bardziej minorowym nastroju. Tom i Eleanor dołączyli do Maxa i Misty i siedzieli w wagonie wypoczynkowym, to patrząc przez okno na śniegową zasłonę, to drżąc z obawy przy każdym mocniejszym uderzeniu wichury o ściany pociągu. Co jakiś czas spoglądali także na lewą stronę, gdzie ziała sześćdziesięciometrowa przepaść. Lelia wycofała się dyskretnie do swego przedziału, zabierając ze sobą nowego towarzysza, Kristobala.

- Czułam, że stanie się coś złego - powiedziała Misty. - Cztery szóstki, nie było szans.

- No cóż, ja tędy jeżdżę od lat - rzekł Higgins - i nigdy coś takiego się nie wydarzyło. Pociąg to najbezpieczniejszy środek lokomocji, według statystyk bezpieczniejszy nawet od samolotu.

- A jeśli zejdzie jeszcze jedna lawina? - zapytała Misty. - I zrzuci nas do przepaści?

- Z Matką Naturą nigdy nic nie wiadomo - odparł. - Ale te dwie zabrały już chyba z gór cały śnieg.

- No i co dalej? - Tom spojrzał na starego kolejarza. - Czy dotrze do nas jakaś pomoc? Przecież nie możemy tu czekać do wiosny.

- Nie możemy. Niełatwo jednak będzie się do nas dostać. Tor jest własnością dobrej fomy przewozowej, mają niezbędne wyposażenie i tak dalej, ale w takich górach śniegu i przy tej pogodzie niewiele mogą zrobić. Pogoda może się poprawić, lecz tu jest strasznie mało miejsca na jakiegokolwiek manewry. Żaden samolot nie da rady wylądować, nawet helikopter.

- To bardzo pocieszające - skrzywił się Max. Przyszła Roxanne. Była bardzo zmęczona. Przez ostatnią godzinę uspokajała pasażerów, pocieszała chłopców z chóru i nawet w tych warunkach starała się dbać o podróżnych. Usiadła, oddychając ciężko.

- Do tego wszystkiego - powiedziała - wygląda na to, że złodziej z Capa jedzie dalej z nami. Ludzie znów zgłaszają, że im coś zginęło.

- Niesamowite. - Max pokręcił głową, po czym wymienili z Misty spojrzenia.

- Dobrze chociaż - rzekł Higgins - że w La Juncie dołączono trzecią lokomotywę. Dzięki temu mamy dodatkowe źródło energii.

Roxanne pokiwała głową na potwierdzenie.

- Co to oznacza? - zapytał Max.

- Energia zasilająca oświetlenie, ogrzewanie i tak dalej pochodzi z generatorów napędzanych silnikami dieslowskimi w lokomotywach. Nazywa się to zasilaniem czołowym.

- Więc kiedy nam zabraknie paliwa, wysiądzie też prąd - skwitował Tom.

- Zgadza się. Ale dzięki dodatkowej lokomotywie zyskujemy na czasie.

- Ile zyskujemy? - zapytał Max.

- Trudno powiedzieć. Tankowaliśmy w Kansas, a następnie powinniśmy uzupełnić paliwo w Albuquerque, prawie czterysta kilometrów stąd.

- Pociąg zużył sporo paliwa, podjeżdżając pod górę, więc baki nie są zbyt pełne - zauważył Tom, a Higgins potwierdził to skinieniem głowy. - Czyli jest to raczej kwestia godzin, a nie dni, zanim wysiądzie prąd.

- Maszynista robi wszystko, żeby oszczędzać paliwo - odparł kolejarz.

- A nie można by zebrać wszystkich pasażerów do kilku wagonów? - zapytał Max.

- Nie, to by nic nie dało. Silniki wytwarzają energię jak w sporym hotelu i czy się ogrzewa trzy wagony, czy dziesięć, zużycie paliwa jest takie samo. Obmyśliliśmy z maszynistą pewną strategię. Będzie na zmianę przełączał zasilanie. Jedna lokomotywa będzie zasilala pociąg w prąd jak na postojach, a pozostałe będą pracowały tak, by spalać minimalną ilość paliwa. To może dać spore oszczędności.

- Dlaczego nie można po prostu zgasić niepotrzebnych silników? - spytała Eleanor.

- Ponowne uruchomienie pożarłoby bardzo dużo oleju napędowego - wyjaśniła Roxanne.

Higgins pokiwał głową.

- Jest jeszcze inny powód - dodał. - W pociągach nie stosuje się odmrażacza w płynie chłodnicowym, bo to zwiększa zużycie wody. Więc żeby przewody nie zamarły, silniki

muszą pracować na okrągło. Przy tej temperaturze na zewnątrz zaczęłyby zamarzać w niecałą godzinę po odłączeniu ogrzewania. Nie mielibyśmy wody w kuchni ani w toaletach.

- Jak to dobrze, że uzupełniliśmy zapasy żywności w Kansas City - powiedziała Roxanne. - Zaczniemy racjonować od zaraz, bo nie da się przewidzieć, jak długo tu postoiemy.

- Wstała, by zabrać się do pracy. - Na pewno będę mogła liczyć na waszą pomoc, prawda?

Wszyscy pokiwali głowami, a ona obdarzyła ich krzepiącym uśmiechem i oddaliła się.

Cztery godziny później zapadł zmrok. Podróżni pochowali się w swoich przedziałach i owinęli kocami. Wielu zastanawiało się nad tym, co będzie, jeśli przyjdzie im tu umrzeć.

Tom zajrzał do księdza Kelly'ego. Duchowny czytał Biblię.

- Kto wie, czy nie powinien ojciec odprawić mszy dla pasażerów. To by ich podniosło na duchu - stwierdził dziennikarz.

- Nie wszyscy przecież są katolikami - odparł ksiądz. Tom popatrzył za okno. Na zewnątrz wciąż szalała śnieżycą.

- To chyba nie ma teraz wielkiego znaczenia - powiedział.

- Obawiam się, że trochę już wyszedłem z wprawy.

- Ee, proszę księdza, to jak z jazdą na rowerze. Tego się tak naprawdę nigdy nie zapomina.

Odwiedził następnie Maxa i Misty. Siedzieli przytuleni w swoim podwójnym apartamencie. Misty wciąż była przygnębiona, lecz Max odzyskał już rezon i chęć do żartów, mimo że skradziono mu buty.

- Ten kto je wziął, widocznie potrzebował ich bardziej ode mnie - oświadczył.

- Jesteś bardzo szczodry - rzekł Tom.

- I tak mam o wiele za dużo rzeczy, wierz mi. Ale powiem ci jedno, Tom; zrobimy z tego wszystkiego znakomity film. Oczywiście jeżeli przeżyję.

- Max! - ofuknęła go Misty.

- Zawsze wiedziałem, że umrę z wielkim hukiem, nie wpadłem jednak na to, że to się stanie w pociągu.

- Dzięki, Max, bardzo mnie pocieszyłeś.

- Dajże spokój, Misty, przecież wszystko i tak jest zapisane w gwiazdach. Powiedz nam lepiej, co będzie. Co mówią karty?

- Nie teraz.

- To znaczy, że z powodu jednej małej katastrofy nagle przestajesz w to wierzyć? Coś marna ta twoja wiara.

Misty westchnęła, wyjęła talię do tarota, potasowała i zaczęła wykładać karty na stolik. Początkowo zupełnie nie zwracała na nie uwagi, spoglądając nerwowo w okno przy każdym mocniejszym uderzeniu wichury. Po kilku kartach zaczęła się jednak koncentrować, a jej czoło przecięła głęboka zmarszczka.

- Zabawne - powiedziała w końcu.

- Co takiego? - zapytał Tom.

- Wygląda na to, że zostaniemy uratowani.

- To świetnie - rzekł Max. - A w jaki sposób?

- No właśnie. Wyszło, że przez coś na sześciu nogach.

- Na sześciu nogach? - zdumiał się Tom.

- Znowu szóstka - zauważył Max. - Już piąta z kolei. Czy to gorzej niż cztery szóstki?

- Nie, wyszło, że sześć nóg to ratunek. Tak jest w kartach, a karty nie kłamią.

Max wstał i podeszedł do barku.

- Ja tam muszę sobie strzelić kielicha, zanim się zjawi tych sześć nóg. Bourbona, Tom?

- Może później. Muszę załatwić parę spraw.

- Co na przykład?

- Na przykład znaleźć coś na sześciu nogach.

Wiadomość o uwięzionym pociągu trafiła do wszystkich krajowych i światowych agencji informacyjnych. Świat oczekiwał dalszego rozwoju wypadków. Niestety, chociaż w Ameryce nie brakowało ludzi i sprzętu do ratowania pociągu, Matka Natura miała inne plany i odmówiła współpracy. W taką pogodę nie mógł wystartować żaden samolot, a nawet gdyby mógł, nie miałby gdzie wylądować. Helikoptery także zostały uziemione. Wszyscy czekali na poprawę pogody. Ponieważ pociąg miał paliwo, ogrzewanie i zapas żywności, sytuacja - jakkolwiek poważna - nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia dla życia podróżnych, toteż nikt nie wszczynał takiego alarmu, jakiego by można oczekiwać. Czekaćcie cierpliwie, przekazano uwięzionym, pomoc w końcu do was dotrze.

W kwaterze głównej firmy Amtrak przygotowania do akcji ratunkowej szły jednak pełną parą. Wypadki toczyły się szybko. Ustanowiono łączność z firmą przewozową, do której należał ten odcinek torów, i obie instytucje obmyślały wspólnie strategię działania, aby wkroczyć do akcji, gdy ucichnie śnieżyca.

Zwrócono się z apelem do społeczeństwa o pomoc w postaci sprzętu i ludzi, choć w Amtraku wątpiono w jego skuteczność ze względu na bliskość Bożego Narodzenia.

Ktoś przytomny zadbał jednak, żeby w tekście znalazła się informacja o tym, że wśród uwieczonych w pociągu są między innymi Roxanne Jordan i „emerytowany” od niedawna pracownik kolei Herrick Higgins. W ciągu kilku godzin do centrali napłynęły tysiące telefonów i e-maili od kolejarzy z całego kraju. Wszyscy zgłaszali się na ochotnika do pomocy, gotowi nawet zrezygnować ze świąt.

Amtrakowi nie brakowało więc teraz ludzi, a i sprzęt miał się wkrótce pojawić. Nikt jednak nie mógł nic poradzić na pogodę, która ciągle się pogarszała.

## Rozdział 29

Ciemność na zewnątrz gęstniała. Słychać było jedynie odgłosy wiatru miotającego pociągiem. Ludziom niełatwo było zasnąć. Przy każdym skrzypnięciu czy zgrzycie wyobrażali sobie własną gwałtowną śmierć; nikt już nie myślał o odwiedzinach wesołego grubaska i jego reniferach.

Poza kluczową kwestią paliwa i żywności pojawił się kolejny kłopot, którego pasażerowie na szczęście nie byli świadomi, lecz obsługa pociągu, wraz z Higginsem, doskonale zdawała sobie sprawę z jego istnienia. Chodziło o śnieg zbierający się na dachach wagonów. Był to olbrzymi ciężar i choć wagony miały bardzo mocną konstrukcję, pokrywający je śnieg wystawiał jej wytrzymałość na poważną próbę. Wiatr był tu pewną pomocą, gdyż nieustannie zwiewał biały puch z dachów, jednak w to miejsce zaraz gromadził się nowy.

Większość pasażerów zrezygnowała z kolacji w restauracyjnym. Ludzie woleli pozostać w przedziałach, przekąsić byle co lub nie jeść wcale i tylko patrzeć bezradnie w okno. Zmniejszyło to na razie zużycie żywności, lecz w końcu musieli zgłodnieć, a zapas wystarczał jeszcze na dzień z kawałkiem. Roxanne wysłała na zewnątrz kilku mechaników, żeby sprawdzili, czy nie zamarzają biegnące pod pociągiem przewody. Zameldowali, że na razie nie. Chociaż ubrani w kilka warstw odzieży, po krótkim pobycie na dworze wrócili biali jak bałwany, trzęsąc się z zimna.

Najpoważniejszym problemem było paliwo. Higgins przedstawił swoje obawy Tomowi i Eleanor, gdy przyszli na kolację do wagonu restauracyjnego.

- Kiedy paliwo się wyczerpie, nasza sytuacja znacznie się pogorszy, i to błyskawicznie. Zero wody, rury popękają, wysiądzie ogrzewanie.

- Poza tym, zakładając, że do nas dotrą, jak ruszymy bez paliwa? - dodał Tom. - To nie samolot wojskowy, który może tankować w powietrzu.

- Ten problem da się rozwiązać. Mogą dołączyć następne lokomotywy z pełnymi bakami. Ale, tak jak powiedziałaś, najpierw muszą do nas dotrzeć. Byłem w pierwszej lokomotywie i widziałem zasy blokujące drogę. Są ogromne. Oczyszczenie tego też trochę potrwa.

- To może zamiast siedzieć i czekać, powinniśmy sami udać się po pomoc? - zasugerował Tom.

- Dokąd? - odezwała się Eleanor. - Przecież jesteśmy na kompletnym odludziu.

- A może masz jakiś pomysł, Heniek? - zapytał Tom. - Na pewno dobrze znasz teren wokół trasy.

Higgins zastanawiał się chwilę.

- Niby jest autostrada - powiedział w końcu. - Międzystanowa numer dwadzieścia pięć. Biegnie równoległe do linii kolejowej między Trinidadem i Raton, a potem odbija na północ, do Denver...

- No, autostrada to już coś - rzekł Tom. - Złapiemy jakiś samochód i pojedziemy po pomoc.

- Tylko że ją zamknęli z powodu śnieżycy - dokończył kolejarz.

- No dobra, co jeszcze?

Higgins zastanawiał się jakiś czas, lecz w końcu pokręcił przecząco głową.

- Nie, to na nic - stwierdził.

- Powiedz.

- Nie, to nie ma sensu - upierał się kolejarz.

- Słuchaj, nawet najgłupszy pomysł może mieć teraz sens. Może coś wykombinujemy.

Higgins wzruszył ramionami i przygarbił się.

- Znam pewien ośrodek tu w górach - powiedział. - Zimą ludzie przyjeżdżają tam na narty, a latem służy jako ranczo agroturystyczne dla mieszczuchów. Nazywa się The Dingo. Działa dopiero od kilku lat, lecz to duży obiekt, z dobrą bazą i licznym personelem. Byłem tam kiedyś z synami i poznaliśmy właścicieli, małżeństwo Australijczyków. Dorobili się na Wall Street i szukali jakiejś odmiany, więc ruszyli na zachód. Ale i tak nie ma jak tam dotrzeć. Teren jest bardzo trudny, strome zbocza i tak dalej. Latem to by było jakieś cztery godziny marszu, teraz jednak... w tych warunkach nie ma szans.

- Są szanse - odparł Tom. - Na nartach.

- Masz narty?



- Wybierałem się nad Tahoe. Mam też odpowiednie wyposażenie: kombinezon, buty, kompas, latarkę czołową i tak dalej; wszystko, co potrzeba.

- Ale ten teren jest naprawdę trudny, Tom.

- Jeździłem już po każdym terenie i w każdych warunkach, Herrick. Musisz mi tylko opisać, gdzie to jest, i podać jak najwięcej szczegółów.

- Naprawdę uważasz, że możesz dać radę? - spytał stary kolejarz.

- Mogę obiecać, że zrobię, co się da. Nie mamy już nic do stracenia, prawda?

- A twoje życie? - zapytała Eleanor.

- Może życie to moje życie, tak czy nie? I nikt po mnie nie będzie płakał.

Po tych słowach Eleanor wstała i opuściła wagon.

Higgins zorganizował szybko naradę w celu omówienia sprawy, z udziałem kierownika pociągu, maszynisty i Roxanne. Dwóm pierwszym pomysł zupełnie się nie spodobał.

- Przede wszystkim to pasażer - powiedział kierownik. - Naprawdę doceniam twoją propozycję, Tom, ale jeżeli coś ci się stanie, ja ponoszę odpowiedzialność. Nie mogę się zgodzić. Siedzmy spokojnie na miejscu, pomoc na pewno się zjawi.

- Czy możemy się połączyć z centralą? A może udałoby się nawiązać kontakt z The Dingo? - zapytał Higgins maszynistę.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie ma szans, burza zagłusza sygnał. Ostatnio rozmawiałem z Amtrakiem kilka godzin temu.

- Wypróbowaliśmy wszystkie komórki - dodała Roxanne. - Żadna nie ma zasięgu. Nie możemy się skontaktować z centralą ani z tym ośrodkiem, ani w ogóle z nikim. Jesteśmy jak jaskiniowcy.

- Słuchajcie - powiedział Tom - ja nie zamierzam siedzieć beczynn timer i czekać, aż ta zadymka nas załatwi. Mogę podpisać oświadczenie, że biorę pełną odpowiedzialność za swoje działania, żeby nikt się was nie czepiał. Jako korespondent zagraniczny też coś takiego podpisywałem. Jestem już dużym chłopcem i poradzę sobie.

- To nie tylko o to chodzi, Tom - rzekła Roxanne. - My po prostu nie chcemy, żeby coś ci się stało, kochaniutki. To nie jest spacer po parku.

- Przeżyłem już gorsze sytuacje, Roxanne, zapewniam cię. - Tom spojrział im kolejno w oczy. - Dajcie mi spróbować, o nic więcej nie proszę. Jak nie dojdę, to po prostu wrócę i tyle.

Trójka kolejarzy popatrzyła po sobie. W końcu kierownik z maszynistą skinęli głowami.

- Dobra, zgadzamy się - powiedział ten pierwszy. Tom udał się z Roxanne do wagonu bagażowego po swój sprzęt narciarski. Kiedy później szykował się do wyprawy w swoim przedziale, poczuł, że ktoś za nim stoi. Była to Eleanor.

- Pakuję się - powiedział cicho.

- Wiem. - Nie ruszyła się z miejsca.

- Masz jakąś sprawę? Bo jestem zajęty.

- Ja nie chcę, żebyś szedł.

- Nawet nie zaczynaj. Idę i już.

- Na pewno myślisz, że robisz to, żeby uratować ludzi i pociąg, prawda?

Spojrzał na nią z ukosa.

- No, generalnie o to właśnie chodzi - odparł. - Ale nie oczekuję podziękowań.

Podeszła i przysiadła na brzegu łóżka.

- A nie przyszło ci do głowy, że to może być ucieczka?

- Wychodzę w taką śnieżycę i ryzykuję życie, żeby sprowadzić pomoc, a ty mi zarzucasz tchórzostwo. Cholernie ci jestem wdzięczny.

Eleanor nie zareagowała na ten słowny atak.

- Chcesz się naprawdę dowiedzieć, dlaczego cię zostawiłam w Tel Awiwie? - zapytała. - Może powinieneś jednak to usłyszeć, bo kto wie, czy cię jeszcze zobaczę.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. W końcu także usiadł.

- Trzeba przyznać, że potrafisz się wyrwać nie w porę nie gorzej ode mnie, lecz proszę bardzo, wal.

- Ty jesteś samotnikiem, Tom - zaczęła, zebrawszy się w sobie. - To ci najbardziej odpowiada. Chcesz być odpowiedzialny tylko za siebie i nikogo więcej. - Chciał coś wtrącić, lecz powstrzymała go spojrzeniem. - Czekałam całe lata, żeby to powiedzieć i powiem, a ty będziesz słuchał. - Przerwała na moment. - Kochałam cię, Tom, całym sercem. Byłam całkowicie, do końca, twoja.

- Byłaś. Czas przeszedł.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że przez ten czas, kiedy byliśmy razem, zostałeś raz uprowadzony, a trzy razy o mało cię nie zabili? Ciągłe podejmowałeś to idiotyczne ryzyko, żeby tylko napisać tekst, ale nigdy nie pomyślałeś, co ja wtedy czuję. Jak wychodziłeś z domu, nigdy nie wiedziałam, czy wrócisz. Czy nie zauważyłeś, że ja sama coraz mniej pisałam, a coraz więcej się zamartwiałam? Chciałam wrócić do domu, mieć

jakieś jedno miejsce, w którym byśmy razem mieszkali, zmęczyło mnie ciągle wsiadanie do samolotów. Miałam dość zastanawiania się, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę, gdy wyjeżdżałeś, by zbierać materiał. Po latach włości marzyłam o białym płotku przed domem, ogrodzie za domem i mężu, który idzie do pracy na osiem godzin i wraca na obiad. Ale ty nigdy nie zapytałeś, czego ja chcę. Całe to wędrowanie było dla ciebie ważniejsze ode mnie.

- Ellie, to było ultimatum z twojej strony. Dałaś mi pięć minut na podjęcie ważnej życiowej decyzji.

- Nieprawda. Prosiłam cię o to już od dawna, tylko ty w ogóle nie słuchałeś. Jak wróciłam wtedy z miasta i powiedziałam ci, że chcę wyjechać, to nie było nic spontanicznego. Całymi tygodniami zbierałam się na odwagę. Wyszłam z domu, żeby się ostatecznie zdecydować. No i dostałam odpowiedź. - Eleanor wstała. - Teraz możesz przypiąć narty i ruszać na ratunek pociągowi - dodała. - Na kolejną przygodę, w pojedynkę. Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie i życzę ci świetnego tekstu po powrocie. Tylko nie myśl, że robisz to dla kogokolwiek poza samym sobą.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Tom siedział w milczeniu, ściskając w kieszeni pierścionek.

## Rozdział 30

Wagon restauracyjny pełen był wygłodniałych pasażerów, oczekujących na śniadanie. Roxanne z niepokojem obserwowała, jak zmniejsza się zapas żywności. Przekąski w wagonie wypoczynkowym zniknęły już poprzedniego wieczoru i ludziom powoli zaczynały puszczać nerwy, miała więc sporo roboty przy gaszeniu kolejnych pożarów emocji; wykorzystywała do tego cały swój takt i humor, na jaki potrafiła się zdobyć. Wśród podróżnych było kilkoro małych dzieci i w miarę jak kończyły się pieluchy i mleko, ich niosący się po całym pociągu płacz dodatkowo działał wszystkim na nerwy.

Ksiądz Kelly zebrał się wreszcie na odwagę, żeby odprawić mszę w wagonie wypoczynkowym. Wzięło w niej udział sporo osób, i to różnych wyznań, włącznie z kilkoma szukającymi pocieszenia ateistami. Trochę się mylił i potykał, lecz ludzie docenili jego szczerą wysiłki i dziękowali mu później za podniesienie na duchu. Wyznał potem Agnes Joe, która pełniła funkcję ministranta, że nie czuł się tak wspaniale od lat.

Herrick Higgins, skończywszy kolejną naradę z obsługą pociągu w sprawie oszczędzania paliwa, osobiście wyszedł na zewnątrz, by zobaczyć, czy nie zamarzają

przewody. Kiedy wrócił, była pora lunchu. Popijając kawę, stary kolejarz zaczął zabawiać gości historiami z Dzikiego Zachodu, z braćmi Jamesami, Billym Kidem i innymi *desperado* w rolach głównych. Wszyscy słuchali go z szeroko otwartymi oczami, nie tylko dzieci, lecz również dorośli. Opowiedział im także o legendarnym tragarzu z wagonu pulmanowskiego, nazwiskiem John Blair, który pod koniec XIX stulecia w Minnesocie uratował pasażerów z pożaru w pociągu, niemalże w pojedynkę.

- Ci ludzie byli naprawdę w rozpaczliwym położeniu - mówił Higgins - bo nie ma chyba nic gorszego niż pożar. Jeżelibym miał wybierać między ogniem a śniegiem - wskazał za okno - zdecydowanie wolę śnieg. Może to tak nie wygląda, ale wydaje mi się, że mamy szczęście.

Roxanne uśmiechnęła się, słysząc jego wywody, i dołąła mu kawy.

Agnes Joe od dłuższego już czasu wyglądała pilnie przez okno. Na pytanie Roxanne, czego tak wypatruje, pokazała palcem na wirujący śnieg. Szefowa obsługi zmrużyła oczy.

- W końcu mamy Wigilię, prawda? - rzekła Agnes Joe.

- Co racja, to racja. Ty to masz pomysły, kochaniutka. Eleanor, która właśnie weszła do wagonu, przyłączyła się do obu kobiet. Podążając za ich spojrzeniem, dojrzała na zewnątrz dwóch grubo ubranych mężczyzn, niosących jakiś owinięty brezentem pakunek.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Zobaczysz - odparła Roxanne.

Po chwili mężczyźni znaleźli się w środku. Jednym z nich był Barry, konduktor z sypialnego. Gdy rozwinęli brezent, Eleanor ujrzała krępałkę sosenkę, wyciętą w lesie na zboczu. Choć otrząsnęli ją ze śniegu, sporo wciąż przylegało do gałęzi i cienkiego pnia. Drugi mężczyzna zdjął kaptur i Eleanor omal nie krzyknęła. Przed nią stał Tom.

- Wigilia bez choinki to nie Wigilia - wyjaśnił. - Właściwie to był pomysł Agnes Joe.

Ustawili drzewko w wagonie, w skleconym pospiesznie stojaku, a potem dzieci ustroiły je, czym dusza zapagnie. Po godzinie choinka wyglądała zaiste pięknie, a w każdym razie bardzo interesująco. Wisiało na niej wszystko, od sztucznej biżuterii, poprzez przyczepione plastrem karty z gumy do żucia ze sportowcami, plastikowe figurki postaci ze znanych seriali, aż po długi łańcuch ze świecidełek, który pewna kobieta wiozła do rodziny na święta. Dzieci zrobiły też z kartonu i pomalowały na srebrno gwiazdę, i umieściły na czubku choinki, co nie było trudne, jako że miała niewiele ponad metr wysokości. Cała dekoracja, włącznie z plastikowymi robotami i portretami baseballistów i koszykarzy, wydała się ludziom uwiecznionym w Chiefie oszałamiająco piękna.

Tom siedział z filiżanką gorącej kawy w ręce i patrzył, jak skromne drzewko nabiera bajecznego gwiazdkowego czaru.

- Prześliczna, prawda?

Podniósł głowę. Eleanor stała obok i też przyglądała się choince.

Obrócił nerwowo filiżankę w dłoniach.

- Pomoże ludziom oderwać się trochę od zmartwień - powiedział. - No i śmiech dzieci też jest miły.

- Mogę tu usiąść? - zapytała. Wskazał na wolne krzesło.

- Myślałam, że już poszedłeś - powiedziała.

- No, wiesz, plany czasami się zmieniają, w przeciwieństwie do niektórych ludzi.

- Jak to? Dlaczego się zmieniły?

- Postanowiłem jednak nie iść. Zostaję w pociągu, ze wszystkimi.

- Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Nigdy bym nie sądziła, że coś, co powiem, może... - Nagle umilkła.

- Trafić do mojego tępego łba? - dokończył za nią ze słabym uśmiechem. - Słuchaj, Ellie, po prostu uznałem, że lepiej będzie zostać i pomagać tutaj. Zanim dotrę do tego ośrodka, jeśli w ogóle, burza pewnie się skończy i przybędzie kawaleria. - Namyslał się przez chwilę. - A jeśli nie przybędzie... tym bardziej powinienem być ze wszystkimi. - Ich spojrzenia na moment się spotkały, po czym Tom nagle wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Mam coś do załatwienia. Już od dawna.

Kilka minut później wszedł do przedziału Lelii i poinformował ją, że jego odpowiedź w kwestii małżeństwa brzmi „nie”.

- Naprawdę bardzo cię lubię i życzę ci jak najlepiej, ale nie chcę być twoim mężem i mieć ośmiorga dzieci. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Nie wyglądało na to, że go rozumiała. Wczepiła się w jego ramię, a z jej oczu trysnęły łzy.

- Może mogłabym jeszcze coś powiedzieć albo zrobić, żebyś zmienił zdanie? Byłam pewna, że do siebie pasujemy!

Tom pokręcił głową.

- Ja po prostu ciebie nie kocham. I jestem przekonany, że jak się dobrze nad tym zastanowisz, zrozumiesz, że ty mnie także nie kochasz.

- Przecież byliśmy ze sobą tak długo...

- „Miło” i „miłość” to jednak nie to samo.

Lelia dmuchnęła w chusteczkę i powiedziała drżącym głosem:

- Nie wiem, może rzeczywiście masz rację. W tym momencie z łazienki wyszedł Kristobal.

- Ty tutaj? - Tom był autentycznie zdumiony.

- Przeszkodziłem w czymś? - zapytał młody człowiek.

- Nie - odparł Tom, rzucając Lelii surowe spojrzenie. - To raczej ja w czymś przeszkodziłem.

- Kristobal pomaga mi przetrwać te trudne chwile. - Zrobiła niewinną minę. - Potrafi robić pedikiur i znakomicie masuje.

- W to nie wątpię - odrzekł Tom i rzucił do Kristobala: - *Ciao!*

Wyszedł z przedziału i ruszył korytarzem, czując ogromną ulgę na myśl o tym, że Miś Kuleczka nie będzie już go nękać. Było mu nawet trochę żal Kristobala, ale cóż, w końcu był już dużym chłopcem.

Po kolacji, na którą podano potrawy udekorowane na biało-czerwono z okazji świąt, zaproszono do wagonu wypoczynkowego wszystkie dzieci. Przyszli także dorośli, bo i tak nie mieli nic lepszego do roboty. Zwały śniegu wokół pociągu i na jego dachu rosły, a ciągle pojękiwanie metalu i wycie wichury tak spowszedniało, że ludzie przestali je zauważać. W oczach wciąż jednak mieli niepokój.

Higgins, wyczuwając nastroje pasażerów, tłumaczył wszystkim, że szyby wagonów wykonane są z nietłukącego szkła.

- Można w nie walić młotem kowalskim i nic się nie stanie, najwyżej ktoś nabije sobie guza, jak młot odskoczy.

Wyjaśnił także, że metalowe ściany wagonów mają „pamięć” i odgięte same wracają do pierwotnej pozycji. Słuchacze kiwali głowami, jednak mało kto chciał teraz rozmawiać na temat pociągu. Podróżni woleli cieszyć się gwiazdką, świętowaną na niebezpiecznym górskim zboczu, wśród szalejącej zamieci i z najpiękniej ubraną niedużą choinką.

Z głośników popłynęła zapowiedź występów dla dzieci. Miały się rozpocząć w wagonie wypoczynkowym za dziesięć minut. Moment był wyjątkowo fortunnie wybrany, w pociągu bowiem robiło się coraz chłodniej, a jedzenie właściwie się skończyło i ludzie dzielili się tym, co zabrali z domu. Przebiegało to, ku zadowoleniu Roxanne, w bardzo przyzwoity sposób. Najpierw karmiono dzieci, potem najstarszych pasażerów, a reszta osób dorosłych pozostawała głodna.

Zdarzyło się także coś zdumiewającego. Wszystkie przedmioty ukradzione w pociągu Southwest Chief, a także część tych, które zniknęły w Capitol Limited, zostały zwrócone

prawowitym właścicielom. Nikt niczego nie widział i nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego złodziej przeszedł tak dramatyczną wewnętrzną przemianę. Roxanne i ksiądz Kelly uznali to po prostu za bożonarodzeniowy cud.

Podróżnych przybywających z dziećmi do wagonu wypoczynkowego zaskakiwał widok zaimprovizowanej sceny, ustawionej w jednym z kątów. Max Powers pełnił rolę mistrza ceremonii. Podgrzewał atmosferę oczekiwania, aż w końcu zawołał:

- Chyba coś słyszę! Któż to tutaj do nas przybywa? Uwaga wszystkich zwróciła się ku scenie, na której pojawiła się kukielka.

- To Miś Kuleczka! - krzyknęło jakieś dziecko.

- I Piotruś Pomarańczowy Okruszek! - zawołało inne.

Wiewiórka Chrupka i Fretka Fredzia także dołączyły do swoich słynnych przyjaciół i zabawa się rozpoczęła.

Kukielkami poruszali Lelia z Kristobalem, ukryci za zasłoną. Były to pacynki, które Lelia wozila zawsze ze sobą jako upominki dla przypadkowo spotkanych dzieci. Przemawiała teraz ich głosami, przeskakując z profesjonalną płynnością pomiędzy gryzoniami, niedźwiadkiem i częstką pieczywa.

Podczas krótkiej przerwy Kristobal szepnął jej do ucha:

- Spotkał mnie dzisiaj największy zaszczyt w życiu.

Pocałowali się za kulisami, podczas gdy na scenie Chrupka z Kuleczką grzmocili się po głowach przy akompaniamencie salw śmiechu publiczności.

Święty Mikołaj zjawił się dokładnie w wyznaczonym momencie. Wcielił się w niego krzepki Barry, przebrany w prawdziwy kostium, który obsługa Chiefa przechowywała w magazynie specjalnie na takie okazje. Zajęcie to było tak popularne, że co roku przed Gwiazdką pracownicy zaciekle rywalizowali ze sobą, posługując się prośbą, groźbą, przekupstwem i losowaniem, aby zdobyć tę rolę. Pomocnicy Mikołaja, grani przez Eleanor, Toma, Misty i Maxa, rozdawali sprawiedliwie prezenty. Dostarczyli ich pasażerowie, którzy zabrali w drogę ładnie zapakowane upominki, przygotowane do położenia pod choinkę. Wszyscy włączyli się do zabawy z ochotą i humorem, a widok uszczęśliwionych, roześmianych dzieci pomógł się rozluźnić także dorosłym.

Ojciec Kelly, wspomagany ponownie przez Agnes Joe, odprawił pasterkę. Ksiądz, który dawał ślub Steve'owi i Julie, nie chciał koncelebrować mszy i nawet nie wyszedł z przedziału. Młodej parze od dawna już nie widziano. Postanowili najwyraźniej, że nawet lawina nie przeszkodzi im w miodowym miesiącu, i trudno było tego nie rozumieć. Chór chłopięcy odśpiewał wraz z Roxanne wiązanekę kolęd. Pasażerowie przyłączyli się, tak jak

umieli, zresztą w takich okolicznościach każdy głos wydawał się brzmieć melodyjnie. W końcu zrobiło się późno. Małe buzie ziewały coraz częściej i zaczęto się żegnać. Obcy ludzie poklepywali się po plecach i zapewniali, że była to wspaniała wieczerza wigilijna, a potem rozchodzili się do swoich przedziałów.

Eleanor z Tomem pomogli Roxanne ułożyć do snu chłopców z chóru. Wychodzili już, kiedy jeden z dzieciaków zawołał starszą panią.

Usiadła przy nim, a Tom i Eleanor też podeszli bliżej.

- Co się stało, Olivierze? - zapytała.

Oczy chłopca wydawały się ogromne, a jego słodki głosik mógłby oczarować i wrzucić nawet najpodlejszego z ludzi. Zazwyczaj był wesoły, lecz teraz wyraźnie coś go gnębiło.

- Patrick powiedział, że nie ma Boga - oznajmił.

- Co takiego? Patricku, chodź no do mnie! Patrick podszedł, w pasiastej piżamie i okularach na nosie. Należał do starszych chłopców. Wysoki i szczupły, zachowywał się z wielką pewnością siebie. Ciągłe coś czytał i był bardzo zdolnym uczniem.

Roxanne stanęła przed nim, opierając dłonie na wydatnych biodrach.

- Wytlumacz mi teraz, dlaczego mu to powiedziałeś - zażądała.

Pozostali chłopcy powystawiali głowy znad foteli, żeby lepiej słyszeć i widzieć. Tom z Eleanor wymienili spojrzenia.

- To prosty proces eliminacji - rzekł Patrick. - Podobnie jak w cyklu ewolucyjnym. - Poprawił okulary na nosie, niczym młody profesor zwracający się do studentów.

- Jak proszę?

- No, najpierw była Zębowa Czarodziejka. Jak dziecku wypadł ząb mleczny, to rodzice mówili, że trzeba go włożyć pod poduszkę i na drugi dzień zamiast zęba znajdowało się pieniądze. Większość dzieci odkrywa, że to bajka, mniej więcej w wieku pięciu lat. Ja oczywiście zorientowałem się o wiele wcześniej.

- Ty masz już dziesięć lat, Patrick - wtrącił się jego brat Tony - i zawsze wkładasz ząb pod poduszkę.

- Ale to dlatego, że chcę dostać pieniądze, Tony, a nie dlatego, że w to wierzę. - Chłopiec zwrócił się znów do Roxanne. - Dalej mamy Zajączka Wielkanocnego. To oszustwo odkrywa się około siódmego roku życia. Następny jest Święty Mikołaj. Weźmy tego gościa, który się dzisiaj za niego przebrał. Czy to nie był przypadkiem ten konduktor z...

- Dobrze, Patricku, przejdźmy do rzeczy - przerwała mu Roxanne, widząc, że młodszymi dziećmi zbiera się na płacz. - Co z tym Bogiem?



- Proszę bardzo. Jeżeli Bóg jest dobry, to dlaczego pozwala na coś takiego? Powinniśmy być w domach i świętować Wigilię z naszymi rodzinami, a zamiast tego siedzimy zasypani śniegiem i kończy nam się paliwo i jedzenie. Gdyby Bóg istniał, to nie dopuściłby do tego.

Roxanne wyczuła, że Patrick, mimo pewnej siebie miny, jest równie przerażony jak inne dzieci. Chłopiec po prostu pragnął, żeby ktoś dorosły przekonał go o istnieniu Boga, a nie potwierdził jego nieistnienia.

Posadziła Patricka koło siebie, a Oliviera wzięła na kolana.

- Wiesz, dlaczego źle rozumiesz? Dlatego że uważasz, że nasza sytuacja jest zła.

- A co, nie jest? - Patrick poprawił okulary.

- Nie tak całkiem. Zastanówmy się tylko, przyjrzyjmy się faktom. Co się zdarzyło dziś wieczorem?

- Napadało jeszcze więcej śniegu, a w kuchni skończyło się jedzenie.

- A oprócz tego?

- Świętowaliśmy Wigilię i dostaliśmy prezenty - powiedział Olivier. - To było dobre.

- Ale moglibyśmy to robić z naszymi rodzinami - upierał się Patrick.

- To prawda - rzekła Roxanne. - A czy wasze rodziny chciałyby być głodne i zmartwione, w jakimś dziwnym miejscu, wśród ludzi, których w ogóle nie znają?

- No, nie - odparł chłopiec po chwili zastanowienia.

- Tak właśnie jest z pasażerami w tym pociągu, prawda? Wcale nie chcą być tutaj, bo to nie jest ich dom; woleliby być ze swoimi bliskimi, z rodzinami, tak?

- Tak, tak! - potwierdził z entuzjazmem Olivier.

- No przecież właśnie o tym mówię - stwierdził Patrick.

- Nie, nie, jeśli dokładnie pamiętam, to ty stwierdziłeś, że Boga nie ma, skoro wydarzyło się coś tak złego. I teraz zastanawiamy się, czy to rzeczywiście jest takie bardzo złe. Znalazło się tu z nami mnóstwo obcych sobie ludzi, którzy woleliby spędzić tę Gwiazdkę wszędzie, tylko nie w tym pociągu. I ci ludzie nagle spożywają wspólnie Wigilię, śpiewają razem, bawią się i nawet oddają innym prezenty, które przygotowali dla swoich bliskich. - Roxanne spojrzała na Eleanor i Toma. - Powiedzcie, fajnie było czy nie?

Eleanor uśmiechnęła się do wpatrzonych w nią dzieci.

- To były jedne z najprzyjemniejszych świąt w moim życiu - oznajmiła.

- No dobrze, z tym się mogę zgodzić - stwierdził Patrick.

- Może to właśnie Bóg sprawił - dodał Tom - że się znalazłeś właśnie w tym pociągu, Patricku, żeby pomóc tym przestraszonym ludziom zapomnieć na chwilę o kłopotach, dzięki temu, że mogli posłuchać pięknych melodii w waszym wykonaniu.

- To też jest prawda! - ożywił się Olivier.

- No tak - zgodził się Patrick.

Roxanne usadowiła Oliviera w jego fotelu i odprowadziła na miejsce Patricka.

- Widzicie, chłopcy - powiedziała - jest takie powiedzenie, że Bóg działa w sposób dla nas czasami niepojęty. Trzeba się starać zrozumieć, co on naprawdę chce uczynić. Nie można być leniwym w swojej wierze, Bóg nie pozwoli, żeby to było takie łatwe. Żeby naprawdę wierzyć, potrzeba siły ducha, szczerzej wiary i uczucia. Dostajemy dokładnie tyle samo, ile dajemy; tak jest z większością wartościowych rzeczy w naszym życiu. Tylko że w wypadku wiary dostajemy o wiele więcej, niż daliśmy.

Roxanne pomogła Patrickowi usadowić się i okryła go kocem.

- Jeszcze jakieś pytania? - zwróciła się do dzieci. Olivier podniósł rękę.

- Ja mam pytanie, pani Roxanne.

- Proszę bardzo.

- Czy mogę iść do toalety?

Tom i Eleanor stali razem w korytarzu, wpatrując się w śnieżycę za oknem.

- Już prawie Boże Narodzenie - rzekł Tom - i nic nie słyhać, nawet mysz nie przemknie.

- Wolałabym teraz usłyszeć ekipę ratowniczą, zamiast Świętego Mikołaja i kopytek jego reniferów na dachu - stwierdziła Eleanor.

- A gdzie twoje umiłowanie przygody, twój romantyzm?

- Już mi się wyczerpały, jak byłam z tobą - odcięła się, lecz położyła dłoń na jego rękawie. - Dlaczego właściwie nie poszedłeś?

- Zapomniałem nasmarować narty.

- Nie wygłupiaj się, Tom. Spojrzał na nią.

- Wiesz, Ellie, wmawiałem w siebie, że wybieram się w tę podróż, żeby napisać historię, której podobno nie zdążył napisać Mark Twain, i spełnić w ten sposób życzenie mojego ojca. Ale tak naprawdę chodziło o wielką pustkę w moim życiu, pustkę, której nie potrafię zapełnić. Czuję ją już od dawna, a pisanie dla „Poradnika gospodyni domowej” raczej nie pomaga. - Wzruszył ramionami. - Natomiast nie poszedłem tam - wskazał za okno - po przemyśleniu tego, co powiedziałaś. Przez tyle lat uważałem, że to ty odeszłaś ode mnie, że to

ty mnie zostawiłaś. Nie dostrzegałem w ogóle, że w rzeczywistości było na odwrót. - Zamilkł na chwilę. - Przepraszam cię, Ellie. Bardzo przepraszam.

Eleanor wyciągnęła powoli ręce i wzięła jego dłonie w swoje.

Tom nagle rozejrzał się zaniepokojony.

- Zauważyłaś, naprawdę nic nie słyhać - rzekł. - Jest niesamowicie cicho. Aż za cicho.

Nie mogli jeszcze tego wiedzieć, lecz jakiś czas wcześniej zużyte zostały ostatnie krople paliwa w ostatniej lokomotywie. A kiedy tak stali w korytarzu, wyczerpały się także baterie zasilające część oświetlenia. Southwest Chief pogrążył się w całkowitej ciszy i ciemności.

Nagle przerwał tę ciszę dudniący odgłos. Pociąg zaczął drzeć, a w przedziałach rozległy się okrzyki przerażenia.

- O Boże - szepnęła Eleanor. - Następna lawina.

## Rozdział 31

Gdyby istniało takie zjawisko jak kontrolowany chaos, to tak właśnie należałoby nazwać to, do czego doszło w pociągu Southwest Chief. Przyczyną było zagrożenie kolejną lawiną. Masy śniegu uderzyły w pociąg z prawej strony i spiętrzyły się tak wysoko, że zasłoniły całkowicie okna. Miażdżący ciężar zaczął już powoli przechylać wagony. Plan ratunkowy okazał się prosty: ewakuacja wszystkich podróżnych. W tych warunkach było to oczywiście o wiele łatwiej wymyślić, niż zrobić. A jednak trzystu czterdziestu jeden pasażerom udało się przejść przez cały pociąg do ostatniego wagonu z miejscami siedzącymi. Obsługa przeliczała ich wciąż od nowa, przeszukując jednocześnie wszystkie zakamarki, żeby nikt nie został pominięty.

Długi sznur ludzi pokonał następnie niewielki dystans, dzielący ich od wylotu tunelu. Okutani w koce, nieśli parasole i wszelkie inne przedmioty, mogące uchronić ich przed porywami zamieci. Prowadzili ich kolejarze z latarkami. Najmłodszych, najstarszych i niesprawnych niesiono lub pomagano im przejść. Widocznie bożonarodzeniowa magia wciąż działała, ponieważ silni pomagali słabszym, sprawni asystowali mniej sprawnym i nikt nie narzekał ani nie próbował się wywinąć od wyznaczonych zadań.

Wynieśli z pociągu wszystko, co mogło im się ewentualnie przydać: latarki, koce, wodę, poduszki, zestawy pierwszej pomocy i resztki żywności. Narzekał tylko maszynista,

który miał sobie za złe, że nie wjechał do tunelu tyłem, gdy było jeszcze paliwo. Teraz zaś nie chciał za nic opuścić lokomotywy. Roxanne i Higgins próbowali przemówić mu do rozsądku. Higgins tłumaczył koledze, że nikt, nawet on sam, nie pomyślał o jeździe tyłem, że zasy i tak mogły na to nie pozwolić i że można przecież obserwować pociąg z wylotu tunelu. Maszynista, który nazywał się Ralph Perkins, w końcu zgodził się opuścić swój posterunek na mostku kapitańskim. Higgins przezornie nie dodał, że wkrótce na oczach Perkinsa ukochany Chief mógł spaść w przepaść, porwany przez potężną falę śnieżnego tsunami.

Tom, Eleanor, Max, Misty, Kristobal, ojciec Kelly i Agnes Joe pracowali ramię w ramię z kolejarzami, pchając, ciągnąc, nosząc, podpierając, namawiając i zmuszając, aż w końcu wszyscy znaleźli się pod bezpiecznym sklepieniem tunelu. Szczególne umiejętności w sterowaniu tłumem wykazała Agnes Joe, a zalety jej potężnej postury ujawniły się podczas ewakuacji po wielokroć.

Tom wyciągnął swój sprzęt narciarski, a Eleanor pożyczyła narty od jednej z pasażerek, która również wybierała się nad Tahoe. Dzięki temu mogli oboje przetransportować sporo niezbędnego wyposażenia w dość krótkim czasie.

W tunelu powstał prawdziwy obóz. Tom obszedł go, dokonując przeglądu sytuacji. Światło mieli marne, jedzenia prawie wcale, koców za mało. Najgorsze jednak było zimno. Temperatura obniżyła się do minus dziesięciu stopni, powietrze na tej wysokości było rozrzedzone, a w tunelu hulał wiatr. W tych warunkach zarówno najstarsi, jak i najmłodszy pasażerowie nie mogli przetrwać zbyt długo.

Kiedy rozważył to wszystko, wniosek nasunął mu się tylko jeden. Tom przywołał do siebie Roxanne, kierownika pociągu i maszynistę i zaczęli rozmawiać cichymi, lecz napiętymi głosami.

Eleanor, która pomagała usadowić ostatnich pasażerów, zauważyła to spotkanie na szczycie. Podeszła do nich akurat w chwili, gdy Roxanne mówiła:

- Nie musisz tego robić, Tom, ale już cię za to Kocham.

- Idę z tobą - powiedziała Eleanor. Odwrócili się zaskoczeni.

- Nigdzie nie idziesz - oświadczył Tom.

- To ja go uczyłam jeździć na nartach - zwróciła si Eleanor do pozostałych.

- Nie mogę na to pozwolić - nie ustępował Tom.

- Ale ja cię wcale nie pytam o pozwolenie. Jeżeli chcesz iść sam, to proszę bardzo, przywitam cię w The Dingo gorącą kawą, jak się wreszcie tam dowleciesz.

Roxanne uniosła brwi.

- Mnie się wydaje, że postąpiłbyś mądrzej, idąc z nią. Tom obrzucił spojrzeniem ich twarze i zatrzymał wzrok na Eleanor.

- Znów pracujemy razem?

- Chodźmy już.

Kiedy Eleanor szykowała się do drogi, podszedł do niej Max.

- Słyszałem, że wybierasz się na nartach z Langdonem sprowadzić pomoc - powiedział, przy kucając obok.

- Chcemy przynajmniej spróbować.

- To bardzo niebezpieczna wyprawa. Jesteś pewna, że chcesz?

- Tak pewna nie byłam już od dawna.

- Ale Tom jest dużym i silnym mężczyzną; poradziłby sobie sam. Opowiadał mi, jak niósł kiedyś kogoś pod górę w ogniu moździerzy.

Eleanor przerwała pakowanie i spojrzała na niego.

- Tą osobą, którą wtedy niósł, byłem ja, Max - oświadczyła.

Powers przyglądał się jej przez chwilę, a potem powiedział bardzo cicho, bez swojej zwykłej zadziorności:

- Po prostu nie chciałbym cię stracić, Eleanor. Przykucnęła obok niego i przytuliła się na chwilę.

- Wrócę, Max, chociażby po to, żeby napisać ten scenariusz i zdobyć Oscara.

- Kochasz tego faceta, prawda?

- Czy wierzysz w zaczynanie wszystkiego od początku? - odpowiedziała pytaniem.

- Chyba powinienem, w końcu sam to wielokrotnie przerabiałem.

- A ja nie, aż do teraz. I nie chcę tego zmarnować, bo następnego razu może nie być.

Tom i Eleanor pożegnali się ze wszystkimi i, obwieszeni ekwipunkiem, ruszyli tunelem. Higgins narysował im z pamięci orientacyjny szkic terenu i trasy do The Dingo. Tom włożył mapkę w plastikową koszulkę i schował do kieszeni. Po wyjściu z tunelu mieli się wspiąć górską rozpadliną i dalej kierować się na zachód i północ. Przy odrobinie szczęścia powinni wczesnym popołudniem pić kawę przy kominku. Lodowate i rzadkie na tej wysokości powietrze sprawiło, że po krótkim czasie zaczęli ciężiej oddychać. W tunelu panowały ciemności, zapalili więc latarki czołowe.

- Przynajmniej nie musimy się obawiać, że przejedzie nas pociąg - zażartował Tom.

- A ja już myślałam, że szczęście nas opuściło.

W trakcie ośmiusetmetrowego marszu dłonie obojga się spotkały i mocno splotły ze sobą. Gdy dotarli do wylotu, przypięli narty.

- Gotowa? - zapytał Tom. Eleanor skinęła głową. Wyszli w szalejącą zadymkę, ale udało im się odszukać opisane przez Higginsa miejsce i ruszyli pod górę, odpychając się z wysiłkiem kijkami narciarskimi. Po kilku minutach zniknęli w groźnych objęciach śnieżycy.

Przedzierali się przez wichurę i ściany syjącego śniegu. Ich sylwetki pokryły wkrótce kryształki lodu, kończyny zaczynały powoli drętwieć. Tom ciągle spoglądał na mapę i często zmieniali wówczas kierunek marszu. Miał wprawdzie kompas, lecz w tych warunkach nie był pewien precyzji jego wskazań. Odnalezienie nawet tak dużego obiektu jak The Dingo, wśród górskiej zamieci, okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Brnęli jednak dalej.

Pokonali liczne strome podejścia, często zmuszeni zapierać się kijkami lub ciałem o skały, żeby się dźwignąć wyżej. W niektórych miejscach musieli także odpinać narty i wdrapywać się wyżej, związani liną. Wreszcie wydostali się na stosunkowo płaski odcinek trasy i mogli posuwać się szybciej na nartach. Tempo mieli wyjątkowo dobre, biorąc pod uwagę siłę przeciwnego wiatru, który zdawał się wzmagać z każdym machnięciem kijkami.

W pewnym momencie pod Tomem załamała się cienka lodowa pokrywa i wpadł w trzymetrową szczelinę. Wygramolił się z powrotem przy pomocy Eleanor, która wciągała go na linie, lecz stracił komórkę, a, co gorsza, zniszczeniu uległ kompas.

Rozważali nawet, czy nie zawrócić, jeżeli oczywiście znajdą drogę powrotną, lecz w końcu postanowili iść dalej. Tom uważał, że generalnie trzyma dobry kierunek marszu. Starał się znaleźć jakieś punkty orientacyjne, żeby nie zboczyć z kursu, śnieg jednak zawiewał coraz to z innej strony i na tych znakach w terenie też nie można było polegać, gdyż biały puch to je odkrywał, to zakrywał.

Z każdym krokiem, z każdym zboczem i podejściem srogość śnieżycy coraz bardziej dawała im się we znaki. Coraz częściej musieli się zatrzymywać, odwracać od wiatru lub znajdować jakiś skalny załom, żeby złapać oddech. Paliło ich w piersiach, a najnowocześniejsze kombinezony ledwie chroniły przed zamarznięciem na kość.

Znaleźli spokojniejsze miejsce i zjedli skromny posiłek, chociaż ich zapas wody zamieniał się stopniowo w lód. Po krótkim odpoczynku ruszyli dalej.

Kiedy zaczynało zmierzchać, Eleanor powiedziała:

- Chyba wolałabym nie błąkać się na nartach w ciemnościach. Może urządzimy gdzieś tutaj obóz?

- Dobry pomysł - zgodził się Tom. - Na pewno jesteśmy już w pobliżu ośrodka. - Miał w każdym razie taką nadzieję, choć tak naprawdę uważał, że równie dobrze mogą się znajdować dziesięć metrów od pociągu.

Rozstawili namiot i ugotowali sobie ciepły posiłek. A potem na turystycznym palniku podgrzali wodę do picia. Po jedzeniu usiedli przytuleni, okryci kocami i patrzyli na rosnące przed namiotem zasy. Burza jakby trochę osłabła i zrobiło się ciszej. Nie musieli już krzyczeć do siebie.

- Chcę ci coś powiedzieć - rzekł Tom. - Rozstałem się z Lelią. Przyjęła to dobrze.

- Jestem zaskoczona.

- Ja też byłem, dopóki się nie okazało dlaczego. Ona ma nowego kochasia.

- Jak to? Kogo?

- Kristobala.

- Kristobala? Chyba żartujesz!

- Na pewno będą ze sobą szczęśliwi. Lelia może sobie wymyślić nową postać rysunkową, węża imieniem Kris Kijaszek.

Umilkli i objęli się mocniej.

- Musimy dbać, żeby nam było ciepło - mruknął Tom.

- No właśnie - odparła Eleanor, po czym wzięła głęboki oddech i dodała: - Słuchaj, na wypadek gdybyśmy nie wrócili...

- Ciii. - Tom przyłożył palec do ust. - Trzeba myśleć pozytywnie. Misty na pewno nazwałaby to czerwoną aurą mocy albo jakoś tak.

Eleanor ścisnęła jego dłoń.

- Na wypadek gdybyśmy nie wrócili, chcę, żebyś o czymś wiedział.

- O czym? - zapytał, poważniejąc.

- Nigdy nie przestałam cię kochać. Nawet po tylu latach bez ciebie.

Otoczył ją ramieniem.

- Wrócimy na pewno.

Eleanor zadrżała i przytulił ją jeszcze mocniej, starając się przekazać jej jak najwięcej ciepła.

- To niesamowite - powiedziała - że nagle znowu jesteśmy razem, i to w górach w środku śnieżycy.

- Gdyby to było coś zwyczajnego, to wszyscy by to robili - próbował żartować, lecz nie mógł zmusić ust do uśmiechu.

Przypomniał sobie, jaki to dzień.

- Eleanor? Spojrzała mu w oczy.

- A dlaczego nie Ellie?

- Eleanor - powtórzył. - Wesołych świąt. Udało jej się uśmiechnąć.

- Wesołych świąt.

Tom grzebał w zapinanej na zamek kieszeni kurtki.

- Wiem, że gorszego momentu nie mogłem wybrać - powiedział - ale już ci wspominałem, że jestem w tym mistrzem. - Podniósł się i uklęknął na jedno kolano, po czym ostrożnie wsunął pierścionek na jej palec.

Wpatrywała się w niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Wiem, że to długo trwało, o wiele za długo - mówił tymczasem Tom. - Jesteś jedyną kobietą, którą kochałem, Ellie, i chciałbym cię uczynić szczęśliwą. Czy zechcesz mnie ze wszystkimi moimi wadami, słabościami, nawykami, oślim uporem i zwyczajną głupotą? - Przerwał, wziął głęboki, równy oddech i zakończył: - Czy wyjdiesz za mnie, Eleanor?

Zaczęła płakać, gdy tylko powiedziała „tak”.

Dokładnie w chwili gdy skończyli oficjalny zaręczynowy pocałunek, rozszalała na nowo wichura porwała namiot i góra śniegu osunęła się wprost na nich, niemal grzebiąc żywcem. Tom przekopał się przez zaspę i pomógł się wygrzebać Eleanor.

- Musimy znaleźć jakieś schronienie! - krzyknął. Teraz, po zaręczynach, był gotów zrobić wszystko, żeby ślubna ceremonia rzeczywiście się odbyła.

Brnęli dalej. Eleanor słabła z minuty na minutę i w końcu nie była już w stanie iść o własnych siłach. Tom na wpół niósł ją, na wpół prowadził przez kolejny kilometr, lecz w końcu i jemu zabrakło sił. Zdjął kurtkę, owinał w nią Eleanor i położył na ziemi. Rozejrzał się po okolicy. Znajdowali się na płaskim terenie, a wokół majaczyły sylwetki górskich szczytów. Więcej nie mógł dojrzeć, śnieżycą bowiem przesłaniała wszystko. Wypowiedział kilka słów modlitwy i przykrył sobą Eleanor, starając się własnym ciałem osłonić ją przed siekącym śniegiem. Poszukał jej dłoni w grubej rękawiczce i ujął mocno w swoją. Wróciło do niego wspomnienie szpitala i daremnego oczekiwania, aż matka podniesie leżącą na jej piersi fotografię. Cały swój zmysł dotyku skoncentrował na wyczuwaniu oznak słabnięcia ukochanej kobiety. Nil wiedział, co zrobi, jeżeli ona zacznie odchodzić. Może po prostu się z nią pożegna. Uczyni coś, czego nie uczynił przed laty.

Miał wrażenie, że leżą już tak godzinami. Wiatr wył i smagał go śniegiem w plecy; czuł się tak, jakby ktoś wbijał w niego maleńkie sztylety. Oczywiście wyobraźni Tom ujrzał małego chłopca, który wyciągał do niego rękę. To on sam, dziecko, chciał zabrać siebie dorosłego w



bezpieczny świat dzieciństwa. W podobnych sytuacjach umysł często płatał człowiekowi takie figle. Tom wielokrotnie w życiu doświadczał niebezpieczeństw, a jednak w tak rozpaczliwym położeniu nie znalazł się jeszcze nigdy. Doszedł do wniosku, że otarłszy się tyle razy o śmierć, tym razem naprawdę doczekał się końca. Spojrzał na Eleanor i pocałował ją w usta. Nie zareagowała. Po zdrętwiałej od mrozu twarzy Toma popłynęły łzy.

Obraz chłopca stawał się coraz wyraźniejszy. Tom miał wrażenie, że czuje, jak palce dziecka dotykają jego policzka. Chłopiec coś mówił, pytał, czy nic mu nie jest. Wizja była niezwykle sugestywna. Tom wyciągnął rękę i przemówił do samego siebie z dzieciństwa, nie puszczając dłoni Eleanor.

Chłopiec szturchnął go mocniej. Tom zamrugał, otworzył szeroko oczy i natychmiast je zamknął, boleśnie porażony światłem tak dawno niewidzianego słońca.

- Proszę pana, co panu jest? - zapytał chłopczyk, przy kucając tuż przy nim.

Tom przetoczył się na plecy i usiadł. Śnieżycą odeszła, nad głową miał błękit nieba, słońce przygrzewało, a chłodne górskie powietrze miało w sobie niespotykaną gdzie indziej świeżość. Spojrzał na chłopca, niepewny, czy tak może wyglądać istota z zaświatów, i w końcu zapytał:

- Co ty tutaj robisz?

- Ja tu mieszkam - brzmiała odpowiedź.

- To znaczy gdzie?

Mały wskazał stronę za jego plecami.

- W ośrodku.

Tom się odwrócił i ujrzał imponujący kompleks pięknych czerwonych budynków z drewna. Ośrodek narciarski The Dingo. Oboje z Eleanor omal nie zginęli kilkanaście metrów od płonących kominków, gorącej kawy i rozgrzewającej kąpieli.

Wstał na drżących nogach i delikatnie potrząsnął Eleanor.

- Czy my umarliśmy? - zapytała, nie otwierając oczu.

- Nie - odparł. - Ale za to zaręczyłaś się z kompletnym idiotą.

Wziął ją na ręce i poniósł do głównego budynku. Wybiegło już stamtąd kilkoro dorosłych, którzy ich spostrzegli.

Oba wyloty tunelu wypełniało światło słoneczne, lecz nie wydobywał się z nich zapach gotowanego jedzenia, ponieważ jedzenie się skończyło. Za to pogoda była piękna.

Grupa złożona z Higginsa, Roxanne, kierownika pociągu, Maxa, Misty, Lelii, Kristobala, księdza Kelly'ego i Agnes Joe siedziała kręgiem na ziemi, zastanawiając się, co robić dalej.

- Sądzę - rzekł z wielkim smutkiem w głosie ksiądz Kelly - że należałoby odprawić mszę świętą. Za dusze Toma i Eleanor, niestety.

- Trochę to jeszcze przedwczesne, ojcze - rzekł z rozdrażnieniem Max.

- Gdyby dotarli do The Dingo, już by się z nami skomunikowali, skoro burza ucichła - powiedział kierownik. - Nikt nie mógł przetrwać tyle czasu w górach przy takiej pogodzie. Nie powinienem był na to pozwolić, to, moja wina.

- Poszli, bo chcieli nas ratować - rzekła Roxanne. - To najodważniejsi ludzie, jakich w życiu poznałam. - Wyciągnęła chusteczkę i otarła załzawione oczy.

Nagle podbiegł do ich grupki Barry, konduktor z sypialnego, wyraźnie podekscytowany.

- Szybko! - zakrzyknął. - Chodźcie coś zobaczyć! Byłem na drugim końcu; chodźcie, to sami zobaczycie!

Poszli za nim i po kilku minutach stanęli u wylotu tunelu.

- Patrzcie tam - pokazał Barry.

Ujrzeli zmierzającą w ich stronę długą procesję jeźdźców. Było tam również kilka sań zaprzężonych w konie i wiozących jakieś ładunki, prawdopodobnie zaopatrzenie. Mogło się wydawać, że czas cofnął się o ponad sto lat i mieli przed sobą karawanę pionierów podążających na dziewiczy Zachód, by rozpocząć tam nowe życie.

Jeden z jeźdźców na czele pochodu uchylił kapelusza i huknął radośnie.

- To Tom - powiedziała Roxanne. Jeździec tuż za nim pomachał ręką.

- A to Eleanor - dorzucił Max i puścił się biegiem w tamtą stronę. Potykał się i ślizgał, lecz nie zwolnił ani trochę.

- Sześć nóg - mruknęła Misty do siebie.

- Co takiego? - zapytał Kristobal.

- Przybyło nam na ratunek sześć nóg. Cztery końskie i dwie ludzkie. Wszystko się zgadza. - Wydała radosny okrzyk i popędziła za Maxem. Jej długi barwny szal migotał w słonecznym blasku, tak pięknym i tak upragnionym.

Żywność i inne rzeczy dostarczone przez życzliwych gospodarzy The Dingo podniosły wszystkich na duchu. Pasażerowie jedli i pili, gromadząc się wokół Toma i Eleanor, żeby usłyszeć historię ich cudownego ocalenia.

- W ośrodku znali szlak prowadzący do torów kolejowych, przejezdny dla wozów - tłumaczył Tom. - O wiele łatwiejszy niż nasza trasa, ale przy tej śnieżycy trudno byłoby trafić. - Pokręcił głową, wciąż zdumiony. - Byliśmy kilkanaście metrów od drzwi i nie mieliśmy o tym pojęcia. Więcej szczęścia niż rozumu, można by powiedzieć.

- To nie było szczęście, Tom - rzekł ksiądz Kelly. - To był cud. Zamówiłem go na górze specjalnie dla was.

Nagle szczerknął radiotelefon kierownika pociągu. Mężczyzna włączył go.

- Słucham - powiedział.

- Dyspozytornia do Southwest Chief, odbiór.

- Tu Southwest Chief! - Kolejarz prawie krzyczał.

- Co z wami?

- Ewakuowaliśmy pasażerów z pociągu i jesteśmy w tunelu. Kiedy przyślecie ekipę ratowniczą?

- Wyrzyj z południowo-zachodniej strony, Homer. Dotarli biegiem na drugi koniec tunelu akurat w chwili, gdy znad górskiego grzbietu wyłoniły się z ogłuszającym łoskotem dwa helikoptery. Maszyny zawisły nad pociągiem.

- Po drugiej stronie lawinowiska podstawiliśmy drugi pociąg. Trzy lokomotywy zatankowane do pełna.

- Ale jak my się mamy do was dostać? Między nami jest góra śniegu, a pociąg też jest z prawej burty całkiem zasypany.

- Już nad tym pracujemy, niedługo powinno być po kłopotcie. Czekajcie.

- Zrozumiałem - odpowiedział Homer.

Po mniej więcej dziesięciu minutach usłyszeli serię niezbyt silnych eksplozji. Sześciometrowa ściana śniegu i kamieni przed czołem Chiefa rozsypała się i osunęła w dół zbocza, nie wyrządzając nikomu szkody. Dokonały tego cudu niewielkie ładunki wybuchowe, rozmieszczone w starannie wybranych punktach. Oczom wszystkich ukazał się teraz drugi pociąg. Stał z silnikami na chodzie, a ich pomruk po długim milczeniu Chiefa był dźwiękiem wyjątkowo miłym dla ucha i budującym. Następnie kazano się wszystkim wycofać w głąb tunelu i oba śmigłowce przeleciały wzdłuż prawej strony wagonów, wywiewając masy bardzo suchego śniegu, dzięki czemu Chief mógł znów osiąść pewnie na szynach.

Z nowego składu wysypały się setki ochotników, którzy oczyścili tory. Inni naprawili drobne szkody, a kolejni zrzucili zwały śniegu z dachów wagonów. W tym czasie pasażerowie zaczęli powoli wsiadać z powrotem.

Wszystkie te czynności trwały większość dnia. Podróżni robili sobie pamiątkowe zdjęcia i wydzwaniali do rodzin i znajomych, przekazując im odpowiednio ubarwione opowieści o swej przygodzie. Do niektórych dodzwonili się dziennikarze i wkrótce historia dramatycznej akcji ratowniczej zaczęła obiegać świat. Po przyjeździe do Los Angeles należało się oczywiście spodziewać jeszcze obszerniejszych relacji. Dzieci bawiły się na śniegu i lepiły z niego anioły, co sprowokowało Roxanne do stwierdzenia, że Chiefa z pewnością strzegła pokaźna liczba tych wspaniałych istot.

Nazajutrz wczesnym rankiem tor był gotowy. Doczepiono lokomotywy i po raz pierwszy od kilkudziesięciu godzin koła pociągu Southwest Chief zaczęły się obracać. Centrala zezwoliła w tej wyjątkowej sytuacji na niezatrzymywanie się na niektórych stacjach. W Albuquerque natomiast uzupełniono paliwo i przedłużono postój, żeby podróżni mogli wysiąść i pospacerować sobie w cieplejszym, świeżym powietrzu. Pociąg zjechał z gór, pomknął przez Nowy Meksyk ku Arizonie i dalej do Kalifornii, pasażerowie zaś nareszcie mogli zrobić coś, czego nie robili już od jakiegoś czasu: spokojnie się wyspać.

## Rozdział 32

Chief przejeżdżał przez te rejony Nowego Meksyku, w których nie padał śnieg. Ziemia była tu brunatnoczerwona i wszędzie wznosiły się urwiste skały, barwy w większości pomarańczowej. Piękny, choć dziki krajobraz urozmaicały kępy krzaków, a pasażerowie wypatrywali przez okna rozrzuconych z rzadka ludzkich siedzib.

W Albuquerque stali prawie trzy godziny. Lokomotywy nabrały paliwa, uzupełniono też zaopatrzenie. Podróżni, wymęczeni zmaganiem z żywiołem na przełęczy Raton, mogli się wreszcie nacieszyć ciepłem i rozprostować nogi.

Tom i Eleanor obwieścili innym o swoich zaręczynach. Wszyscy się bardzo ucieszyli, a najbardziej Max. Lelia nawet uściskała Toma i życzyła mu wszystkiego najlepszego. Ze sposobu, w jaki tuliła się do Kristobala, i z jego rozanielonej miny można się było domyślić, że ich własne zaślubiny są tylko kwestią czasu. Eleanor z Tomem oznajmili także, że pójdą być może śladem Julie i Steve'a i wezmą ślub w pociągu. Ale wyłącznie latem, dodała Eleanor. Żadne lawiny nie będą psuć jej wesela.

W pobliżu dworca w Albuquerque znajdował się niewielki targ, na którym indiańskie kobiety sprzedawały biżuterię i inne rzeczy. Stał tam również stary autobus, przerobiony na sklepik. Tom i Eleanor spacerowali sobie w słońcu, rozmawiając o wspólnej przyszłości.

- A tak przy okazji - rzekł Tom - nie powiedziałaś mi jeszcze, z kim się spotykałaś w Waszyngtonie przed odjazdem. Jakiś twój odpowiednik Lelii?

- Nie całkiem - odparła. - To była moja babcia. Usiedli w ogródku małej kawiarenki, żeby coś przekąsić i wypić. Dołączyła do nich Agnes Joe. Złożyła im gratulacje z okazji zaręczyn i popijając w ciepłym słońcu lemoniadę, przyglądała się otoczeniu.

- Czasem się zastanawiam, czy nie osiąść tutaj jak pójść na emeryturę - powiedziała. - Mogłabym sprzedawać indiańskie świcidelka pasażerom podczas postojów.

Tom spojrzał na nią bacznie.

- Zdawało mi się, że już jesteś na emeryturze? - zapytał.

- Niedługo będę - odpowiedziała wymijająco.

- A czym się zajmujesz, jeśli można wiedzieć?

- Różnie. Raz to, raz co innego.

- Zabawna rzecz z tym złodziejem - powiedział Tom. - Oddał pasażerom skradzione rzeczy jako prezenty gwiazdkowe.

- O takim numerze jeszcze nie słyszałam - zgodziła się Agnes Joe.

- Jakiś przyzwoity złodziejasek - stwierdziła Eleanor.

- Nie za bardzo - odparła Agnes Joe. - W końcu zwracał tylko ludziom ich własność.

- Zwracał albo zwracała - mruknął Tom pod nosem.

Tuż przed odjazdem wsiadł do pociągu indiański przewodnik, który przez następną godzinę raczył pasażerów opowieściami o regionie, o życiu w rezerwach i historii swego ludu. Wsiadł w Gallup, nazywanym Indiańską Stolicą Świata, jako że odbywało tu swoje zgromadzenia wiele plemion, między innymi Hopi, Zuni i Acoma.

Po kolacji sporo osób zebrało się w wagonie wypoczynkowym, gdzie Max z Kristobalem zaprezentowali film wideo ze ślubu Steve'a i Julie. Nowożeńcy śmiali się i wrzuszali na przemian, przeżywając to wielkie wydarzenie jeszcze raz, w obecności publiczności. Steve wydał się Tomowi dość zmęczony. Zauważył z uśmiechem, że natychmiast po projekcji Julie złapała go za rękę i zaciągnęła z powrotem do przedziału.

Do Arizony wjechali późną nocą. Tom nie mógł zasnąć, ubrał się więc i spacerował po korytarzu. Zajrzał do Eleanor, lecz spała i nie chciał jej budzić.

Mijając przedział Maxa, mógłby przysiąc, że czuje woń kadzidła. I tak właśnie powinno być, pomyślał. Obawiał się nieco przejść koło drzwi Lelii, ze względu na odgłosy, jakie mogły zza nich dobiegać. Wiedział z własnego doświadczenia, że kobieta użyczająca

głosu słodkim niewinnym stworzonkom w życiu prywatnym wykazywała o wiele więcej werwy. Biedny Kristobal nie miał jeszcze pojęcia, w co się wpakował.

Kiedy tak snuł się po pociągu, Chief zwolnił i w końcu stanął. Tom wyrzwał przez okno. Byli na jakiejś stacji, choć sądził, że przed Los Angeles już się nie zatrzymują. Wzruszył ramionami i poszedł dalej, aż znalazł się pod drzwiami Agnes Joe. Jej gramofon znowu wygrywał kolędy. W przedziale było jednak ciemno; uznał więc, że widocznie usnęła przy muzyce. Po chwili płyta zaczęła przeskakiwać, powtarzając w kółko tę samą frazę, a następnie dźwięk przeszedł w przeraźliwy zgrzyt. Starsza pani musiała mieć bardzo mocny sen, skoro jej to nie obudziło. Zastukał w szybę.

- Agnes Joe? Twój gramofon zwariował!

Nie było odzewu, zastukał więc ponownie, mocniej. Zgrzyt stawał się nie do zniesienia. Tom odsunął drzwi.

- Agnes Joe, jesteś tu?

Po chwili jego wzrok przyzwyczał się do ciemności i przekonał się, że przedział jest pusty. W łazience też się nie świeciło, lecz na wszelki wypadek zapukał i tam. Odpowiedziała mu cisza. Dostrzegł w kącie znaną już sobie torbę i znów go podkusiło, żeby do niej zajrzeć. Otworzył ją i wsunął rękę do środka. Tym razem nie znalazł gazet, lecz kilka przedmiotów, między innymi kolczyki, zegarek i okulary przeciwsłoneczne, wyglądające na bardzo drogie. Mogły należeć do Kristobala. Oto miał w ręce niezbite dowody. Namyślał się, co począć, kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Wrzucił rzeczy do torby, zasunął zamek, zamknął drzwi przedziału i wśliznął się do łazienki. Modlił się, żeby nie była to Agnes Joe, lecz jego modlitwa nie została wysłuchana. Drzwi się otworzyły i znów zamknęły, a potem zapaliło się światło. Tom wyrzwał ostrożnie przez szparę, którą zostawił w drzwiach łazienki.

Była to rzeczywiście Agnes Joe, w niebieskich spodniach i swetrze. W ręce trzymała jakiś papier, a minę miała bardzo poważną. Miał nadzieję, że nie wejdzie do toalety, ale i tak nie bardzo wiedział, jak się stąd wydostać. Musiał poczekać, aż starsza pani zaśnie. Wprawdzie nie wyglądała wcale na śpiącą, lecz nie miał wyboru. Zamierzał przysiąść na sedesie, gdy pociąg nagle szarpnął i ruszył. Tom zachwiał się i wyciągnął odruchowo rękę przed siebie, żeby się czegoś uchwycić. Jego dłoń natrafiła w ciemności na dźwignię prysznicy i niechcący ją pociągnęła. Trysnęły na niego strugi zimnej wody i Tom wyrzucił z siebie kilka szczególnych słów, które, gdyby był katolikiem, wymagałyby wyznania grzechu przed ojcem Kellym i porcji zdrowasiek jako pokuty.

Udało mu się jeszcze zamknąć prysznic, gdy w progu stanęła Agnes Joe, przyglądając mu się jak wyjątkowo ciekawemu okazowi w zoo.

- Cześć, słodziutka - wybąkał z głupawym uśmiechem.

- Może byś stamtąd wyszedł, Tom, i wytłumaczył mi, co robisz w mojej łazience?

Wyszedł więc, powycierał się ręcznikiem i wyjaśnił, że usłyszał zepsuty gramofon, wszedł do przedziału i nie wiedząc czemu spanikował, gdy rozległy się kroki.

Historyjka może by nawet okazała się wystarczająco wiarygodna, gdyby nie to, że nie zasunął zamka torby do końca. W ciemności tego nie zauważył, teraz jednak spostrzegła to Agnes Joe. Spojrzała na niego pytająco.

Tom zdecydował, że musi przejść do ataku. Otworzył torbę i wyciągnął skradzione rzeczy.

- Może to raczej ty mi wytłumacz, co to wszystko robi w twojej torbie. Chętnie posłucham - natarł na Agnes Joe.

Starsza pani sięgnęła do kieszeni. To, co stamtąd wyjęła i pokazała mu, sprawiło, że dziennikarz cofnął się o krok z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy.

Kilka minut później Tom, z pobladłą jeszcze twarzą, zapukał do drzwi przedziału Maxa Powersa. Reżyser odezwał się dopiero po minucie, a po następnych dwóch otworzył.

- Musisz mi pomóc - powiedział Tom. - Kristobal też będzie potrzebny.

Max spojrzał ponad jego ramieniem i zobaczył Agnes Joe.

- To ważna sprawa - dodał Tom.

Zgarnęli Kristobala z przedziału Lelii, choć nie obeszło się bez jej protestów, niewyrażonych bynajmniej głosem Misia Kuleczki. Potem zbudzili Roxanne i księdza Kelly'ego, i zebrali się wszyscy w wagonie wypoczynkowym. Kiedy usiedli przy stole, Tom wyciągnął zza pazuchy markowe okulary Kristobala, buty od Magliego oraz srebrny krucyfiks. Każdy przedmiot położył przed jego właścicielem.

Jednego z mężczyzn tak zaskoczył ten widok, że nawet nie zauważył, jak nachyla się ku niemu Agnes Joe.

Ksiądz Kelly krzyknął, na jego przegubach bowiem zatrzasnęły się kajdanki. Chciał wstać, lecz Tom z Maxem przygwoździli go do miejsca.

Agnes Joe mignęła mu przed nosem legitymacją, tą samą, która wcześniej tak zaszokowała Toma.

- Policja kolejowa, wydział śledczy - oznajmiła. - A ty, John, jesteś złodziejem, czyż nie tak?

- John? - zdziwił się Tom. Pokiwała głową.

- Zdjęłam odciski jego palców jeszcze przed przełęczą - powiedziała. - Na najbliższej stacji wysłałam je faksem do identyfikacji i właśnie dlatego mieliśmy nieplanowany postój. Doręczono mi odpowiedź. Ten pan nazywa się naprawdę John Conroy i oczywiście nie jest żadnym księdzem.

Usiadła przy winowajcy, który miał minę tak zboląłą, że Tomowi zrobiło się go żal, choć facet był przestępcą.

- Posłużyłam się sztuczką z gramofonem, żeby udawać, że jestem u siebie, kiedy w rzeczywistości czatowałam na korytarzach - wyjaśniała dalej Agnes Joe. - Obawiałam się, że mógł mnie zauważyć, nabrać podejrzeń i przycząić się na jakiś czas. Kiedy odprawiał mszę, jak byliśmy zasypani na przełęczy, postanowiłam mu asystować. Podejrzywałam go już wcześniej z innych powodów, dlatego zdjęłam te odciski. Zresztą odciski kilku innych pasażerów też. Conroy jest rzeczywiście katolikiem i jakoś tam przebrnął przez tę niby-mszę, ale popełnił dość błędów, żeby moja czujność jeszcze się wzmogła.

- A te rzeczy w twojej torbie? - zapytał Tom.

- Poprosiłam Roxanne, żeby je wzięła z powrotem od kilku pasażerów, bo mogą się później przydać jako dowody. Ciebie, Kristobala i Maxa poprosiłam o pomoc, żeby Conroy nie nabrał podejrzeń i żeby go przy skrzy nić bez szwanku dla innych. A krucyfiks sama zwędziłam z jego przedziału. Wiedziałam, że jak go nagle zaprezentuję, facet zdębieje i bez problemu założę mu kajdanki. Młodziakiem już nie jesteś, Conroy, ale ja tam wolę uważać. Lepiej jest w takich okolicznościach działać przez zaskoczenie.

- Głupio mi się do tego przyznać - rzekł Tom - lecz już wcześniej zajrzałem do twojej torby. Wtedy były w niej tylko gazety.

- Wiem. Zorientowałam się, że ktoś w niej grzebał, i przypuszczałam, że to możesz być ty. A te gazety, które znalazła w śmietniku Regina, pochodziły z torby Conroya. Wypchał ją, żeby wyglądała na pełną, a potem wywalił papiery i miał gdzie chować łupy. - Spojrzeli wszyscy na starego człowieka, który siedział w kajdankach jakiś skurczony i całkiem zmarniały. - Chciałbyś może wszystko nam teraz wyznać, koleżko? - zwróciła się doń Agnes Joe. - Wiem, że jesteś notowany, ale może podzielisz się szczegółami?

Conroy pokręcił głową.

- Co ma być, to i tak będzie - powiedział. Wezwali Barry'ego i postawili go na straży przy rabusiu, a sami udali się całą ekipą do przedziału fałszywego księdza. W jego torbie znaleźli jeszcze kilka skradzionych przedmiotów. Te akurat nie miały wielkiej wartości, lecz tak czy inaczej pochodziły z przestępstwa.

- Dołączę je do materiału dowodowego - stwierdziła Agnes Joe.



- Jednego tylko nie rozumiem - rzekł Tom. - Dlaczego on zwrócił ludziom większość tych rzeczy. Jaki złodziej tak robi?

- To rzeczywiście dziwaczne - powiedziała Roxanne. - W każdym razie został złapany i możemy się teraz spokojnie przespać.

Tom poszedł za jej sugestią i spał do szóstej, kiedy to obudziło go pukanie do drzwi. Wstał i otworzył.

Stała za nimi Agnes Joe z dwiema filiżankami gorącej kawy na tacy.

- Przyniosłam ci kawę, żebyś się nie gniewał, że cię tak wcześnie budzę - powiedziała. Była ubrana w niebieskie spodnie i sweter. Wyglądała rześko i roztaczała wokół siebie aurę kompetencji.

- Świetna z ciebie aktorka - stwierdził Tom. - Do głowy by mi nie przyszło, że możesz być kimś więcej niż tylko...

- Ekscentryczną starą kobietą, która nie ma gdzie pojechać na święta? - dokończyła za niego. - To doskonała przykrywka. Przy takiej osobie łatwo jest się z czymś wygadać. Przyskrzynałam już paru handlarzy narkotyków, oszustów i złodziejasków właśnie dzięki temu głupkowatemu zachowaniu, idiotycznym strojom i...

- I temu twojemu „słodziutki”! - zaśmiał się Tom.

- Właśnie.

- Ale teraz wszystko się wydało - stwierdził.

- Nie szkodzi. Nie żartowałam z tą emeryturą. Czas odpocząć.

- A reszta twojej historii? Też wszystko zmyślane?

- Naprawdę występowałam w cyrku, tyle że nie na trapezie, lecz jako wolty zerka. Miałam dwóch mężów i mam dorosłą córkę. - Po chwili Agnes Joe dodała: - I nie możemy się dogadać.

- Przykro mi.

- No, trzeba przyznać, że zadzwoniła dziś w nocy, żeby zapytać, czy nic mi się nie stało na przełęczu. To był nasz pierwszy kontakt od długiego czasu. Mamy się spotkać w Los Angeles. Ona wciąż pracuje w cyrku na Zachodnim Wybrzeżu. Spróbujemy, może coś z tego wyjdzie.

- To bardzo się cieszę. Dostałaś spóźniony prezent gwiazdkowy. Ale masz chyba do mnie jakąś sprawę?

- Jestem trochę w rozterce, Tom, i chciałam cię poprosić o radę. Mam więcej szczegółów na temat naszego fałszywego księdza. Rzeczywiście siedział za drobne kradzieże,

ale to było trzydzieści cztery lata temu. Od tamtej pory ani razu nie podpadł, miał stałą pracę iw ogóle.

- Więc czemu nagle wrócił na drogę przestępstwa?

- Niedawno zmarła mu żona, po trzydziestu trzech latach małżeństwa. Rozmawiałam z Conroyem, trochę się przede mną otworzył. Od jej śmierci nie wie, co ze sobą począć. Czuł się samotny i chciał chyba jakoś zaistnieć. Mieli dwoje dzieci, ale jedno zginęło w wypadku, a drugie umarło na raka.

- To straszne. Czyli wygląda na to, że Conroy się ustatkował, kiedy poznał swoją żonę?

- Tak jest. Lecz wiesz, Tom, miałam już do czynienia z niejednym przestępcą, opowiadali mi najróżniejsze łzawe historyjki i takie rzeczy mnie tak bardzo nie biorą. Moja rozterka ma inną przyczynę.

- Mianowicie?

- Conroy zwrócił ludziom większość rzeczy w Wigilię, w formie jakby prezentów. W jego torbie znaleźliśmy tylko te najmniej wartościowe; w dodatku twierdzi, że zostawił za nie pieniądze, nawet więcej, niż kosztowały. Właściciele to potwierdzają. Nie chciał nikogo skrzywdzić. W kółko mi opowiadał o tej swojej żonie. No i bardzo nam pomógł w tragedii na przełęczu. Tom westchnął głęboko.

- No to faktycznie masz problem.

- A ty co byś zrobił na moim miejscu?

- No cóż, podczas tej podróży dane mi było zacząć wszystko jeszcze raz od początku - odparł po namyśle. - Może John Conroy też zasługuje na taką szansę. Kontaktowałaś się już z policją?

- Tak, ale nie podałam im szczegółów.

- Czy Chief się jeszcze gdzieś zatrzymuje?

- Mógłby stanąć w Fullerton, niecałą godzinę przed Los Angeles.

- No to może powinien tam stanąć.

- Może faktycznie. Nie sędzę, żeby Conroy chciał naprawdę wrócić na złą drogę. Mam w Fullerton znajomych, którzy mogliby mu pomóc. - Agnes Joe wstała. - Dzięki, Tom. Myślę, że podjęliśmy słuszną decyzję.

Uśmiechnął się do niej.

- To zdradź mi teraz swoje prawdziwe nazwisko. Agnes Joe przygarbiła się i zrobiła minę niedołęznej staruszki. Można było odnieść wrażenie, że nawet włosy jej posiwiały.

- Gdybym ci powiedziała - odparła - to już nie byłaby tajemnica. Prawda, słodziutki?

## Rozdział 33

Southwest Chief zatrzymał się w Fullerton. Wsiadł z niego niepozorny, zmęczony mężczyzna, już nieprzebrany za księdza. Przyjaciele Agnes Joe czekali na Johna Conroya na peronie i odjechali z nim, być może ku lepszemu życiu niż żywot złodzieja kolejowego.

Tom przed przyjazdem do Los Angeles chciał jeszcze wziąć prysznic na dolnym poziomie. Wchodząc do ogólnej łazienki, minął się w drzwiach ze Steve'em. Młody małżonek wyglądał na znużonego, lecz Tom bynajmniej mu nie współczuł, znając przyczynę owego przemęczenia.

- Przecież macie prysznic w przedziale - zdziwił się.
- Żona go okupuje już od godziny - odparł Steve.
- Lepiej do tego przywyknij - zakpił dziennikarz. - I ciesz się tym, co masz.

Wszedł do przebieralni i zaczął ściągać ubranie. Nagle spostrzegł leżący na podłodze pod ścianą portfel. Domyślił się, że zgubił go Steve. Gdy go podnosił, wypadły jakieś dokumenty i musiał przyklęknąć, żeby je pozbierać. Spojrzawszy na jedną z kart, doznał szoku niemal równie potężnego jak wówczas, gdy ujrzał w pociągu Eleanor.

Przyjrzał się plastikowej karcie pod lampą. Była to legitymacja Screen Actors Guild, związku aktorów filmowych, wystawiona na nazwisko Steve'a Samuela. Tom przejrzał resztę zawartości portfela. Znalazł prawo jazdy Steve'a, wydane w Kalifornii. Fotografia potwierdziła, że jest to ten właśnie Steve, mąż Julie, tylko że nie studiuje na Uniwersytecie George'a Washingtona, lecz ma dwadzieścia osiem lat i jest płacącym regularnie składki członkiem związku aktorów.

Na piękny, zbudowany w stylu art déco dworzec w Los Angeles, Southwest Chief dotarł - o ironio - kilkanaście minut przed wyznaczoną na nowo godziną przyjazdu.

Max Powers wysiadł i od razu zaczął odpowiadać na pytania licznie zgromadzonych dziennikarzy. Spojrzał ku Roxanne, która stała nieco dalej w otoczeniu chłopców z chóru, i robiła to samo.

- Skontaktuję się z tobą! - zawołał do niej. - Możesz być tego pewna!
- Jestem, Kochaniutki, jestem - odparła z uśmiechem. Następnie Max, w towarzystwie między innymi Kristobala, Lelii i Misty, opuścił stację i wsiadł do przedłużanej limuzyny, która czekała już na nich przed budynkiem.

Kierowca poszedł po bagaże, a Max tymczasem wyjął trzy koperty i wręczył je Steve'owi, Julie oraz księdzu, który im dawał ślub. Potem otworzył butelkę szampana i nalał wszystkim po kieliszku pianistego płynu.

- Dobra robota, panie i panowie - rzekł. - Wszystkich was wezmę do następnego filmu. Kto wie, może faktycznie o podróży koleją?

- Kiedy mi wszystko wyjawiałeś, Max, w pierwszej chwili w ogóle w to nie uwierzyłam - powiedziała Misty.

- Wiem, kochanie. Ja z kolei byłem pewien, że dla dobra sprawy dochowasz tajemnicy, chociaż znaleźliśmy się tak krótko.

- Dla dobra prawdziwej miłości - szepnęła rozmarzona.

- Mówisz, że nie uwierzyłaś, Misty - powiedziała Lelia - lecz wyobraź sobie, jak ja się poczułam. Po tylu latach nagle dzwoni do mnie Max Powers i prosi o przysługę. Drobiazg, trzeba tylko polecieć do Kansas City i udać, że się oświadczam Tomowi. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby on się zgodził!

- Byłem przekonany, że się nie zgodzi - rzekł Max. - Wiedziałem już o nim dość dużo.

- Przekonany! - prychnęła.

- Zależało mi, żebyście się oboje upewnili, że on nie kocha ciebie, a ty nie kochasz jego. Myślę, że to było uczciwe.

- Oczywiście, że go nie kochałam, szczególnie po tym numerze z Erikiem.

Kristobal pokiwał współczująco głową.

- Kobiety powinno się rozpieszczać. Od teraz to jest już moje zadanie, kotuniu.

Lelia poklepała go po ramieniu.

- Jesteś świetną aktorką - rzekł Powers z promiennym uśmiechem. - I zobacz, ile zyskałaś na moim skromnym przedsięwzięciu.

- A ty sam kogo grałeś? - spytała Lelia.

- Jak to kogo? Maxa Powersa - odpowiedziała za niego Misty.

- To była moja największa rola... jak dla innych Hamlet - uśmiechnął się reżyser.

- I miał pan rację, szefie - wtrącił Kristobal. - Langdon rzeczywiście zapytał mnie o rezerwację, a potem jeszcze sprawdził to u Reginy.

- Dla dziennikarza tej klasy, mój drogi, słowo kogoś takiego jak ty to za mało.

- I zrobiłaś to wszystko specjalnie dla Eleanor - rzekła w zadumie Misty. - A ona wciąż niczego się nie domyśla.

Powers skinął głową.

- Kompletnie niczego. Eleanor jest dla mnie jak córka, której nigdy nie miałem. Odkąd ją poznałem, widziałem, że nie jest naprawdę szczęśliwa. Czułem, że to jakaś sprawa z przeszłości. Nigdy mi nie mówiła, o kogo chodziło, ale powęszyłem tu i ówdzie i dowiedziałem się, że to właśnie Tom Langdon jest tym brakującym trybem w maszynie. Eleanor nie potrafiła normalnie żyć, ponieważ nie była tak naprawdę pewna, że się rozstali na zawsze. W głębi duszy miała jeszcze nadzieję, że może jednak zostaną małżeństwem. Tropiłem gościa przez pół roku. Kiedy zarezerwował sobie miejsce w pociągu, uznałem to za doskonałą okazję, tym bardziej że już wcześniej chciałem coś nakręcić z takiej podróży.

- No a ślub? - zapytała Misty.

- Jeżeli chciałem nakłonić dwoje ludzi, którzy powinni być małżeństwem, a nie są, żeby sobie uświadomili, jak mogłoby między nimi być, to chyba nie było lepszego sposobu, niż spowodować ich obecność na czymś weselu - odparł Max. - No i stąd się wzięło to, że Julie pochodziła z rodzinnych stron Eleanor, a Tom ochrzanił Steve'a, gdy ten zaczął się wahać. To była świetna zagrywka, ponieważ Tom mówił wszystko to, co mógłby sam czuć. Byłem przygotowany na każdą sytuację. Za każdym razem, kiedy między Eleanor a Tomem dochodziło do śpięcia, miałem w zanadrzu plan działania.

- Sporo było tych śpieć - rzekł ze znużeniem Kristobal. - Pilnowanie tej dwójki przez całą podróż naprawdę dało mi w kość.

- Świetnie sobie radziłeś, Kristobalu. I nie obetnę ci gaży. Wesolych świąt.

- Pomyślałeś o tylu szczegółach, Max - rzekła z podziwem Misty.

- Nie zapominaj, że jestem reżyserem, dziecko. Szczegóły to moja specjalność.

- Ale lawiny pan chyba nie wyreżyserował, szefie? - chciał się upewnić Kristobal.

- Nawet ja nie jestem aż tak dobry. Ktoś zapukał w szybę.

- Pewnie coś z bagażami - powiedział Max i otworzył okno. Tom wsunął głowę do środka i przyjrzał się całej grupie.

- A, cześć Tom - odezwał się nerwowo Powers. - Podwożę naszych młodych do ich pałacu na miesiąc miodowy.

- Jasne - odparł dziennikarz i wręczył Steve'owi portfel. - Zgubiłeś to w łazience. Dokumenty są na miejscu... legitymacja związku aktorów, prawo jazdy i tak dalej. Na pewno będą ci potrzebne.

- Słuchaj - próbował ratować sytuację Powers - wszystko ci wyjaśnię.

Tom powstrzymał go gestem dłoni.

- Chcę ci powiedzieć tylko jedno słowo, Max. Reżyser aż się odsunął.

- Jakie?

- Dziękuję. - Tom uściskał jego dłoń, po czym spojrzał na pozostałych. - Wesółych świąt - powiedział, odwrócił się i ruszył ku Eleanor, która stała z bagażami przy wyjściu z dworca. Patrzyła nań z zaciekawieniem.

- Kto był w tej limuzynie? - spytała, gdy się zbliżył. Tom obejrzał się i popatrzył za odjeżdżającym samochodem.

- Święty Mikołaj - odparł.

- Akurat. Chyba jesteśmy już trochę za starzy, żeby wierzyć w Mikołaja, nie sądzisz?

Objął ją i spojrzał jej w oczy.

- W czasie Gwiazdki lepiej jest wierzyć - powiedział. - Bo życzenia się spełniają.